Nr. 7. Poznań, dnia 18 Lutego 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 7-go.

Dział polityczny: Do czytelników naszych. — Najnowszy okólnik ks. Arcybiskupa Stablewskiego. — Księża a okólnik ks. Arcybiskupa. — Prasa codzienna a okólnik ks. Arcybiskupa. — Z Królestwa Polskiego. — Obleciświat, „Dziennik Poznański“ a p. Beinowa. — Z dziejów sprzedawczykostwa. — Uczciwi Rosjanie. — W sprawie Kotowiecka. — Straż. — Wiadomości. — Od Redakcyi.

Felieton: Czarna księga czyli szkody wyrządzone polskości przez Komisyę kolonizacyjną. (Ciąg dalszy).

Dział powieściowy: Dwudziestoośmioletnie wygnanie. (Ciąg dalszy). - Ptak — Dla milionów (Ciąg dalszy).

Dział illustrowany: Wczasy królewskie. Fragment z wyprawy Stefana Batorego. — Z dziejów Humania. (Dokończenie). — Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim. XXVIII. Pierwsze kroki do podziału. — Złudzenia. Opowieść z czasów księcia Józefa Poniatowskiego. (Ciąg dalszy). — Franek. Wspomnienie z 1863-go roku. — Z cytadeli warszawskiej. — Kurczycielom Ojczyzny (Wiersz). — Na cmentarzu żywych (Ciąg dalszy). — Kiedy powstały wiece. — Czy akohol potrzebny przy pracy? — Szanujmy język ojczysty. (Ciąg dalszy). — Nasza ofiarność. — Nekrologia. — Dział szaradowy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dział kobiecy. — Rozmaitości. — Humorystyka. — Ogłoszenia.

Illustracye: albumowa: Kometa. — Wczasy królewskie. — Kościół w Humaniu. — Pomnik ś. p. K. Iwańskiej w kościele humańskim. Ulica w Kronsztadzie po zniszczeniu miasta przez zbuntowanych żołnierzy. — Król norweski Hakon VII. — Królowa norweska Mand w stroju narodowym. — Cela w pawilonie X. cytadeli warszawskiej — Katastrofa kolejowa pod Nasielskiem w Kongresówce. — Sprzedaż koszyków w Japonii. — Znużona.

Do Czytelników naszych.

W ostatnim numerze „Pracy“ donosiliśmy pokrótce, że ks. arcybiskup Stablewski osobnym okólnikiem, wydanym poufnie — *zażądał* od księży, ażeby nie przyjmowali w „Straży“ *żadnych urzędów* i ażeby nie wygłaszali na wiecach „Straży“ *żadnych mów*.

O okólniku tym nie wydawaliśmy od siebie żadnego na razie sądu. Po prostu sprawa okólnika nie dojrzała jeszcze na tyle, by można było wydać o niej sąd należyty i sprawiedliwy.

Rozwijała się w tym czasie w prasie codziennej szeroka dyskusya, a szczególnie żywy brali w niej udział księża, których okólnik ten z natury rzeczy obchodzić musi najwięcej.

W tym też czasie przedostał się okólnik w dosłownem brzmieniu do wiadomości publicznej, a zatem czas i pora, by go osądzić tak, jak okólnik sam i jak sprawa „Straży“ tego koniecznie wymaga.

Uważamy ten okólnik za tak doniosłego znaczenia, że poświęcamy mu aż trzy osobne artykuły, aby Czytelników naszych jak najgruntowniej o nim poinformować.

Tutaj pragniemy podać kilka słów wyjaśnienia, dla czego do tak obszernego omówienia okólnika się zabieramy. Otóż — gdyby okólnik ks. Arcybiskupa dotyczył wewnętrznej sprawy kościoła, to rozumie się samo przez się, żebyśmy o takim okólniku sądu naszego nie wydawali. Próg kościoła, sprawy religii są dla nas tak święte, że chociaż jesteśmy pismem szczerze katolickiem, a właściwie dla tego, że takiem jesteśmy, — na krytykę spraw tych się nie ośmielamy.

Jednakże okólnik ks. Arcybiskupa nie dotyczy religii ni kościoła, dotyczy on „Straży“. „Straż“ dla nas i dla całego społeczeństwa jest sprawą publiczną, polityczną — a zatem okólnik „Straży“ dotyczący, może być omawiany tylko jako sprawa publiczna, jako — krok polityczny ks. Arcybiskupa. Nie dotykamy też w artykułach naszych osoby ks. Arcybiskupa jako dostojnika katolickiego kościoła, lecz — jako polityka.

Dla tego krytyka nasza jest nie tylko usprawiedliwiona — ale i wręcz konieczna. Należy bowiem społeczeństwu zwracać uwagę na to, co dotyczy jego żywotnych interesów — a że okólnik ten tych interesów istotnie dotyczy, o tem Czytelnicy „Pracy“ przekonają się z następujących artykułów.

Jedną tutaj jeszcze musimy podnieść myśl. Oto pragniemy o okólniku ks. Arcybiskupa wydać — o ile to w mocy ludzkiej — sąd sprawiedliwy. Jeżeli jednakże tu i owdzie z pod pióra wymknie nam się słowo gorzkie, żal głęboki, to dla tego tylko, że i my na równi ze wszystkiemi warstwami całego naszego społeczeństwa szczerze ubolewamy, że okólnik ten wydany został bez względu na to, z jakich powodów i pobudek.

Najnowszy okólnik *Ks. Arcyb. Stablewskiego.*

Ostatni okólnik ks. Arcybiskupa w sprawie udziału duchowieństwa w pracach „Straży“ poruszył do żywego całe społeczeństwo.

Okólnik ten był i jest do chwili, w której artykuł nasz piszemy, przedmiotem nie tylko powszechnej dyskusyi w prasie naszej, ale i w szerokich kołach wszystkich warstw społeczeństwa naszego i naturalnie — także w kołach duchowieństwa.

Rzadko mieliśmy sprawę, któraby tak wszechstronnego, tak ogólnego i tak — zgodnego doznała osądzenia!

Społeczeństwo, prasa i duchowieństwo szczerze nad ostatnim okólnikiem — *szczerze* — powtarzamy — *i głęboko ubolewa.*

Czemu?

Społeczeństwo nasze, prasa i wszyscy razem bez ustanku i bez wytchnienia stawiamy opór germanizacyi wdzierającej się we wszystkie szczeliny naszego życia — publicznego a nawet prywatnego. My wszyscy wzajemnie się pobudzamy do wytrwania aż do ostatniego tchu w obronie naszej i zagrzewamy wiarę głęboką w przyszłość naszą, aż tu niespodzianie, nagle pojawia się okólnik ks. Arcybiskupa, okólnik, który w tej harmonii naszej stwarza bolesny rozdźwięk.

Uprzytomnijmy to sobie jasno: wszyscy Polacy — całego zaboru pruskiego zgodnie, wałem bronią się przeciwko zalewowi germańskiemu.

Nie było dotąd żadnego głosu, któ-

ryby tej obronie był przeciwny. Nie było głosu, któryby kogośkolwiek, jednostkę nawet wstrzymywał od tej obrony — a tu naraz ks. Arcybiskup z wpływowego nad miarę swego stanowiska — *zakazuje księżom, brać udział w tej ogólnej naszej obronnej działalności.*

Okólnik ks. Arcybiskupa zawierający ten zakaz, to ważny dokument stwarzający wyłom w naszem narodowem życiu, dokument, którego milczeniem ani zdawkowem, krótkiem osądzeniem pominąć nie można!

Dokument ten wydany został poufnie, tajnie, tak by o nim nie wiedział nikt, oprócz tych, których on dotyczy. A jednak nie zdołał on ani mógł uchować się w skrytości i gazety nasze mają tę zasługę, że nie tylko odkryły jego istnienie i treść, ale podały go społeczeństwu w dosłownem brzmieniu do wiadomości. Brzmi on tak:

„Poznań dnia 22 stycznia 1906.

Doszły Mnie w ostatnich czasach liczne *zażalenia* władz rządowych na publiczne występy pojedyńczych księży. Ponieważ w skutek tego *sprawa Kościoła w* naszych dyecezyach *oraz dobro duchowieństwa* tak w ogólności, jak po szczególe *narażone są* na wielkie *niebezpieczeństwa i szkody* ciężkie, uważam za konieczne przypomnieć kochanemu Mojemu Duchowieństwu polecenie moje dane w okólniku dnia 28 grudnia 1901 i upomnienia zawarte w aktach ostatniej kongregacyi ksks. Dziekanów z dnia 16-go listopada r. z. prosząc usilnie, ażeby się Duchowieństwo jak najściślej do nich zastósowało.

Nie mam zamiaru ukracać Duchowieństwu Mojemu tych praw, *które mu* na polu *obywatelskiem przysługują.* W ciężkiej atoli trosce o dobro mych dyecezyi i Duchowieństwa, w poważnej obawie, aby nie dać sposobności do utrudnienia pracy duszpasterskiej i prowadzenia dusz do wiecznej szczęśliwości, *nie chcąc przed potomnością narazić się na skargi, jakobym nie zapobiegał stratom,* które za Moich rządów poniosły *dyecezye,* jestem zniewolony głos Mój ojcowski podnieść do Duchowieństwa w sprawie udziału pojedyńczych księży w życiu Towarzystwa „Straży.“

Jak już tylokrotnie wskazywałem na to, czasy obecne są poważne, a dla Kościoła pełne otwartych lub ukrytych trosk i grożących jeszcze niebezpieczeństw. Widzimy to wszyscy, a czują je najwięcej serce moje arcypasterskie i znaczna część Mojego Duchowieństwa.

Gdy teraz w ostatnich czasach *niektórzy księża nie umieli w występach* swoich publicznych *zachować tych granic* roztropności i spokoju, które przy powyżej wspomnianych okazyach zaleciłem, gdy inni i to najzacniejsi nieraz kaplani narażali się na przykrości, a wielu na straty niepowetowane, zaś władza duchowna wśród trudności największych spełnia swoje rządy, jestem zniewolony zwrócić się do duchowieństwa *z żądaniem,* aby wobec grozy położenia nie *utrudniało* go jeszcze przez *przyjmowanie urzędów* i wygłaszanie *mów w rzeczonem Towarzystwie.*

Mam nadzieję, że ukochane Duchowieństwo Moje wyczuje z tego głosu ojcowskiego troskę o dobro tak sprawy nam przez Boga powierzonej, jak o przyszłość naszego Kościola, którego obrona nam *w pierwszym rzędzie* winna leżeć na sercu.

Z tego też względu pokładam w Duchowieństwie to zaufanie, *że Moje powyżej wyrażone żądania ściśle wypełni.*

Arcybiskup
Gnieźnieński i Poznański.“

Ten oto okólnik ks. Arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego bez ogródki — żąda od *całego* duchowieństwa, by — *w „Straży“ urzędów nie przyjmowało i na wiecach albo zebraniach „Straży“ nie wygłaszało mów zachęcających do wstępowania do „Straży.“*

Okólnik ten zatem wymaga od polskiego duchowieństwa całego W. Ks. Poznańskiego, by w walnej części obrony naszej przed nawałą germanizacyi — nie brało udziału.

Dla czego?

Okólnik powiada, że „od władz rządowych“ doszły do ks. Arcybiskupa *„liczne“* zażalenia na *„pojedyńcze“* występy publiczne księży w „Straży.“

Że tak jest, nie wątpimy, ale dlaczego z przyczyny występu *pojedyńczych* księży zakazuje ks. Arcybiskup całemu duchowieństwu w pracach „Straży“ brać udział — to jest wręcz niezrozumiałe.

Lecz idźmy dalej.

Skutkiem owych „pojedyńczych“ występów księży — według okólnika ks. Arcybiskupa — narażona ma być „na wielkie niebezpieczeństwa i ciężkie szkody“ — *sprawa kościoła i dobro duchowieństwa!*

Ależ dla czego „sprawa kościoła i dobro duchowieństwa?“

Czyż to „Straż,“ albo księża, którzy jej siły swoje i pracę ofiarowali — popełnili przez to samo już coś zdrożnego, że aż o sprawę kościoła i o dobro całego duchowieństwa potrzeba było się — poważnie obawiać?

Odpowiedzi na to pytanie w okólniku nie znajdujemy, tem mniej, że „Straż“ dotąd nie utrudniała istotnie, ani na przyszłość utrudniaćby nie chciała „pracy duszpasterskiej księży a jeszcze mniej prowadzenia dusz do wiecznej szczęśliwości.“

A jednak — według okólnika ks. Arcybiskupa — wszystkie te przyczyny: liczne zażalenia władz rządowych, wielkie niebezpieczeństwa i szkody ciężkie grożące sprawie kościoła, dobro duchowieństwa, obawy o pracę duszpasterską i prowadzenie dusz do wiecznej szczęśliwości — to przyczyny, jakie spowodowały ów okólnik.

Rozpatrzmy się w nich dokładniej. Szczerze wyznać musimy, że właściwie, to jedna tylko wydaje nam się istotnie uzasadnioną i to — *zażalenia władz rządowych.* Wręcz niezrozumiałe nam są wszelkie inne przyczyny wydania okólnika — pomimo, że je okólnik sam przytacza.

Wierzyć po prostu nie możemy, by czynność duchowieństwa w „Straży“ w jakikolwiek bądź sposób zagrażała „sprawie kościoła,“ dobru duchowieństwa — mamy na myśli ogół duchowieństwa jako taki — „pracy duszpasterskiej“ i „prowadzeniu dusz do wiecznej szczęśliwości.“

Te wszystkie sprawy z działalnością „Straży“ nie miały nic wspólnego, ani teraz ani z pewnością nie będą miały jej w przyszłości, bo wychodzą one zupełnie poza zakres działalności i celów „Straży.“

To jest rzecz jasna. A więc na wydanie okólnika *jedynie* wpływ miały — i naszem zdaniem jedynie mieć *mogły — liczne zażalenia władz rządowych.* O tych zażaleniach władz rządowych nie wątpimy tem mniej, że mamy liczne dowody na to, że rząd „licznie“ użalał się na udział duchowieństwa n. p. w pracach sokolstwa naszego choć zaledwie kilku tylko księży do gniazd sokolskich należało.

Wszystkie inne względy rozumiemy li tylko w ten sposób, że te zażalenia rządowe *groziły* może zarazem księżom, a nawet *kościołowi* — represyami rządowemi i *wymusiły groźą tych represyi* — okólnik na ks. Arcybiskupie, okólnik zakazujący duchowieństwu „przyjmowania urzędów w „Straży“ i publicznych w niej występów.

Rozumiemy, że to dość powodów dla wrogiego nam *rządu,* by usunięcia się duchowieństwa ze „Straży“ *żądał,* ale *nie dość* jeszcze, by *ks. Arcybiskup* temu żądaniu *dał posłuch,* a nawet by zakaz taki *wydawał.*

Sądzimy, że ks. Arcybiskup byłby żądaniu rządu zadość uczynił, gdyby księżom był doniósł, że rząd się na nich

użala, i *że rząd się domaga*, ażeby księża od „Straży“ się usunęli. Mógł był zarazem zupełnie słusznie ks. Arcybiskup zaznaczyć, że pozostawia duchowieństwu do woli, czy ono samo żądanie to rządu uwzględnić zechce lub nie.

Jakiby byłby takiego okólnika skutek? Mniejsza z tem, czyby księża temu żądaniu rządu uczynili zadość. W każdym atoli razie okólnik tej treści, jaką podajemy od siebie, żadną miarą nie byłby wywołał dla ks. Arcybiskupa ani ze strony księży, ani ze strony społeczeństwa, a tem samem też i ze strony prasy — jakiegokolwiek zarzutu.

Uważanoby, że ks. Arcybiskup dość uczyniłby dla rządu, obznajmiając jego życzenie duchowieństwu, lecz że postąpiłby sobie zarazem godnie, nie krępując w niczem — obywatelskiej swobody duchowieństwa.

Stało się atoli inaczej, i to tak, że okólnik oprócz wrażenia uległości ks. Arcybiskupa względem władz rządowych wywołuje wrażenie, jakoby ks. Arcybiskup sam z własnej woli więcej czynił, aniżeli nawet rząd od niego wymaga.

To wrażenie — słuszne czy niesłuszne — jest wręcz przygnębiające i to tak wysoce, że wydanie powyższego okólnika *tłómaczyć* — nie usprawiedliwiać — można jedynie tylko chorobą i słabością ks. Arcybiskupa. Gdyby natomiast ks. Arcybiskup był zupełnie zdrowy, gdyby jako zdrowy człowiek miał odpowiadać za wydanie tego okólnika, sąd nasz musiałby wypaść daleko ostrzej.

W takich jednakże warunkach musimy sądowi naszemu nadać pewną powściągliwość zwłaszcza co do osoby ks. Arcybiskupa.

Z drugiej strony nie możemy jednakże zapominać o tem, że okólnik ten naszej narodowej sprawie bardzo musi — zaszkodzić. Skutkiem tego fakt wydania okólnika zasługuje na ostrą krytykę, jakiej poddaliśmy go w powyższym artykule.

Księża — a okólnik ks. Arcybiskupa.

Jasne wobec omówionego przez nas w poprzednim artykule okólnika ks. Arcybiskupa zajęli stanowisko — księża. Okólnik ten dotyczy ich w pierwszym rzędzie, słuszna więc, że ze strony księży przedewszystkiem odzywają się o nim głosy.

I nie pozostaje żadnej wątpliwości, że księża nie godzą się ani na treść okólnika samego, a co ważniejsza *odmawiają nawet ks. Arcybiskupowi prawa wydawania takiego okólnika*, uzasadniając odmowę swoją *prawem kanonicznem, które — nie zabrania księżom brać udziału w sprawach publicznych.*

Na dowód przytaczamy następujące ustępy z listów księży, ogłoszonych z wyraźną ich wolą i na życzenie w naszej prasie codziennej.

Na pytanie: czy ks. Arcybiskup może zakazać duchowieństwu brać udział w działaniu „Straży“ — odpowiada w „Orędowniku“ jeden z księży dosłownie tak:

„Mógłby i musiałby ks. Arcybiskup z takim zakazem wystąpić, *gdyby „Straż“ była instytucyą, której działanie tak Kościołowi jak i sprawom narodowym okazałoby się szkodliwe.* Jako najwyższy pasterz stojący na straży dóbr duchowych i materyalnych swoich dyecezyan, musiałby ks. Arcybiskup w *publicznym nawet okólniku* wystąpić, przestrzegając swoich dyecezyan przed zgubnem działaniem „Straży“. *Ks. Arcybisup tego nie uczyni i uczynić nie może, bo intencye i działania „Straży“ są najszlachetniejszej natury.*

Dla czego więc ks. Arcybiskup księżom zakazuje należeć do „Straży“? Oto po prostu dla tego, *aby nie drażnić rządu* . . . .

Ksiądz ten patrzy na istotną przyczynę wydania tego okólnika przez ks. Arcybiskupa tak samo, jak my. Nie sprawy Kościoła, nie niebezpieczeństwo, grożące duszpasterskiej pracy księży, nie wzgląd na prowadzenie dusz do wiecznej szczęśliwości — lecz względy na rząd spowodowały okólnik.

Słuszną również wydaje nam się uwaga, tego samego księdza, że — to dawniejsza *ugodowa polityka* ks. Arcybiskupa wytworzyła warunki, które rządowi *„otworzyły na rozcież drzwi do wtargnięcia w najświętsze prawa księży...*

W związku z tem podajemy sąd tego samego księdza o dotychczasowej działalności ks. Arcybiskupa, sąd, jakiego dotychczas nie wydało o nim najwięcej nawet przeciwne mu pismo polskie.

Jesteśmy — pisze ów ksiądz — *społeczeństwem* czyli trwałym związkiem jednostek, które *wspólnem działaniem do wspólnego celu dążyć są zobowiązane* — i to zobowiązane *od Boga*, bo jesteśmy nadto społeczeństwem *przyrodzonem* czyli w całej swojej istocie *powołani do życia wprost przez wolę Boga Stwórcy. Kto się więc od wspólnego działania i bronienia najświętszych, bo boskich praw usuwa, cofa, albo innych wstrzymuje, ten się sprzeciwia wprost woli Boga!* Ponieważ tego twierdzenia do ks. Arcybiskupa odnosić nie chcemy, i nie możemy, pozostaje jeden jedyny wniosek: ks. Arcybiskup, aby rządu nie drażnić i być mu wiernym wedle swego zapewnienia, *uprawia dalej politykę ugodową*, tę politykę, którą tyle dokazał, że *Kościół w dyecezyach za Jego rządów stracił bardzo na powadze, a więcej jeszcze ks. Arcybiskup sam tak u swoich dyecezyan jak u naszych „najserdeczniejszych“.*

Cóż na ten sąd odpowie ks. Arcybiskup? jak go przyjmie potomność, o której opinię ks. Arcybiskupowi zdaje się tak bardzo chodzić?

Dalej jeszcze idzie w krytyce swojej ks. Arcybiskupa inny jeszcze ksiądz. „Lech“ pisze, że jest to jeden ze starszych księży. Ten wręcz powiada:

„Jeżeli ks. Arcybisup Stablewski *nie czuje w sobie dość siły, aby się oprzeć coraz dalej idącym antypolskim i wprost antykościelnym żądaniom protestanckiego rządu* — **niech złoży swą godność.**“

Powtarzamy tutaj, że na taką opinię nie poważyło się dotąd żadne z pism polskich. A jednak: czyż księżom, którzy tak piszą i myślą, możemy odmówić racyi?

Niestety! — nie.

Nie na tem jednakże kończą się głosy księży. Przeciwnie są i tacy, którzy wskazują ks. Arcybiskupowi organizacyę, wobec której zakaz jego byłby stósowniejszy. Organizacyą tą, to — „Związek katolików niemieckich na wschodzie“ — a to dla tego, że Związek ten pracuje w jednym szeregu z hakatystami, a więc z wrogami nie tylko Polaków ale i Kościoła. Wobec tego Związku ks. Arcybiskup jednakże żadnego dotąd zakazu nie wydał.

Czemu? — Na to pytanie autor artykułu — ksiądz oczywiście, gdyż tutaj tylko podajemy głosy księży — odpowiada tak: Bo nie chce stracić łaski u rządu pruskiego, nie chce temu rządowi sprzeciwiać się w jego antypolskich dążnościach. Smutnych doprawdy doczekaliśmy się czasów!

Dostatecznie — sądzimy — opisaliśmy opinię, jaka panuje o okólniku ks. Arcybisupa wśród księży.

Przechodzimy do najważniejszego pytania, co księża mają wobec tego okólnika zrobić?

Nie wchodzi tutaj w rachubę pytanie, czy księża żądaniu okólnika uczynią zadość, czy tych 8 czy 10 księży, którzy są starostami, i kilkudziesięciu, którzy pełnią urzędy komisarzy — urzędy te złożą. O to pytanie nie chodzi, gdyż nie ulega wątpliwości, że ks. Arcybiskup tak uległy wobec uroszczeń rządu, wobec księży dość znajdzie sposobów i energii, by ich do złożenia urzędów owych zmusić.

Z tem więc musimy się liczyć jako z faktem, który nie dziś, ale jutro albo pojutrze nastąpi.

Chodzi tutaj o kwestyę inną, a mianowicie, co mają i co powinni księża zrobić wobec ukrócenia im przez okólnik — *ich praw obywatelskich,* tych praw, które im przyznaje prawo kanoniczne, a któremu w równej mierze i ks. Arcybiskup sam i księża podlegają?

Jeden z księży podaje myśl, „żeby może było dobrze, ażeby *księża urządzili* w najbliższym czasie *kongregacye w poszczególnych dekanatach* i tam spisali *swe protesty i żądania,* i przez ręce ks. ks. dziekanów podali je ks. Arcybiskupowi do uwzględnienia.“

Propozycya ta zawiera w zasadzie myśl na którą się godzimy, a mianowicie, *że w pierwszym rzędzie powinni się księża sami upomnieć o swoje prawa.*

Czy jednakże dobrze będzie, jeżeli akcya ta — tak bardzo się rozstrzeli? A może znajdą się wśród księży dziekanów tacy, którzy z takiej lub owakiej racyi nie zgodzą się na omówienie okólnika ks .Arcybiskupa na tych kongregacyach? Cóż wreszcie, jeżeli część dekanatów takie a reszta inne zajmie stanowisko?

Naszem zdaniem dla sprawy tej lepiejby było, gdyby księża poczęli akcyę szerszą i więcej jednolitą. Sądzimy wręcz, że dobrzeby było, gdyby księża zdecydowali się na zwołanie *wieca całego duchowieństwa* W. Ks. Poznańskiego, jednego i ogólnego, i ażeby na tym wiecu odpowiednie wobec tego okólnika zajęli stanowisko. Na myśl tę godzić się także zdaje „Orędownik“, który nasamprzód odsyłał księży z głosami o okólniku także na kongregacye dekanalne, a w nr. 32 wobec wspomnianej propozycyi jednego z księży pisze, ażeby księża uczynili jakiś krok *zbiorowszy.* Takim krokiem naszem zdaniem może być tylko ogólny wiec duchowieństwa naszego, t. j. tego duchowieństwa, którego okólnik ks. Arcybiskupa bezpośrednio dotyczy.

Z wielkiem zaciekawieniem wyczekujemy w tym względzie decyzyi naszego duchowieństwa, tem więcej, że n. p. duchowieństwo Król. Polskiego, które przecież nie posiada tyle rutyny w sprawach publicznych, ani na ogół tego wykształcenia co nasze — pod bokiem i wbrew woli ks Arcybiskupa warszawskiego Popiela nie tak dawno urządziło także wiec, ażeby wyjaśnić stanowisko swoje, porozumieć się co do zadań i obowiązków swoich wobec zmiany stosunków w Królestwie.

Możemy nakoniec księży naszych zapewnić, że szerokie koła społeczeństwa decyzyę urządzenia takiego wieca przyjmą jaknajprzychylniej. Zdawają one bowiem sobie dokladnie sprawę z tego, jaką krzywdę okólnik ks. Arcybiskupa wyrządza księżom, i że krzywda ta także i społeczeństwu szkodzić może.

Prasa codzienna wobec okólnika Ks. Arcybiskupa.

Po głosach księży jako najwięcej interesowanych okólnikiem ks. Arcybiskupa warto się zapoznać z głosami naszych pism codziennych. Nie będziemy tutaj ani możemy podawać wszystkiego tego, co pisma nasze w sprawie tej napisały, wystarczy zaznaczyć wyrażoną przez nie opinię.

Nie będziemy wspominali o uczuciach oburzenia, skrytej partyjnej radości, ani wreszcie o zakłopotaniu niektórych pism z powodu okólnika, bo chodzi nam o to, by przedewszystkiem rzecz samą postawić jasno.

Niektóre pisma ludowe łączą ten okólnik ks. Arcybiskupa z odczytanym z ambon okólnikiem świątecznym, który zawierał —znany list *cesarski.*

Może tutaj właściwie być tylko mowa o jednej łącznej myśli, że jak tamten tak i ten okólnik, to objawy wdzierającego się do drzwi Kościoła katolickiego — *wpływu protestanckiego rządu,* a z nim razem niebezpieczeństwa germanizacyi przez kościół w dzielnicach polskich.

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

7)

VII. Zdobycze kolonizacyi w poszczególnych ziemiach i powiatach.

Przypatrzmy się teraz temu, które ziemie najwięcej ucierpiały od kolonizacyi. Wystarczy jeden rzut oka na załączone zestawienie, ażeby się przekonać, iż Księstwo straciło przeszło 300 tysięcy mórg, a Prusy Królewskie blizko 100 tysięcy.

Najwięcej zgrzeszyło w Księstwie obywatelstwo w powiatach wrzesińskim, odolanowskim, leszczyńskim i jarocińskim, gdyż powiaty te uroniły więcej jak 10,000 mórg — wrzesiński nawet 23,160 mórg. W tym powiecie znalazło się 26 kolonizatorów! Mamy tu na myśli obwód regencyjny poznański; na 27 powiatów jakie obwód ten liczy sprzedano w 22 powiatach 154,776 mórg za 28 milionów marek!

Spojrzawszy na zestawienie widzimy, iż tylko w 10 powiatach sprzedali Polacy mniej aniżeli 5000 mórg, a w 5-ciu powiatach nie sprzedali Polacy kolonizacyi wogóle ani piędzi ziemi. Z tych pięciu powiatów nie mają Polacy prawie wcale ziemi w międzyrzeckim i skwierzyńskim. *Na chlubne wyróżnienie* zasługują natomiast powiaty *kościański* (przeważnie polski), *międzychodzki* i *nowotomyski* gdzie obywatelstwo ziemskie jak i gospodarze Polacy dzielnie trzymają się ziemi i gdzie żaden sprzedawczyk Polak nie splamił jeszcze dobrego imienia powiatu. Daj Boże, aby nie znalazł się na ziemiach tych nigdy Polak-sprzedawczyk, a panowie starostowie „Straży“ niechaj w myśl hasła „czuj duch“ pilnują, aby nie usunęła im się z pod rąk ani morga naszej ziemi.

W całym obwodzie poznańskim znalazło się 89 sprzedawczyków.

A. Obwod rejencyjny poznański.

powiat	kolonizatorów	hektarów	mórg	zapłacono M.
1. wrzesiński	26	5,790	23,160	4,351,434
2. odolanowski	2	4,132	16,528	2,917,600
3. leszczyński	3	3,310	13,240	2,085,000
4. jarociński	8	3,246	12,984	2,219,050
5. średzki	4	2,454	9,816	1,932,000
6. kępiński	2	2,298	9,192	1,525,000
7. rawicki	3	2,237	8,948	2,085,000
8. obornicki	6	1,894	7,576	1,422,705
9. śmigielski	5	1,874	7,496	2,693,850
10. śremski	2	1,782	7,128	720,005
11. koźmiński	5	1,646	6,584	1.349,500
12. pleszewski	3	1,567	6,268	1,072,950
13. pozn. wschodni	4	1,216	4,864	1,072,200
14. ostrzeszowski	2	1,115	4,460	589,050
15. wschowski	2	866	3,464	475,500
16. krotoszyński	2	844	3,376	546,306
17. pozn. zachodni	4	785	3,140	768,300
18. gostyński	1	660	2,640	550,000
19. szamotulski	2	438	1,752	450,180
20. ostrowski	1	303	1,212	300,000
21. babimojski	1	213	852	181,000
22. grodziski	1	24	96	32,100
23. kościański	—	—	—	—
24. międzyrzecki	—	—	—	—
25. międzychodzki	—	—	—	—
26. nowotomyski	—	—	—	—
27. skwierzyński	—	—	—	—
	89	38,694	**154,776**	28,338,730

O wiele gorzej przedstawia się sprawa w obwodzie regencyjnym bydgoskim, który chociaż o wiele mniejszy pod względem obszaru dostarczył największą liczbę sprzedawczyków bo aż 122!!

Rzut oka na tabelkę statystyczną pouczy nas, o tem, iż kolonizatorzy nasi wyzbyli się na Kujawach, Pałukach i w pasie nadnoteckim przeszło 145,000 mórg za 27 milionów marek!!

W sześciu powiatach uronili sprzedawczycy więcej, aniżeli 10,000 mórg, a przoduje całej tej ziemicy powiat

Z niebezpieczeństwa tego zdaje sobie prasa nasza jasno sprawę, choć nie podzielamy z nią obawy, ażeby u nas kiedykolwiek miały wyłonić się stosunki podobne jak na Górnym Śląsku. *Ideowo* byłoby to ogromne cofanie się ze strony naszej — a to przecież istotnej prawdzie nie odpowiada.

Trzy różne co do okólnika samego wyłoniły się w prasie naszej zapatrywania. Pewna część pism z oburzeniem i z ostrą krytyką wystąpiła przeciwko okólnikowi. „Orędownik“ — omówił go spokojnie i rzeczowo, a „Dz. Poznański“ i „Wielkopolanin“ bronią okólnika.

Że część patryotycznej prasy naszej wystąpi ostro przeciwko podobnemu okólnikowi, to rzecz była jasna. Znalazły one nadto poparcie w kołach duchowieństwa. Niektóre jednak z tych pism w obronie duchowieństwa przed usuwaniem go z życia publicznego poszły zbyt daleko. I tak n. p. powiada jedno z nich, że „dziś już trudno oddzielić sprawy kościoła od spraw narodowych.“ Naszem zdaniem tak trudno to nie jest, zdać sobie trzeba atoli sprawę z tego, że niebezpieczeństwo dla *naszej* sprawy narodowej może wdzierać się do nas ze wszystkich stron, nie wykluczając nawet kościoła. Ale w takim razie wiedzieć nam trzeba, że ten kościół nie ma zadania służyć dążnościom wrogim naszej narodowości, lecz że wrogi rząd do tego nie waha go się —*nadużywać*.

Stanowisko „Orędownika“ w tym wypadku jest wyjątkowe. Nie przeciwny udziałowi księży w pracach „Straży“, przestrzegał już od samego założenia przed zawikłaniem, mogącem z powodu tego udziału nastąpić pomiędzy władzą duchowną a rządem. Dla niego okólnik ks. Arcybiskupa jest następstwem tego, że „Straż“ księży niebacznie do udziału w swej pracy wciągnęła, tworząc przez to przyczynę do takiego zawikłania. Dla „Or.“ okólnik jest tylko następstwem tego zawikłania. Skutkiem tego niema u niego wcale oburzenia, jest tylko chłodny obrachunek politycznego znaczenia — okólnika. „Or.“ to mówi o niebezpieczeństwie germanizacyi przez kościół u nas, „Or.“ obawia się, że mogą nastąpić podobne stosunki jak na Górnym Śląsku.

Kwestya bodaj najważniejsza, zasadnicza: czy ks. Arcybiskup może zakazać udziału w pracach publicznych duchowieństwu — ta kwestya „Or.“ mało obchodzi. Jego to myśl pierwsza, ażeby tę kwestyę księża między sobą załatwili.

W pewnej mierze na to stanowisko „Orędownika“ godzić by się można. Trudno atoli pomijać milczeniem zasadniczej kwestyi: czy księża mają prawo brać udział w naszem życiu publicznem? — Kwestyi tej nie można zbywać okolicznościowym argumentem — o tworzeniu zawikłania, mocą którego istotnie udział księży w tej pracy zostaje ograniczony. A najstraszniejszą tutaj sprawą jest to, że przyczynia się ku temu —wrogi, niekatolicki rząd. To powinnoby w pewnej mierze otworzyć oczy „Orędownikowi“ na doniosłość tej kwestyi w naszem życiu narodowem.

Najciekawsze, a najmniej narodowe wobec okólnika zajęły stanowisko — „Dz. Poznański“ i „Wielkopolanin“. W jaki sposób „Wielkopolanin“ broni okólnika, nie wiemy, bo redakcya nie raczy nadsyłać nam swego pisma. W każdym razie wiemy to, że „Wielkopolanin“ okólnika — broni.

Obrona zaś „Dziennika“ wypada tak, że mimowoli przychodzi na myśl przysłowie: broń mnie, Panie Boże od moich przyjaciół, bo od nieprzyjaciół ja sam się obronię. Otóż powiada „Dziennik“ — „każdy biskup musi dbać o dobro swej dyecezyi i kleru, on też ma prawo sądzenia, co tak dyecezyi jako też i klerowi wyjść może na szkodę.“

Tego prawa biskupom dotychczas nikt nie zaprzeczał i nie zaprzeczy z pewnością w przyszłości. Gdyby jednakże biskupi bronili interesów duchowieństwa racyą „Dziennika“, że „popieraniem interesów pozakościelnych

---

gnieźnieński, w którym 25 kolonizatorów sprzedało 31.584 mórg! Po nim następują powiaty żniński, wągrowiecki, mogileński, witkowski i szubiński. I dziwić się tu potem, że posłowie nasi do sejmu z powiatów tych przepadają, gdy nadchodzi chwila wyborów.

W powiatach żnińsko-szubińsko-wyrzyskim przeszedł poseł nasz p. Leon Czarliński przy wyborach do parlamentu zaledwie 1000-em głosów większości.

Trzy powiaty mogą się poszczycić, że nie znają Polaków-kolonizatorów; są to powiaty czarnkowski, chodzieski i wieleński. W ostatnim mają Polacy wogóle mało ziemi, natomiast w czarnkowskim i chodzieskim tak ziemiaństwo czyli szlachta jakoteż i włościanin Polak z dumą czoło podnosić może. Ziemia to niezarażona jeszcze i nie postała na niej noga kolonizatora.

W powiatach strzelińskim, inowrocławskim i bydgoskim naliczyliśmy 4, 5 i 6 sprzedawczyków. Obyśmy się raz wreszcie upamiętali i zaprzestali zaprzedawać Ojczyznę!

B. Obwód rejencyjny bydgoski.

powiat	kolonizatorów	hektarów	mórg	zapłacono M.
1. gnieźnieński	25	7,896	31,584	5,998,272
2. żniński	22	7,473	29,892	4,573,851
3. wągrowiecki	20	5,704	22,816	4,480,315
4. mogileński	11	4,554	18,216	3,224,750
5. witkowski	22	3,627	14,508	2,692,102
6. szubiński	5	3,205	12,820	2,203,710
7. strzeliński	4	1,764	7,056	2,068,137
8. inowrocławski	5	1,196	4,784	1,035,453
9. bydgoski	6	776	3,104	646,000
10. wyrzyski	2	131	524	144,500
11. czarnkowski	—	—	—	—
12. chodzieski	—	—	—	—
13. wieleński	—	—	—	—
	122	74,930	**145,304**	27,067,090
+ obwód poznański	89	38,694	154,776	28,338,730
Razem	211	74,930	**300,080**	55.405,820

W Prusach Królewskich dzielnie się trzymają nasi bracia Kaszubi w powiatach puckim, wejherowskim, potem w kartuskim i starogardzkim. Klęską dla nas jest, iż w powiecie kościerskim sprzedali Polacy w ręce kolonizacyi już przeszło 7000 mórg! Widocznie nie ma tam patryotyzmu i zrozumienia grozy położenia. Że w powiatach gdańskich, malborskim i t. d. nie było kolonizatorów to znowu nie nasza zasługa, albowiem w powiatach tych od dość dawna polskiej szlachty i gospodarzy nie było i dziś jej też tam nie ma.

Zniemczona to ziemia prawie zupełnie i już od dawna w rękach obcych nam wrogich. Jednym z powodów, iż Kaszubi ziemi kolonizacyi nie sprzedają, jest okoliczność, iż kolonizacya tych piaszczystych, jałowych i ubogich łanów kupić nie może, gdyż Niemiec kolonista nigdyby się tam nie używił, gdzie brat Kaszuba skromnie żyjąc „chleb na chleb“ sobie kładzie i jeszcze sobie to chwali.

Straszne są natomiast znowu spustoszenia kolonizatorów w obwodzie kwidzyńskim. W trzech powiatach uroniliśmy więcej nad 10,000 mórg, a przoduje im powiat wąbrzeski z 28,440 morgami straty!!

Tam jeden magnat sprzedał za jednym zamachem 15.000 mórg za 2 miliony 200 tysięcy marek. Pięciu dalszych poszło w jego ślady.

Nie dziw, że tu jako i w świeckim powiecie posłowie nasi nawet do parlamentu przepadają. W grudziądzko-wąbrzeskim brak naszemu kandydatowi przeszło 1000 głosów, a ze Świeckiego ostatnim naszym posłem był p. Sas Jaworski, obrany 6-ma wyraźnie sześcioma głosami większości. Lud uciekł — zastąpili go Niemcy!

Nader przykrą jest utrata ziemi w powiatach brodnickim i lubawskim graniczącymi z Królestwem Polskiem; i tutaj już nie możemy przeprowadzić swego.

Honor Prus Królewskich ratują powiaty chojnicki i sztumski gdzie się dotąd żaden kolonizator nie znalazł. Powiat suski jest prawie zupełnie zniemczony. Część

zamyka sobie duchowieństwo drogę do wszelkich stanowisk ważniejszych“, a więc lepszych probostw i t. d.., to taką obroną interesów duchowieństwa wywołać musieliby wrażenie, że chodzi im o interesy zbyt poziome, zbyt materyalne, nie licujące z powołaniem kapłańskiem w kościele katolickim.

Istotnie też tą obroną swoją wyrządził „Dziennik Poznański“ lwią przysługę duchowieństwu naszemu, posądzając je o karyerowiczostwo i inne dążenia wcale nie — duchowne. Zarazem jednak tkwi w tej „obronie“ wcale niesłuszna o duchowieństwie naszem opinia. Bowiem ani ogół społeczeństwa, ani prasa tak źle jeszcze nie sądziła swych kapłanów i obrońców wiary św. — by za główne swe zadanie uważać mieli osiągnięcie — tłustego probostwa! Przed tą opinią „Dziennika“ musimy duchowieństwo nasze stanowczo wziąć w obronę.

* * *

Wypowiedziało się więc w sprawie okólnika ks. Arcybiskupa duchowieństwo, wypowiedziała się prasa, brak atoli publicznych głosów z łona świeckiego społeczeństwa. A powinnoby i społeczeństwo świeckie wypowiedzieć się, co o tym okólniku myśli. Chodzi bowiem o to, ażeby w sprawach tej doniosłości okazać nie tylko zainteresowanie się, ale także chęć wzajemnego porozumiewania się. My w tym celu chętnie szczupłe ramy nasze otwieramy głosom naszych czytelników.

Z Królestwa Polskiego i Litwy.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

12-go lutego.

(Bomba w Warszawie. Stan wojenny. Aresztowania i gwałty. Oświadczenie adwokatów o wyborach. Szkolnictwo polskie w Królestwie i na Litwie. Tolerancya religijna. Język polski w aktach parafialnych. Z Litwy.)

Zachmurzonym i nadal pozostaje nasz widnokrąg polityczny. Nie sprawdziły się tak uporczywie powtarzane pogłoski o zniesieniu już lada dzień stanu wojennego. Rada ministrów orzekła, że kraj „nie jest jeszcze uspokojony.“ Tak zaopiniowało widocznie czynownictwo miejscowe, a świeżo rzucona w Warszawie bomba na patrol żandarmski będzie zapewne nielada atutem w ręku władz rosyjskich, dowodem, że „bunt“ nie został jeszcze stłumionym.

Bomba rzuconą została na ul. Zgoda, w sobotę, przez nieznanego sprawcę; wynik — czterech żandarmów zabitych. Trudno się dziwić ludności, że w taki sposób się broni przed niesłychanemi nadużyciami patroli wojskowych, doprowadzona do rozpaczy przez zdziczałe a bezkarności pewne żołdactwo. Niektóre miejscowości na prowincyi robią po prostu wrażenie, jakby przemocą podczas wojny zdobyte zostały; spokojna ludność niczem zabezpieczoną nie jest od gwałtów pierwszego lepszego żołdaka, który jest panem jej życia i mienia, tak, i mienia, bo bezustannie się czyta, że podczas rewizyi zabrano gotówkę, różne drobiazgi, zboże, konie, a nawet... słoiki z konfiturami, jak to miało miejsce w pewnym dworze w Siedleckiem. I niema żadnej obrony, opieki, sprawiedliwości! W dodatku do tego, w Radomskiem potworzyły się bandy rozbójnicze, dochodzące do 20 ludzi, napadające na dwory i na plebanie i pod groźbą kul wymuszające pieniądze.

Aresztują masowo. W jednym powiecie miechowskim zamknięto 40 ludzi, włościan i obywateli ziemskich. Niepodobna wymieniać nazwisk — za dużo by ich było. Niektóre powiaty są wprost ogołocone z wybitniejszych obywateli, którzy przepełniają areszty i na więzienia przemienione koszary. Wyciągają z łóżek chorych i pędzą do więzień. Nie darują także kobietom. W Mławskiem aresztowano trzy obywatelki ziemskie oraz p. *Zuzannę Morawską*, znaną i popularną autorkę i zamknięto je w więzieniu gubernialnem w Płocku.

Jednocześnie sekwestrują majątki obywateli, którzy w obawie prześlado-

---

naszym braciom w Chojnicy i tucholskich borach, że tak dzielnie bronią swej ojcowizny.

C. Obwód rejencyjny gdański.

powiat	kolonizatorów	hektarów	mórg	zapłacono M.
1. kościerski	4	1,777	7,108	650,000
2. starogardzki	2	438	1,752	198,000
3, kartuski	1	348	1,392	225,000
4. pucki	—	—	—	—
5. wejherowski	—	—	—	—
6. gdański wschodni	—	—	—	—
7. „ zachodni	—	—	—	—
8. malborski	—	—	—	—
9. tczewski	—	—	—	—
10. elbląski	—	—	—	—

D. Obwód rejencyjny kwidzyński.

powiat	kolonizatorów	hektarów	mórg	zapłacono M.
1. wąbrzeski	6	7,110	28,440	5,347,740
2. świecki	6	3,641	14,564	2,083,265
3. złotowski	4	3,149	12,596	1,433,700
4. brodnicki	5	2,159	8,636	1,449,500
5. lubawski	6	1,391	5,564	782,500
6. chełmiński	2	476	1,904	495,000
7. grudziądzki	3	285	1,140	340,000
8. człuchowski	1	193	772	80,000
9. kwidzyński	1	30	120	24,825
10. toruński	1	24	96	28,500
11. chojnicki	—	—	—	—
12. tucholski	—	—	—	—
13. suski	—	—	—	—
14. sztumski	—	—	—	—
15. wałecki	—	—	—	—
Oba obwody razem	42	21,021	**84,084**	13,139.030

Nie mogę zakończyć rozdziału tego, aby nie powrócić raz jeszcze do tych powiatów, w których sprzedawczyków namnożyło się jak chwastu. Są to powiaty wrzesiński (26), gnieźnieński (25), żniński (22), witkowski 22) i wągrowiecki (20). Takich zastraszających cyfr nie przedstawiają ani w przybliżeniu nawet inne powiaty. Część powodów tej choroby sprzedawczykostwa znajdziemy w tem, iż komisya kolonizacyjna starała i dotąd stara się rozerwać polskość w Księstwie na dwie połowy, na dwie polskie wyspy, że się tak wyrażę. Jedną taką wyspą to Kujawy, a więc powiaty inowrocławski i strzeliński, drugą to okolica na południe od Poznania, a więc powiaty grodziski, kościański i gostyński.

Na wyspach tych system pruski z kolonizacyą zęby sobie połamie zanim wyszczerbi polskość. Aby nas osłabić na duchu, aby nas rozbić i ujarzmić wedle starej zasady „divide et impera“ (podziel i panuj) rzuciła się kolonizacya na wyżej wzmiankowane powiaty i niestety — znalazła posłuch u obywatelstwa i gospodarzy chciwych złota i wygodnego życia. Niechaj powiaty te, niechaj ta krzywda wyrządzona przez sprzedawczyków całemu społeczeństwu polskiemu będzie przestrogą dla obywatelstwa i gospodarzy naszych w innych powiatach. Nie łudźmy się tem, że przecież i my ziemię wykupujemy od Niemców, nie wierzmy gazetom niemieckim, które nas okłamują, aby nas uśpić i ukołysać. Raczej stać powinniśmy niezmiennie na stanowisku, iż ziemia raz kolonizacyi sprzedana wedle rachuby ludzkiej nigdy już do nas nie wróci. I dla tego ratujmy ziemię naszą bo ona naszą Ojczyzną.

Niechaj kolonizacya wykupuje Niemców, my jej ziemi naszej więcej nie damy.

Gdy rząd zobaczy naszą nieugiętość, gdy do zalet naszych słowiańskich dodamy dzielność charakteru i gdy naród niemiecki przekona się, że „zębami i pazurami“ bronimy naszej ziemicy wówczas nadejść może chwila, że cała polityka kolonizacyjna jak to mówią weźmie w łeb, bo raz wreszcie znudzi się Niemcom to ratowanie junkrów i napychanie spekulantom kieszeni złotem podatki płacącego ludu.

Strzeżmy naszych powiatów zatem, aby nie poszło nam tak jak braciom na Pałukach, którzy dopuścili do tego, że odcięto Kujawy od reszty Wielkopolski, aby nas rozdzielonych prędzej wykupić, wyrugować, zmarnować.

K. R.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wania powyjeżdżali za granicę. Tak donoszą z Radomskiego. Na 3000 rubli kary skazano dwie gminy w Kieleckiem wyrokiem wojennego gubernatora. W Lubelskiem zaaresztowano wszystkich uczestników wieca włościańskiego w Warszawie, a szkołę agronomiczną w Puławach, która odegrała bardzo poważną rolę w uświadomieniu włościaństwa lubelskiego — Moskale chcą przenieść do Saratowa! O okropnych znęcaniach się nad aresztowanymi piszą prywatnie z różnych okolic kraju. Jak twierdzi korespondent „Głosu Narodu,“ w Wiśle rybacy wyłowili pod cytadelą warszawską 16 związanych z sobą trupów, okropnych, oszpeconych, z zalanemi smołą twarzami!

Obraz okropny, ponury, obraz męczeństwa naszego po krótkich chwilach uniesień i nadziei, że już koniec, że już daleko w tyle prześladowanie. Jak długo jeszcze?

A tu wybory w ogołoconym z najwybitniejszych jednostek kraju! Czy mogą być ważne? Tą sprawą zajęła się adwokatura warszawska. Wydała oświadczenie, że aresztowani administracyjnie udziału w wyborach według prawa nie mogą być pozbawieni, gdyż prawo wyklucza z wyborów tylko karane sądownie i za kryminalne przestępstwa osoby.

Z chwilą więc ogłoszenia wyborów więźniowie (polityczni) zażądać mają swego uwolnienia, w przeciwnym razie wybory będą bezprawne i unieważnić je może senat. Racya — prawa, lecz u nas panuje inna racya — bezprawia, siły, dzięki której zwyrodniałe czynownictwo rosyjskie przedłużyć chce nikczemne swoje istnienie w naszym kraju.

Obradują nad tem na wiecu „Rosyan prawdziwych“ w Warszawie. — Szeroko się rozpisują o nim dzienniki warszawskie. Nie ma o czem. Uchwalił wiec „Rosyan prawdziwych,“ że w Kongresówce pozostać ma wszystko po staremu. Naturalnie! wszakże nie mogą wyroku na siebie wydawać ludzie, dla których dzisiejszy ucisk jest źródłem istnienia i bogacenia się. Uchwalono, że najwyżej, pozwolić można Polakom na wykład polski w najniższych klasach szkół początkowych.

A też rozwija się szkolnictwo polskie. Do całego szeregu prywatnych szkół polskich — gimnazyów i 4ro-klasowych miejskich, których już tyle powstało stosunkowo w tak krótkim czasie, przybywają coraz to nowe. W tych dniach otwarto 4-ro klasową szkołę polską z funduszów udziałowych w Słupcy oraz w trybunalskim Piotrkowie.

Na tle ponurem ucisku i prześladowania mile wygląda wiadomość, że wolno będzie w najbliższym czasie zakładać szkoły polskie także na Litwie i Rusi. Dotąd pozwalano na to jedynie w Królestwie.

Rząd już widocznie szczerze się wyrzekł zamiarów prześladowania religijnego. Próby wznowienia ucisku Kościoła katolickiego niejednokrotnie się ponawiały już po wydaniu ukazu tolerancyjnego. Urzędnicy robili wszelkie trudności opuszczającym prawosławie a przechodzącym na łono Rzymskiego Kościoła. Zazwyczaj nie chciano robić odpowiednich adnotacyi o zmianie wyznania w papierach osób zainteresowanych, tłomacząc się brakiem odpowiednich rozporządzeń. Dziś rozporządzenie ministeryalne uniemożliwia to nadużycie, nakazując usunięcie wszelkich przeszkód formalnych w danej dziedzinie.

Jak się dowiaduję, duchowieństwo dyecezyi kujawsko-kaliskiej wystosowało protest przeciwko okólnikowi biskupa Zdzitowieckiego o utrzymanie rosyjskiego języka w papierach parafialnych. O okólniku tym pisałem w poprzednim liście. Duchowieństwo w większości przypadków go zignorowało i świeżo zaprowadzonego do akt kościelnych polskiego języka nie usunęło.

Podobno niektórzy pozostali biskupi poszli w ślady ks. Zdzitowieckiego. Natrafią oni bezwątpienia na opór patryotycznego duchowieństwa. W tej sprawie zabrali głos i adwokaci warszawscy, tłomacząc, że nawet prawo z r. 1868 nie nakazuje parafiom rz. kat. urzędować po rosyjsku. Wchodzi tu w grę jedynie samowola warszawskiego generał-gubernatora.

Złe wieści nadchodzą z Litwy. Pozostawione we względnym spokoju społeczeństwo tamtejsze polskie od chwili ukazu październikowego, nadzwyczaj pomyślnie i szybko zaczęło kroczyć po drodze rozwoju narodowego. Język polski odzyskiwał stale należne mu prawa w życiu publicznem i w szkole, w radzie miejskiej, stowarzyszeniach, na szyldach sklepowych. Zjechał teatr polski... Dość było paru miesięcy, by Wilno nabrało zewnętrznych cech polskich; zjawiła się nieistniejąca od lat 40 prasa polska, odrazu w liczbie pokaźnej, jak na stosunki tamtejsze. I rozpoczęto wreszcie tu pracę nad zaniedbanym wielce polskim ludem włościańskim i małomiasteczkowym, pracę jawną, przy pomocy szkółek polskich, czyli prywatnej nauki polskiej. Dotychczasowy gen. gub. wileński Freze manifest carski traktował jako coś realnego i nie stawiał trudności zbytnich rozwojowi polskiego żywiołu. Z usunięciem Frezego zmieniły się czasy: biurokracya wileńska powracać zaczęła do dawnej swej polityki, represyi i szykan. Zapełniły się więzienia, rozpoczęło się brutalne prześladowanie prywatnej nauki polskiej na całym obszarze Litwy, wznowiono dawne (z r. 1892) drakońskie przepisy o nauczaniu „nielegalnem“, szablami i bagnetami rozpędzają dziatwę, łaknącą słowa polskiego, wydzierając z rąk jej elementarze i katechizm. Surowe kary spadają na niosących przed ludem „oświaty kaganiec“.

Nawet ukaz tolerancyjny nie jest wykonywanym całkowicie. Nie chcą przywrócić pokonfiskowanych kościołów i aresztują tych, którzy ośmielają się o to dopominać. Tak było w Ostrowcu, w pow. Wileńskim.

Sarmata.

Obleciświat, „Dziennik Poznański“ i pani Beinowa.

Ma „Dziennik Poznański“ jedyną zasługę, a tą jest zdolność wywoływania śmiechu u swoich czytelników. Czytając np. w rubryce „głosów obywatelskich“ korespondencyą pani Maryi Beinowej, trzeba sobie mimowoli zadać pytanie, czy owo „pierwszorzędne“ pismo poznańskie nie stało się znowu ofiarą jakiejś mistyfikacyi, jeśli bierze na seryo taki „głos obywatelski“ przypominający czytelnikowi monologi humorystyczne w rodzaju „pani Piperment w wodach ciechocińskich.“

Pismo pani Beinowej podaję dosłownie:

Nasze feministki.

Łaskawy Redaktorze!

Co to za czasy! Ach, Redaktorze, drżę cała z oburzenia!

Byłam na małem zebraniu, mówiłyśmy o kłopotach, wychowywaniu dzieci i zeszłyśmy na temat „prasy i artykułów o balach.“ A wtem jedna z panien, wychowana na warszawskiej pensyi z tak skrajnemi zaczęła się popisywać zdaniami, że po prostu włosy na głowie stanęły. Krytykowała nie tylko pisma, ale zaczepiała ludzi i robiła takie porównania, że my starsze matrony literalnie nie wiedziałyśmy, co robić.

Racz, Szanowny Panie, w piśmie swojem więcej przynosić artykułów umoralniających, zwracających uwagę na domowe cnoty i szlachetną literaturę, wypędź zapatrywania a la Przyby-

szewski, skieruj te prądy na inne tory.

Zlituj się, bo jeżeli Ty, zacny Panie, nie pomożesz, to kto pomoże!

Ja nawet nie mam odwagi powtórzyć tego, co mówiono o tutejszych pismach i jak ich wartość mierzono — wyglądem redaktorów.

Tu nawet odwaga załamuje ręce!

Przyjmij, Szanowny Panie, zapewnienia wielkiego szacunku i poważania dla siebie i swego zacnego pisma.

Marya Beinowa.

Korespondencyę tę podaje ‚Dziennik Poznański" w związku z deklaracyą, jaką „towarzystwo kobiet pracujących w handlu i przemyśle" wszystkim pismom poznańskim nadesłało. Deklaracyą taką otrzymał i „Dziennik Poznański" lecz publikując ją dodaje, że tenor tejże odszukał w pewnem piśmie radykalnem, uważając się tym sposobem za wytłomaczonego wobec swego kolegi po piórze i po duchu — osławionego Janka Obleciświata; że deklaracyą nadesłało mu wymienione towarzystwo nic a nic nie wspomina, przeciwnie stara się „Dziennik Poznański" znaczenie rzeczonej deklaracyi osłabić argumentami, które właściwie argumentami być nie mogą, to jest głosem obywatelskim pani Beinowej i dziecinnym felietonem jakiegoś autora z pod ciemnej gwiazdy. Felieton ten mówi sam za siebie o całej swej wartości; jest to stek bzdurstw, jakich by się nawet taki Obleciświat z „Przewodnika katolickiego" powstydził. Cała ta sprawa nie jest tyle wartą, by nad nią potoki atramentu wylewać, lecz jest ona przyczynkiem do rozpatrzenia się w całej wartości literackiej i etycznej naszego „pierwszorzędnego organu," którego dalszą zasługą jest dyskredytowanie umysłowości w Poznańskiem i dla tego protest jest konieczny, by nie uważano nas np. za stado baranów.

Jeżeli „Dziennik Poznański" ma rzeczywiście pretensyą, by także pismo pani Beinowej uważano za głos obywatelski, za głos doradczy — wtedy lepiej skwitować z czytania jego wszystkich głosów obywatelskich.

Dziwić się trzeba atoli „Dziennikowi Poznańskiemu," że biorąc na seryo nadesłaną mu przez panią Beinową korespondencyą, nie oczyścił jej przynajmniej z germanizmów, nie mówiąc już o innych wadach stylowych i gramatycznych; powinien on był chociażby w swej skrzynce od redakcyi — owym skarbcu wiedzy i proroctw mistycznych — zwrócić uwagę pani Beinowej na to, że nie można „popisywać się ze zdaniami," lecz popisywać się zdaniami, tak jak pani Beinowa nie słodzi swej kawy z *cukrem,* lecz słodzi kawę cukrem. Wyszli by na tem lepiej i „Dziennik Poznański" i pani Beinowa. Pani Beinowa chce sobie nadać pozór matrony „edukowanej", gdyż wspomina nawet o Przybyszewskim, o którym prawdopodobnie coś kiedyś słyszała, lecz prawdopodobnie nigdy nie czytała, inaczej niebyłaby się popisywała taką marną „polszczyzną." Wstyd to wielki, że nasze „matrony" w rodzaju pani Beinowej tak kiepsko władają językiem ojczystym, lecz cieszy nas, że te kobiety, o których pani Beinowa ze zgrozą wspomina, przyczem jej nawet włosy na głowie stawają, pod tym względem lepiej swoje obowiązki pojmują. Lecz dosyć już o pani Beinowej.

Chcąc być sprawiedliwym, przyznaję „Dziennikowi Poznańskiemu" odnośnie do zamieszczenia korespondencyi pani Beinowej okoliczności łagodzące. Działał on poprostu w afekcie, a w takich razach nawet sądy kierują się pewnemi względami: i tak korespondencya p. Beinowej oszołomiła poprostu naczelnego z „Dziennika" stawiając go odrazu na piedestał cudotwórcy ba — nawet zbawiciela rodu ludzkiego. Jeźli przypuszczamy, że naczelny „Dziennika" jest o tyle skromnym, że kadzidło nie sprawiło mu zawrotu głowy, to wiadomość, że gdzieś i kiedyś mierzono wartość pism wyglądem redaktorów, musiała go zapalić ogniem świętego oburzenia i to też prawdopodobnie wyprowadziło naczelnego „Dziennika Pozn." z równowagi umysłowej tak dalece, że poszedł za wabiącą go syreną, panią Maryą Beinową.

Seweryn Wrzesiński.

Z dziejów sprzedawczykostwa.

Smutne to co prawda dzieje, które odnoszą się do wspomnień o naszych kolonizatorach. Smutne — ale i ciekawe.

N. p. w ostatnim czasie wydarzyła się sprzedaż *Mielżyna.* Przy tej okazyi dowiedzieliśmy się ciekawych bardzo rzeczy o samym sprzedawczyku p. Dobrogoyskim. Niestety korespondenci z t. zw. wyższych sfer zbyt łagodnie opisują tych sprzedawczyków. Zamiast n. p. napisać, że ktoś przez całe życie był hulaką i marnotrawcą, piszą oni, że ów ktoś zdołałby majątek utrzymać, gdyby był skromniej żył. Nie ulega wątpliwości, że i to prawda, przyznać atoli muszą nam racyę wszyscy że w określeniu o „skromniejszem życiu" mieści się niemal obrona sprzedawczyka. On tylko hulał — więc musiał kolonizacyi sprzedać. A gdyby był nie hulał?.....

Zdaje się, że nieraz całe życie tego lub owego sprzedawczyka przy bliższem obejrzeniu — prędzej czy później, czy mniej lub więcej hulał — w końcu prowadzi go w szeregi niecnych kolonizatorów. A Żychliński !

Że zaś Dobrogoyski prędzej czy później sprzedałby majątek swój kolonizacyi, o tem nabieramy przekonania z następującej korespondencyi, opisującej jego młodość i otoczenie. Korespondent nasz, to robotnik prosty, rówieśnik — p. Dobrogoyskiego — ale moralnie stoi ów robotnik od tego pana stokroć wyżej! — Dziś biedak znajduje się w Nadrenii, ciężko pracuje na kawałek chleba tam wśrod obcych, bo sprzedaż ziemi polskiej przez babkę Dobrogoyskiego — kolonizacyi pozbawiła go chleba w kraju. Pisze on nam tak:

Bruckhausen (Nadrenia), w lutym 1906 r.

Zaczynam list mój temi słowy: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szanowna Redakcyo „Pracy!"

Czytam już „Pracę" od tego czasu jak w Bytomiu „Światło" przestało wychodzić. „Światło" poleciło w ostatnim numerze „Pracę," i tak też czytam ją do dzisiaj. Więc teraz wyczytałem jako ten pan Dobrogoyski sprzedał Mielżyn kolonizacyi. To już *trzeci* majątek, co z tej familii posiada kolonizacya.

Ten Dobrogoyski nazywa się Stanisław Dobrogoyski, urodził się 1867 na Drożdżynach w powiecie ostrzeszowskim z ojca bardzo dobrego człowieka Stefana Dobrogoyskiego, a matki Tekli z domu Szeliskiej. Sami osądźcie z mojego pisma, kto winien tym sprzedażom. A ja znam Drożdżyny dobrze, bo tak samo się na Drożdżynach rodziłem. Jestem tylko jeden rok starszy od tego Dobrogoyskiego i całe najmłodsze lata razem żeśmy spędzili.

Drożdżyny i Przedborów należały do jednego pana i to do p. Szeliskiego, którego ja już nie znałem, znałem tylko Brygidę Szeliską, babkę Stan. Dobrogoyskiego. Było ich 14-cie dzieci. Z tych zostały 3: Antoni, Teodor i Tekla. Antoni umarł 1868-go r. nieżonaty. Teodor ożenił się ze swoją krewniaczką, która odziedziczyła dobra Czachury pod Pleszewem. Tekla wyszła za Stefana Dobrogoyskiego i otrzymała Drożdżyny. Z tej rodziny pochodzi ten Stanisław Dobrogoyski, a jego chrzestnym był p. St. Wonster, dziedzic z Kotłowa.

Myśmy tam w Drożdżynach byli i ja z tym Stan. Dobr. razem rosłem.

On miał kucyka od swego chrzestnego, a ja, żeby on miał towarzystwo, tom dostał starą kobyłę; więc żeśmy obaj na koniach harcowali. Wyrządzaliśmy naturalnie oficyalistom różne psoty. Ja musiałem do szkoły chodzić do Przedborowa, a on nie potrzebował. Od 1876 roku aż do 79-go ukrywał się tam ks. Walenty Śmigielski, teraźniejszy dziekan w Ostrowie. Ponieważ ten ksiądz odprawiał w Drożdżynach w jednym pokoju Mszą św. a ja mu służyłem do tej Mszy św., więc pani Dobrogoyska radaby swego syna też była widziała przy księdzu. On jednak nie umiał ministrantury. *Ani czytać* jeszcze nie umiał, więc ja go nauczyłem jako tako tej ministrantury. Potem poszedł do szkół do Ostrowa, ale tam wielkich rzeczy się nie nauczył, gdyż jak przyszedł na wakacye, to ja mu wszystkie zadania musiałem pisać, bo on nic nie umiał, zgoła nic. Tak potem był w domu i nigdzie więcej. Pisać umie, ale czytać nie płynnie.

W tym samym czasie był w Siedlikowie jakiś Kochanowski. Ten Kochanowski przefrymarczył ten Siedlików i osiadł na bruku w Mikstacie. W tym czasie umarł mikstacki borowy, więc mu burmistrz na parę tygodni dał zarząd nad borem mikstackim. Kochanowski jednak widząc, że to nie długo potrwa ten urząd, udał jakoby goniąc kogoś był się obalił, i chciał od Mikstata pensyą. Ale zamiast pensyi dostał terminatkę. Więc znów został na bruku. Ale koleżeństwa mu nie brakowało. W tym czasie byli w M. inni także Klemczyński, Płoński i Wonster. Po niejakim czasie został Kochanowski rządcą na Drożdżynach. Tymczasem p. Szeliski zbankrutował na Czachurach i przeniósł się do Przedborowa, którego zarząd powierzyła mu matka. Wkrótce jednak Teodor Szeliski umarł. Na jego miejsce przyszedł z Król. Polskiego jakiś krewniak. Nieograniczoną zaś władzę i moc nad Drożdżynami i Przedborowem miał Kochanowski. A ponieważ był wielkim salonowcem, więc miał wielką łaskę u p. Dobrogoyskiej. 1888 r. w lutym umarła stara babka Szeliska, a w testamencie cały majątek zostawiła Dobrogoyskiemu, wdowie po Teodorze i owemu krewniakowi z Król. Polskiego. A Kochanowski już potajemnie miał stosunki z kolonizacyą. Niemcy pokryjomu mierzyli bory. Kochanowski tymczasem rozpuścił pogłoskę, jakoby tam byli rozbójnicy, i że on sam tych rozbójników szukał po boru. Wreszcie przyszły te dobra na sprzedaż i kolonizacya je kupiła. A pieniędzmi podzieliła się trójka spadkobierców. Pan Stefan Dobrogoyski, odczuwając biedę oficyalistów podwyższył nam deputat, zwaryował a potem umarł. Krewniak z Król. zabrał pieniądze i wrócił tamże. Teraz p. Dobrogoyska kupiła dla swego Stasia Książenice pod Grabowem. Myśmy dostali terminatki, bo Drożdżyn i Przedborowa kolonizacya już nie uprawia. Tam, gdzie wprzódy rosła pszenica, dziś założony jest bór. A z tego wszystkiego p. Płoński z Mikstata miał zarobek, bo wszystko znowu mierzył. Kochanowski znów gospodarzył w Książenicach, najpierw zabrał się do boru, do dębów i sosien, potem rolę zaczął parcelować. A gdy całe Książenice rozparcelował, wówczas kupili Mielżyn. Mnie się tak znów wydaje, że, jeżeli ten Mielżyn nabyła kolonizacya, to tylko za namową tego Kochanowskiego. Dobrogoyski, bez żadnego szkólnego wykształcenia, to tylko narzędzie tego Kochanowskiego. Kochanowski, to salonowiec pierwszej klasy, on tylko jeść i pić i pieniądze brać umie, skąd się da.

Po śmierci mych rodziców pojechałem na obczyznę, mam dostateczny zarobek, ale duch mój i myśli zawsze w mym uroczym Przedborowie, ach gdybym go jeszcze raz mógł zobaczyć.

Jeżeli się na co zda to moje pismo, to podajcie do publiczności, bo chodzi o tego Kochanowskiego, bo on to wszystkiemu winien.

Życzliwy czytelnik
Idzi Moskal.

List powyższy podaliśmy w całości w dosłownem prawie brzmieniu. Stanowi on bowiem nadzwyczaj ciekawy przyczynek do smutnej historyi naszego — sprzedawczykostwa.

Uczciwi Rosyanie.

Profesorowie uniwersytetów, politechnik i wogóle wyższych zakładów naukowych rosyjskich założyli *„Wszechrosyjski związek akademicki“*, aby wspólnie radzić nad dobrem tych instytucyi i nad sprawami tak stanu profesorskiego, jak i młodzieży. Każde miasto uniwersyteckie posiada swój osobny komitet dla spraw miejscowych, a nad kwestyami ogólnemi radzą *zjazdy delegatów*. Zjazdów takich było dotychczas trzy; ostatni obradował w *Petersburgu* od 27 do 29 stycznia.

Ma się rozumieć, że skrajni reakcyoniści rosyjscy nie biorą w związku udziału, a że tych reakcyonistów, zwykłych służalców rządu, jest najwięcej w uniwersytecie *warszawskim*, więc też komitet dla Warszawy jest nieliczny. Za to obejmuje on najwybitniejszych i najpoważniejszych tamtejszych profesorów rosyjskich.

Na tym trzecim zjeździe delegatów w Petersburgu przyszła pod obrady także sprawa *wyższego szkolnictwa w Królestwie*. W sprawie tej wygłosili referaty profesorowie *Wulff i Zaborowski*. Pierwszy z nich zakończył swój referat następującą konkluzyą:

„Warszawski oddział Związku akademickiego, uczyniwszy szczerbę w murze biurokratyzmu, spełnił swoje zadanie, *rozwiązuje się i pozostawia Polakom dalszą pracę nad odrodzeniem ich szkoły*. Oddział stawia zjazdowi trzy pytania: Czy zjazd sankcyonuje zachowanie się warszawskiego oddziału? Jak daleko gotów jest Związek iść *drogą unarodowienia wyższych szkół?* Jak powinni nadal postępować członkowie Związku, jeżeli rząd zechce przywrócić szkoły rosyjskie?“

Po drugim referacie, ogólniejszej treści, profesor *Zaborowski* odczytał list profesorów uniwersytetu krakowskiego, a prof. *Karjejew* powitał obecnego na zjeździe gościa polskiego prof. *Kozłowskiego,* którego mowa na temat zbliżenia się rosyjsko-polskiego wywołała przeciągłe *oklaski.* Następnie prof. *Weryha* postawił wnioski, odpowiadające na pytania prof. *Wulffa,* dziękując zarazem warszawskiemu oddziałowi Związku za jego zachowanie się, a prof. Nawaszyn odniósł sprawę *zwrócenia uniwersytetowi polskiemu rzeczy zabranych z Wilna do Kijowa.* Przyjęte przez Zjazd rezolucye brzmią:

1) Wychodząc z zasady narodowego i kulturalnego samookreślenia Zjazd uznaje, że sprawa *organizacyi szkół, powinna być w całości pozostawiona interesowanemu w niej polskiemu narodowi.*

2) Przyznając to prawo polskiemu narodowi — Zjazd uznaje, że w razie, gdyby rząd postanowił pozostawić wyższą szkołę w Warszawie w jej dotychczasowych (rusyfikacyjnych) warunkach, członkowie Związku akademickiego, będący jej profesorami, *nie mogą dalej pozostać na swoich stanowiskach*, a co więcej, *żaden z członków Związku akademickiego nie powinien zająć w tych warunkach miejsc w szkole tej wakujących.*

„Prócz tego Zjazd uznaje za konieczne zaznaczyć, iż uważa za rzecz niezbędną *zwrócić polskiemu narodowi odebrane historycznie mu drogie relikwie wileńskiego uniwersytetu, przechowywane obecnie w uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie.*

Na list profesorów uniwersytetu

krakowskiego odpowiedziano następującym telegramem:

„Na trzecim zjeździe delegatów akademickiego Związku było odczytane wasze pismo do profesora Timirazjewa, w którem, za jego pośrednictwem, zwróciliście się do rosyjskiego stanu profesorskiego. Nasze zapatrywania na poruszone przez was kwestye są wam znane z działalności warszawskiego oddziału Związku akademickiego, który przeprowadzał w Warszawie zasady pierwszego zjazdu w sprawach odnoszących się do odrodzenia się (powstania na nowo) *polskiej wyższej szkoły* w Warszawie.

„Łaknąca wolności Rosya i oswobadzająca się Polska wyciągnęły już do siebie przyjacielskie dłonie!“

Co na to hakatyści. X.

W sprawie Kotowiecka

odbieramy od p. Marcina Biedermanna następujące pismo:

Wobec nieustającej polemiki w sprawie Kotowiecka, przyczem i o mnie kilkakrotnie potrącono, zmuszony jestem zabrać głos, by sprawę tę nieco bliżej wyjaśnić.

Niemal dwa lata starali się pp. Morawscy, by Kotowiecko przez sprzedaż upewnić w rękach polskich. Ja sam targowałem o Kotowiecko i oglądałem ten majątek. Przy oględzinach pp. Olschówkowie w asyście przyjętego rządzcy Niemca, nie mieli dość słów, by Kotowiecko wobec mnie przedstawić w najgorszem świetle. Pomimo tego podałem za Kotowiecko z góry 900,000 marek i to *bez żniw*.

Pp. Morawscy godzili się całkiem na tę cenę, lecz p. Olschówka naraz zmienił zdanie twierdząc, że przecież Kotowiecko znacznie więcej warte. Wobec tego odstąpiłem od kupna. Następnym reflektantem na Kotowiecko był pan Józef Czapski z Chotowa, który w cenie poszedł znacznie wyżej, podając za Kotowiecko około 960,000 marek. Wynik ten już tak wysokiej oferty był całkiem ten sam co poprzednio. Wreszcie trzecim bardzo poważnym reflektantem był p. hr. Żółtowski z Wargowa, podający za Kotowiecko już możliwie najwyższą cenę, blisko 1,000,000 marek, naturalnie teraz już z pełnem żniwem. I tu rozbiły się pertraktacye o nieprzychylność pp. Olschówków, którzy w swym uporze doprowadzili wreszcie do nieuniknionej subhasty.

Pp. Olschówkowie nawet sami o subhastę wnieśli, chociaż nie zachodziła ku temu żadna potrzeba. Ile starań podjęli pp. Morawscy, jakich sprężyn i wysiłków użyli i do jakich ustępstw wobec p. Olschówki byli gotowi, by subhastę powstrzymać, odnośnie znieść, a tem samem Kotowiecko uratować, ten tylko to ocenić zdoła, który bliżej stał tej sprawy. Dość wymienić nazwiska pp. dr. Kusztelana, dyrektora Banku Związku, mecenasa Trąmpczyńskiego, Zygmunta Chłapowskiego, Hipolita Zakrzewskiego, pełnomocnika ks. Radziwiłła i innych, którzy, by subhasty wogóle uniknąć, a już z chwilą wniosku o subhostę, nie pominęli żadnej okazyi i dołożyli wszelkich sił, by p. Olschówkę zniewolić do cofnięcia subhasty, przyczem pp. Morawscy znów gotowi byli do wszelkich możliwych materyalnych poświęceń na korzyść p. Olschówki.

Wszystko to było daremne. Pp. Olschówkowie nie zważali na nic. P. dr. Kusztelan pragnął zainicyować Spółkę, składającą się z obywateli ziemskich, przyczem był gotów służyć wszystkiemi potrzebnemi pieniędzmi i to stosunkowo po bardzo niskim procencie; nadto pp. Morawscy chcieli nie tylko pozostawić na hipotece wszystkie swoje pieniądze, ale gotowi byli jeszcze do bardzo znacznych ustępstw.

Zawiązanie Spółki się nie powiodło, aczkolwiek chodziło tylko o dobre chęci, bo pieniędzy z kieszeni nie potrzebował wyłożyć żaden spółkowiec. Ja sam udałem się do prezesa „Straży“ p. Józefa Kościelskiego, by tenże mocą osobistych stosunków zniewolił mu bliżej stojących obywateli do zawiązania Spółki w celu uratowania Kotowiecka. Pan prezes aczkolwiek niedomagał na zdrowiu, podjął się tego trudnego zadania jak najchętniej, lecz tak samo daremnie. Dalej p. szambelan Cegielski podjął się nawet podróży do księcia Czartoryskiego do Sielca, by ten wobec właśnie zebranego obywatelstwa darem swej wymowy wpłynął na obywateli i przemówił za Kotowieckiem a raczej za zawiązaniem odnośnej Spółki. Już na drugi dzień z listu p. szambelana Cegielskiego wynikało wprawdzie, że zjazd był może dość liczny, lecz nie starczyło obywateli Polaków skorych do ratowania ojczystej ziemi, chociaż stanowczo bez wszelkiego ryzyka, a już w każdym razie bez naruszenia grosza z własnej kieszeni.

Takie i podobne starania o ratowanie Kotowiecka były przez cały przeciąg czasu bez przerwy na porządku dziennym, lecz wciąż daremne, pomimo, że pp. Morawscy każdy z osobna połowę swego spadku, a więc znacznie ponad 100,000 marek szli w pomoc kupującym, odnośnie na korzyść pp. Olschówków. Zatem śmiało rzec można, że ze strony pp. Morawskich wyczerpane były środki, by nie dopuścić, a przynajmniej znieść subhastę i Kotowiecko pozostawić w rękach polskich.

Wreszcie jeszcze w przeddzień samej subhasty, na propozycyę p. dr. Kusztelana, p. Ignacy Morawski z Oporowa wystósował do pp. Olschówków list w bardzo serdecznych słowach ujęty, a przez umyślnego do Kotowiecka wysłany, by pp. Olschówkowie byli łaskawi przybyć do Pleszewa, bo jest kupiec Polak, który dobrowolnie ofiaruje 1,000,000 marek za Kotowiecko, płacąc wszystkie pieniądze gotówką, że w Pleszewie jest zgromadzona cała rodzina i że takowa jest gotową zgodzić się na każdą możliwą propozycyę przez pp. Olschówków podaną. Na list ten pp. Olschówkowie nie dali nawet odpowiedzi. Tu muszę zaznaczyć, że na drugi dzień, w subhaście dała kolonizacya tylko 43,500 m. więcej, z czego odchodzą jeszcze znaczne koszta subhasty itd. A więc przez subhastę nie osiągnięto wcale wiele więcej, niż dzień poprzednio z polskiej strony dobrowolnie podano. Ten fakt atoli ujawnia dobitnie, że p. Olschówka miał już z góry zapewniony interes właśnie w subhaście i to bez względu na to, ile ten majątek przyniesie.

Dla informacyi zmuszony też jestem dodać jeszcze, że chociaż p. Olschówce, by go do przybycia zachęcić, doniesiono, że Polak nabywca ofiaruje 1 milion marek, to dawano za Kotowiecko wobec tego, że bez żniw, faktycznie tylko 900,000 m. Pp. Morawscy owe brakujące 100,000 m. pragnęli wobec p. Olschówki zamilczeć na wyłączną korzyść tegoż; kosztem własnej ofiary. A więc pp. Morawscy ofiarowali p. Olschówce 100,000 m. więcej niż sami osiągnęli.

Ponieważ p. Olschówka, jak bezustannie dawniej, tak i teraz w ostatniej krytycznej chwili, nie chciał z nikim mówić w tej sprawie, przeto pomiędzy mną a pp. Morawskimi stanęła wreszcie umowa na tem, że w tych samych warunkach stanę do licytacyi. Możliwość nabycia Kotowiecka na subhaście przezemnie nie była wykluczoną, raz, że z strony prezydenta komisyi kolonizacyjnej stanowczo oświadczono rodzinie Morawskich, że kolonizacya nie stanie wcale do licytacyi, a dalej, że w ostatniej chwili zjawili się pp. Pułascy, córka i zięć p. Suffczyńskiej, którzy również pierwotnie robili panu Chłapowskiemu nadzieję, że i oni gotowi poświęcić nawet jakieś trzydzieści tysięcy marek na korzyść kupca Polaka. W takim razie było 130,000 m. nadwyż-

ki dla pobicia prywatnego kupca Niemca, przypuszczając, że można polegać na słowie prezydenta komisyi kolonizacyjnej, że kolonizacya na Kotowiecko nie reflektuje. W takiem przedstawieniu sprawy było nieomal pewnem, że przelicytuje się każdego prywatnego kupca Niemca i że Kotowiecko ostatecznie ostoi się w rękach polskich. Kolonizacya też nie licytowała wcale, ale zjawił się naraz wyższy radzca rejencyjny jako licytant z ramienia król. domeny, czyli nie kijem go, ale drewnem. Przelicytowałem jednakowoż domenę i radzca rejencyjny salę opuścił. Zdawało się teraz, że Kotowiecko już tak dobrze jak uratowane, zwłaszcza, że licytanci Niemcy odpadli jeden po drugim opuszczając również salę. Do tego czasu doszedłem już wprawdzie do 1,000,000 marek, czyli przelicytowałem sumę 100,000 marek przez pp. Morawskich mi ofiarowaną, lecz miałem jeszcze rezerwę ofiarowaną mi przez pp. Pułaskich, a zachęcony tem byłbym i z mej strony jeszcze w cenie postąpił, atoli w tej chwili nagle przystąpiła do mnie p. Pułaska z oświadczeniem, że z wolą i wiedzą męża cofa swe dane mi przyrzeczenie, bo nie myśli grosza tracić; równocześnie zjawił się jeszcze teraz na sali p. Kronheim z swym licytantem niejakimś Kamieńskim. i ożywił kampanią licytacyi od nowa. Wobec tego faktu udałem się do obywateli obecnych na sali, ludzi notorycznie bardzo zamożnych z powiatu pleszewskiego, zaznaczając przytem, że pp. Morawscy zrzekają się całej połowy swojej schedy na korzyść kupca Polaka i że naturalnie i ja, wylicytowawszy Kotowiecko, nie pragnę żadnego a żadnego ekwiwalentu, zrzekając się w takim razie nawet osobistych wydatków i strat wynikających z uruchomienia przeszło 80.000 marek kaucyi; jednakowoż daremnie! Żaden z tych panów obywateli nie kwapił się o pozyskanie Kotowiecka za tę cenę. Wtedy rad nie rad zmuszony byłem ustąpić pola pomimo szczerej pomocy pp. Morawskich, nie mogąc siebie jako jednostkę ryzykować przy takim milionowym interesie, przepłacając takowy w walce z fiskusem tylko dla idei, której zabrakło nawet całkiem na zjeździe obywateli w Sielcu i na sali sądowej obecnym a zamożnym obywatelom powiatu pleszewskiego.

Przytoczenie w jednym z numerów „Dziennika" łącznej pomocy obywatelskiej w dwóch wypadkach, notabene z przed laty — niczego jeszcze nie dowodzi, chyba przeciwnie, że przez przeciąg tak długiego czasu — tylko dwa wypadki wspólnej obywatelskiej pomocy — przytoczyć można; pod tym względem nie brak nam jednostek, lecz zawsze trudno wpośród obywatelstwa o łączne siły.

Wobec poprzednio podanych faktów śmiem powątpiewać, czy po przepłaceniu Kotowiecka ponad realną wartość znalazłoby się potem dość skorych do współudziału w poniesieniu ztąd nieuniknionych wcale znacznych strat, zwłaszcza, jeśli się wreszcie uwzględni ścierające się zdania w prasie naszej, gdzie jedna strona podnosi zarzut, że tak mało było licytantów Polaków, a z drugiej strony zaś formalny zarzut, że z polskiej strony wogóle przystąpiono do licytacyi! Przypuszczenie zaś, że w drugim wypadku strona przeciwna, licząc się z ewentualnością sprzedaży za bardzo niską cenę, łatwiejszą byłaby do układów, polega całkiem na nieznajomości sprawy. Właśnie ta przeciwna strona bowiem miała, jak się okazało, już z góry na wszelki przypadek dobrze zapewniony lukier — i to też jedynie było powodem, że subhasta stała się nieuniknioną.

Tyle jeszcze dla wyjaśnienia sprawy.

Poznań, 7 lutego 1906.

Marcin Biedermann.

„Straż".

Wiec „Straży" w Radzynie dla powiatu grudziądzkiego odbył się w niedzielę na sali p. Wyrzykowskiego. Zagaił go starosta na powiat grudziądzki pan Józef *Paszotta* z Plemięt. Przedstawiwszy w krótkich słowach cel wieca, zaproponował na przewodniczącego wieca p. Golskiego z Mazanek, na zastępcę tegoż p. Zygmunta Działowskiego z Gawłowic, na sekretarza p. Kaysiewicza, na ławników pp. Wieczorkowskiego, Zielińskiego i Ambrożkiewicza, na co się wiecownicy jednomyślnie zgodzili.

Pan *Gonczerzewicz* z Grudziądza mówił o stosunku Polaków do rządu pruskiego, o naszych powinnościach i obowiązkach — i o naszych prawach, które mieć powinniśmy, a jednak nie mamy.

W czasie przemówienia p. Gonczerzewicza wszedł do sali p. *Rzepecki* z Poznania, witany przez wszystkich z radością.

Pan Rzepecki w przeszło godzinnej a potoczystej mowie przedstawił dokładny obraz naszego położenia i potrzebę zjednoczonej obrony interesów narodowych.

Na ten sam temat przemówił niemniej do serca p. Maryan *Paszotta*.

Pan *Stefański* od „Gazety Grudz." przestrzegał przed pieniactwem, które zakorzeniło się w ludzie polskim i przed zanoszeniem gotówki żydom.

Pan *Golski* zaleca równość i karność. Równi jesteśmy sobie wszyscy, choć rozmaitych zawodów, lecz żaden zawód nie jest niższym ani wyższym od drugiego. Karności powinniśmy się nauczyć, a tej przykład dali nam socyaliści, wprawdzie nasi nieprzyjaciele, dnia 21 stycznia. Dnia tego zwołali wiece protestujące przeciw klasowemu systemowi wyborczemu do sejmu pruskiego. Na wiece te zgromadziły się tysiące narodu, a nigdzie spokoju nie zakłócili i nie dali władzom powodu do wkroczenia, choć władze zamieszek się spodziewały.

Pan Józef Paszotta zachęcał, aby wszyscy obywatele Polacy w powiecie grudziądzkim do „Straży" przystąpili i w pracy go poparli.

Z kolei przemawiali jeszcze pp. Kostka i Gonczerzewicz, poczem przewodniczący pochwaleniem Pana Boga wiec zamknął.

Na członków „Straży" zapisało się 100 osób.

* * *

Wiec „Straży" w Rogowie odbył się w niedzielę na sali pana Dąbrowskiego; wiecowników zebrało się około 280. Zgromadzenie zagaił w serdecznych słowach starosta powiatu żnińskiego pan Sławoszewski ze Sławoszewa, poczem udzielił głosu delegatowi Głównego Zarządu p. Stanisławowi Zielińskiemu, który wyjaśnił cele i zadania „Straży." Pan Dąbrowski, kupiec ze Żnina mówił na temat „swój do swego,' oraz poruszył inne nasze bolączki. Trzeci mówca, włościanin p. Wincenty Ziókowski z Jańskowa wzywał w gorących słowach do trzymania się twardo na rodzinnej glebie. Redaktor „Lecha pan Jan Teska rozwiódlszy się szerzej o niebezpeczeństwie germanizacyi prze kościół zaproponował uchwałę opiewającą, że wiecownicy rogowscy wzywają Główny Zarząd „Straży," by zechciał wstawić się u Najprz. ks. Arcybiskupa, za uwzględnieniem słusznych żądań Polaków dotyczących kazań polskich i t. d. Wiecownicy z zapałem jednomyślnie przyjęli wniosek. Pod koniec zawiadomił obecnych pan Szczepanowski z Rogowa, że zgłosił się na członka miejski sprzedawczyk pan X. i że biuro wieca postanowiło wysłać kartkę kandydacką owego pana Głównemu Zarządowi z odnośnem objaśnieniem oraz żądaniem nie przyjęcia sprzedawczyka na członka „Straży." Po-

tem pan starosta Sławoszewski wniósł okrzyk na cześć mówców, a pan Zieliński na pomyślny rozwój organizacyi w starostwie żnińskiem. — Podczas przerwy urządzonej po przemówieniu delegata zapisało się na członków 203, co stanowi niebywały procent, bo aż 75 na stu — a zważyć trzeba, że wiec odbywał się w miasteczku, zewsząd otoczonem kolonizacyą. Uznanie należy się panu staroście za energiczne zakrzątanie się koło urządzenia wieca, niemniej hoteliście panu Dąbrowskiemu, który mimo wielkich trudności stojących na przeszkodzie, salę przygotował i oddał do dyspozycyi „Straży.“ Policyę reprezentował kom. Augustini.

* * *

Wiec wyborczy w Szubinie odbył się w niedzielę przy licznym udziale publiczności. Obszerne sprawozdanie z działalności komitetu wyborczego zdał p. *Brzeski z Krotoszyna.* Po jego przemówieniu wystąpił p. *Chociszewski* z Poznania i zachęcał obecnych, aby do „Straży“ wstępowali, a poparł go starosta „Straży“ p. *Malczewski.* Urządzono także zapisywanie na członków „Straży.“ Tak więc wiec wyborczy przemienił się na wiec „Straży.“ Pierwotny jego charakter tłómaczy fakt, że przewodniczącym wieca był ks. radca *Sołtysiński.*

Wiadomości.

* **Kara za mowę na wiecu:** „Dz. Polski“ pisze: „P. Szczepan Żurawski z Dortmundu przemawiał na wiecu w sprawie opieki duchownej, aby dzieci rodziców polskich były przygotowywane do Sakramentów świętych w języku polskim. W piątek wieczorem miejski urząd czyszczenia ulic wypowiedział panu Żurawskiemu pracę. Pan Żurawski spełniał swoje obowiązki wiernie przez dwa lata. Kierownik urzędu powiedział mu wyraźnie, że pracę wypowiada mu li tylko z powodu jego wystąpienia na wiecu“.

Tak wygląda „wolność“ w Prusach!

* **„Niebezpieczne“ pisma polskie.** W sobotę przed drugą poznańską izbą karną toczył się proces przeciwko kilku warszawskim pismom. Najpierw chodziło o pismo humorystyczne „Muchę“, która w nr. 48 z grudnia r. z. umieściła rycinę porównującą ruch rewolucyjny w Rosyi z ruchem polskim pod pruskim zaborem. Dalej niebezpiecznym okazał się „Wędrowiec“, który podał w nr. 51 z r. z. wiersz, w którym dopatrzono się podburzania do gwałtów. Niebezpiecznym wreszcie okazał się „Tygodnik ilustrowany“, który w nr. 48 i 49 podał polityczną karykaturę. „Mucha“ i „Wędrowiec“ zasądzone zostały na konfiskatę, do „Tygodnika ilustrowanego“ zastosowano § 95 kodeksu karnego, dotyczący obrazy domu panującego. Przeciwko „Biesiadzie Literackiej“ także wytoczono proces. Sąd uznał rozprawy za niebezpieczne dla państwa i dla tego odbywały się z wykluczeniem publiczności.

* **Wolność w Prusach:** Wiadomo powszechnie, że utrudnia się Polakom na wszelki sposób urządzania wieców i zebrań publicznych. Świeżo donosi z *Bremy* „Wiarus Polski“, że w okolicy Bremy Polacy wogóle wieców odbywać nie mogą, gdyż nikt im nie chce udzielić na ten cel sali. Gdy zaś znalazł się p. Ficke w Lüssum, który nie ustąpił pod naciskiem władzy i oddał salę na wiec polski, żandarmi mimo poświadczenia z landratury, zakazali odbycia wieca. Panu F. zaś doniesiono, że mu nie wolno udzielać sali na jakiebądź zgromadzenia publiczne!?

— *W Wieszczeczynie* pod Dolskiem policya odmówiła pozwolenia na odegranie teatru amatorskiego i odbycia zabawy skromnej Towarzystwu robotników. Towarzystwo to, kierowane przez miejscowego ks. proboszcza, nigdy polityką się nie zajmowało.

— *W Kościanie* „pozwoliła“ policya „Sokołowi“ na zabawę i odegranie teatru amatorskiego — bez udziału pań.

Tak oto wygląda wolność obywatelska w Prusach, tak wygląda w świetle faktów twierdzenie p. ministra dla spraw wewnętrznych, że w państwie pruskiem wszystko jest w *porządku* i że *żadnych skarg* na samowolę i nadużycia władz policyjnych nie odebrał — z wyjątkiem dwóch mniejszej wagi! — Czyżby te zażalenia mniejszej wagi od Polaków pochodziły? — Byłby to dowód na to, że nas Polaków uważa się w Prusiech jako obywateli — drugiej klasy, to znaczy także mniejszej wagi. Po co więc tyle kłopotu sobie robi z nami rząd?

* **Sprzedawczycy!** Gospodarz Walenty *Kowal z Latowic* sprzedał swe 50 morgowe gospodarstwo komisyi kolonizacyjnej czy landbankowi.

— *Antoni Woziński z Grabowa* kupiec, prezes Towarzystwa przemysłowego, komisarz „Straży“, członek Banku ludowego, skarbnik kasy kościelnej i członek dozoru — sprzedał swoje gospodarstwo Niemcowi Hebischowi.

— Gospodarz *Swędra,* którego gospodarstwo graniczy z folwarkiem *Babinem,* własnością p. starosty „Straży“ Stanisława *Jordana z Popowa podleśnego* w pow. gnieźnieńskim, pertraktuje z komisyą kolonizacyjną. Wszelkie zabiegi p. starosty Jordana, aby go odwieść od sprzedaży, pozostały bez skutku. Pan Jordan chciał sam kupić to gospodarstwo i ofiarował dość wysoką sumę, ale z kolonizacyą konkurencyi wytrzymać nie może. Pan Swędra żąda — a może i dostanie — 440 mk. za morgę.

* **Psarskie i Manieczki** kupił od spadkobierców po ś. p. Antonim Graevem za pośrednictwem firmy „Broekere et Comp.“ p. hr. *Plater z Góry.*

* **Bukałowie,** o których donosiliśmy, że chcą sprzedać — ew. kolonizacyi — *Kawiory i Ostrowo,* folwarki te sprzedali Polakom. Nieomal 1000 mórg zostało przez to w rękach polskich.

* **O sokoli!** *Z Marksloh* w Nadrenii donoszą do „Postępu“, że na zabawie tamtejszego Tow. gimn. „Sokół“ — po „kiepskich“ ćwiczeniach — doszło do zaciętej bójki, którą policya musiała uśmierzać. Wypadek to w dziejach sokolstwa niesłychany. Lepiejby się sokoli tamtejsi nie nazywali druhami, bo postępowanie ich nie zasługuje na to zaszczytne miano.

* **Wyjaśnienie.** „Dz. Poznański“ donosił w tych dniach jakby o wielkiej zasłudze p. A. Muellera, który w Kościańskiem zaprzepaścił Łuszkowo, że kupił *od Niemca* około 4 000 mórg ziemi i to dobra rycerskie Hennigsdorf nad torem kolejowym Poznań — Wrocław.

Z powodu tego ogłasza poseł dr. *Alfred Chłapowski,* że społeczeństwo polskie tych 4000 mórg nie może liczyć jako zdobycz swoją, ani policzać tego za zasługę p. Muellerowi, ponieważ p. M. przy sprzedaży Łuszkowa postąpił sobie jako sprzedawczyk, a nowe dobra nie kupował z pewnością — jako Polak. — W sprawie sprzedaży Łuszkowa zapowiada „Dz. Pozn.“ ogłoszenie korespondencyi między posłem dr. Alfredem Chłapowskim a Muellerem. Dowiemy się z pewnością ciekawych rzeczy.

* **Konkurs.** Sekcya II „Straży“ rozpoczyna szereg konkursów ogłoszeniem *nagrody I w wysokości* **marek 50** *i nagrody II w wysokości* **marek 30** za najlepszą rozprawę na temat:

„O potrzebie łączności Polaków na obczyźnie“.

Rozprawa ta ma być w formie popularnego odczytu, objętości 1—1½ arkusza druku. Termin: 1 kwietnia 1906. **Sędziowie konkursu wybrani są z łona sekcyi II „Straży“. Na nagłówku i ko-**

percie *zamkniętej* pisze się godło; w kopercie nazwisko autora.

Adres: *Dr. Tadeusz Jaworski Poznań — Posen.*

Sekcya kulturalna „Straży.“

* **Do kasy** prowincyoralnego komitetu wyborczego, wpłacili składkę za rok 1905 powiaty: pleszewski, śremski, bydgoski wiejski, wągrowiecki, międzychodzki rawicki i mogileński; częściową składkę powiaty: jarociński, gostyński, kępiński, śmigielski, szubiński, ostrowski, gnieźnieński, odolanowski, czarnkowski, krotoszyński i witkowski.

Poznań, dnia 9. lutego 1906.

M. Więckowski, skarbnik.
Teatralna 6.

* **Bojkot.** *W Kiszkowie,* pisze „Lech“, jest młyn parowy w polskich rękach. Zwożą do niego okoliczni kowi... swe zboże do mielenia, bo im z tem wygodnie. Tymczasem jeden z administratorów komisyi kolonizacyjnej zwołał w tych dniach kolonistów do Turostowa — zaprzepaszczonego przez Urbanowskiego — i tam im zagroził surowemi karami, jeżeli nadal z owym młynarzem polskim będą utrzymywali stósunki. Podobno im nawet więzieniem zagroził. Podobna sprawa zdarzyła się niedawno w Kłecku.

* **Z teatru:** W sobotę odegrany będzie po raz pierwszy na scenie naszej utwór Gerh. Hauptmanna: *„Elga“*, w którym role główne odegrają pp. Podgórska, Królikowska, dyr. Ryger, Prochaska i inni. Autor „Elgi“ należy dziś do pierwszorzędnych filarów dramaturgii niemieckiej.

W niedzielę po południu o 3 piękna i pełna efektów baśń dramatyczna: *„Madej zbój“* Mattauscha, z muzyką K. Słomkowskiego. *Ceny do połowy zniżone.*

Tego dnia wieczorem po raz drugi: *„Elga“*, G. Hauptmanna.

* **Wiec „Wyzwolenia“**, towarzystwa zupełnej wstrzemięźliwości, odbył się w niedzielę w Gnieźnie z udziałem blisko 400 osób, między innemi kilkudziesięciu pań. Wiec zagaił pan dr. Gantkowski z Poznania, przewodniczył ks. prob. Niesiołowski z Pleszewa. O szkodliwości alkoholu mówił p. dr. Czarnecki z Gniezna, a ks. Olejniczak z Gostynia wykazał potrzebę towarzystw wstrzemięźliwości. W dyskusyi przemawiali p. Ceyrowski z Poznania, pani Dzieciuchowicz z Poznania, Józef Chociszewski z Gniezna i ks. Niesiołowski. Na członków „Wyzwolenia“ zgłosiło się blisko 60 uczestników.

* **Swarzędz.** Przy współudziale ks. prałata Wawrzyniaka założono z inicyatywy miejscowego ks. proboszcza Nejczyka *Bank ludowy* i zapisano go w rejestrze spółkowym. Zarząd tworzą: ks. prob. *Nejczyk* dyrektor, *E. Schleichert* podskarbi, *J. Niemojowski* z Nowejwsi p. Swarzędzem kontroler. Do rady nadzorczej należą pp.: *J. Cabański* prezes, *T. Staniewski* wiceprezes, *M. Schleichert L. Wojciechowski, St. Rybarski.*

Powołanie do życia Spółki pożyczkowej witają obywatele tutejsi z zadowoleniem, tem więcej, że potrzeba podobnej instytucyi tutaj oddawna dawała się odczuwać. Życzymy jej jak najlepszego rozwoju: „Szczęść Boże!“

Bank ludowy w Swarzędzu przyjmuje oszczędności od 1 marki na procent, płacąc zależnie od czasu wypowiedzenia 3 i pół do 4 i pół proc. i udziela członkom pożyczek.

* **Śrem.** Towarzystwo Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo urządza w niedzielę dnia 18 bm. na sali Hotelu Wiktoryi przedstawienie amatorskie pod tytułem „Ciotka Karola“. Początek o godzinie $7^1/_2$. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O liczny udział uprasza

Zarząd.

* **Zaniemyśl.** Swego czasu zasądzonych zostało za usunięcie wieńców z grobu Jouana, zięcia „ na Tiedemanna z Jeziorek kilku polskich ludzi na dość znaczne kary. W sobotę instancya apelacyjna w Poznaniu wydała jednak wyrok *uwalniający.*

* **Kcynia.** (*Niepoprawni*). Czytałem w „Pracy“ przed kilkunastu dniami korespondencyą z Nakła, o patryotyźmie nakielskich Polaczków i przyznać muszę, że pod tym względem te same u nas panują stósunki. Mógł był korespondent z Nakła przybyć do Kcyni w królewskie urodziny, a byłby zobaczył jakto kcyńscy Polaczkowie pięknie iluminowali. Pod względem iluminacyi nieomal każdym razem przewyższają najzagorzalszych patryotów niemieckich. Rok rocznie na obiady oficyalne uczęszczają; niektóre osobistości i to liczące się do arystokracyi, należą do Gesangvereinu, Kriegervereinu, do pewnej instytucyi polskiej i w końcu zasiadają w dozorze kościelnym i z tem wszystkiem tak im pięknie do twarzy, że tu u nas w Kcyni nikogo to nie razi i nic się o tem nie mówi, a tam w Nakle, że parę świeczek Polaczkowie zapalili, zaraz tyle wrzawy korespondent nakielski w „Pracy“ narobił.

Niedawno w „Dzienniku Kujawskim“ czytaliśmy, że w Kcyni tak wiele teatrów i zabaw się urządza, tak, prawda, o wiele za wiele, formalnie pod tym względem szał nas ogarnął, wielu to w Kcyni nazywa zarazą. Przed trzema tygodniami był teatr i zabawa, w przeszłą niedzielę teatr i zabawa (urządzili śpiewacy i przemysłowcy) w przyszłą niedzielę teatr i zabawa (urządzają robotnicy) na ostatku zapowiedziany jakiś maskowy balik, a w zeszłym roku co to tego urządzono, sami robotnicy 4 razy. Znam stósunki Kcyńskie na wskroś dobrze, wiem, co to za bieda pomiędzy klasą robotniczą. Przypatrzmy się, jak to na pierwszego każdego miesiąca spieszą się na pocztę po rentę, nie żydzi i bardzo mało co Niemców, tylko nasi Polaczkowie. Policya co rok dla kilku biednych rodzin polskich pomieszkania wynajmuje. Panie miłosierdzia co rok przed gwiazdką urządzają kwestę dla biednych Polaczków z klasy robotniczej, a z tej klasy robotniczej tak wiele urządza się zabaw i teatrów. Czy X. proboszcz, jako patron stowarzyszenia robotników kcyńskich, nie mógł by tej liczby zabaw cokolwiek zmniejszyć? Żony niektórych robotników z płaczem się uskarżają, w domu bieda, ciężkie czasy, a tu mężulkowie wracają późno w nocy z prób teatralnych podchmieleni, w domu awantury wyprawiają i obrazę Boską. Te teatra przeklinają nietylko żony robotników, ale w większej części i żony rzemieślników. *K.*

* **Toruń,** d. 12. II. 06. Szanowna Redakcya „Pracy!“ Z wielkiem zdziwieniem wyczytałam w ostatnim numerze „Pracy“ twierdzenie szanownej Redakcyi, że pomoc naukowa żeńska istnieje tylko w Poznaniu. Otóż tak nie jest. — Ponieważ jestem kasyerką i sekretarką toruńskiego Towarzystwa Pomocy Naukowej — dla dziewcząt polskich, czuję się zobowiązaną, szanowną Redakcyą dobrze poinformować: Towarzystwo Pom. Naukowej dla dziewcząt zostało założone w Toruniu r. 1870. Dopiero po niejakim czasie podzieliło się na Towarzystwo poznańskie i toruńskie i to w ten sposób, że oprócz siedmnastu powiatów Prus, należy do toruńskiego Towarzystwa kilka powiatów Księstwa; mianowicie bydgoski, inowrocławski, strzeliński, szubiński i wyrzyski. W tych powiatach ma Towarzystwo kolektorki i panienkom tamże mieszkającym wsparć udziela.

Z szacunkiem
Zofia Piskorska.

Od Redakcyi: Dziękujemy uprzejmie Pani za udzieloną nam informacyę. Twierdzenie nasze opieraliśmy na informacyach zaczerpniętych pośrednio od zarządu poznańskiego Tow. pom. naukowej żeńskiej. Byliśmy więc

przekonani, że twierdzenie nasze jest słuszne. Chętnie sprostowanie Pani zamieszczając, przyznać się musimy, że informacya poznańska i informacya Pani wywołuje wrażenie, jakby obydwa te Towarzystwa — powstałe z jednego pnia — dziś bardzo mało ze sobą się komunikowały. Czemu to?

* **Baczność.** Z *Dellwigu* donoszą, że jedna z tamtejszych kopalń sprowadziła około 600 robotników z Austryi, a ci przetrwali w pracy przez jedną szychtę i poznali, że zostali przez agentów oszukani. Więc prócz 25 ruszyli wszyscy z powrotem! O ile wiadomo, zamierza owa kopalnia wysłać agentów do *W. Księstwa Poznańskiego* celem zwerbowania robotników! A więc *baczność Rodacy!* Nie dajcie się uwieść owym agentom, choćby wam złote góry obiecywali, ponieważ są to agenci najczęściej kopalń, w których praca najgorsza, a licha jest płaca. Bo gdzie lepsza płaca, tam każdy chętnie pracuje i ludzi jest poddostatkiem.

Ruch w Towarzystwach.

— *Towarzystwo polsko-katolickie „Sobieski" w Brandenburgu* (nad Hawelą) nadesłało nam obszerne sprawozdanie z czynności swoich w ub. roku. Niestety z powodu szczupłych łamów „Pracy" możemy zeń podać tylko najważniejsze szczegóły, dotyczące rozwoju i życia towarzyskiego.

W Tow. odbyło się w roku ubiegłym 29 zebrań, między innemi 5 walnych i 9 zarządu. Zabaw urządzono 5. Na początku zeszłego roku liczyło Towarzystwo 72 członków i jednego honorowego w osobie ks. prałata Wawrzyniaka. W przeciągu roku wstąpiło 43, wystąpiło 5, wykreślono 5, wyjechało 25, umarł jeden. Pozostaje zatem członków 92 i jeden honorowy. Majątku posiada Towarzystwo 219 mk. 3 fen.

Z gazet abonuje Tow. „Pracę", „Gazetę Grudz." i „Dziennik Berliński". Do zarządu wybrano następujących panów: prezesem Franciszka Banasiaka, sekretarzem Jana Przybyszewskiego, skarbnikiem Piotra Kościelnego, bibliotekarzem Leona Kwiatkowskiego, kierownikiem zabaw Ignacego Krawczyka, ławnikami Michała Stekela i Franciszka Żywickiego, rewizorami Juliana Wielińskiego, Jana Gdańca i Wojciecha Ostrowskiego, chorążym Bernarda Kruczkowskiego i Ernesta Schleja.

Posiedzenia odbywają się co dwa tygodnie u p. S. Gmerka (Schweizergarten) przy ulicy Rowowej nr. 14.

— *Towarzystwo polsko-katolickie we Wrocławiu.* Na ostatniem walnem zebraniu przedłożył zast. sekretarza p. Cieślewicz następjące sprawozdanie. Zebrania odbywały się co dwie niedziele. W zebraniach brały udział $^3/_4$ części członków. Zebrania były wypełniane odczytami z czasopism i pouczającemi artykułami. Towarzystwo abonuje następujące pisma: „Pracę", „Postęp", „Dziennik Berliński", „Lecha", „Wieniec", „Pszczółkę", „Przemysłowca" i „Górnoślązaka". W tem półroczu odbyło się posiedzeń 18 i jedno zarządu.

Według sprawozdania skarbnika stan kasy przedstawiał się następująco: Tow. miało w zeszłem półroczu dochodu 280,87 mk., rozchodu 115,72 mk., pozostaje 165,15 mk. 100 marek znajduje się w *Banku Przemysłowców* w Poznaniu, a 65,10 mk. gotówki u p. skarbnika. Majątek Towarzystwa przedstawia 1 000 marek wartości oprócz gotówki. Tym panom za wzorowe wypełnianie swych urzędów podziękowało Towarzystwo trzykrotnem okrzykiem. Następnie przystąpiono do oboru nowego zarządu, do którego wchodzą następujący panowie: Antoni Gawroński, prezes; Michał Spachacz, zastępca; Wincenty Gadziński, sekretarz; Antoni Kubasiński, zastępca; Jan Nowak, skarbnik; Józef Szczepaniak, bibliotekarz; Szczepan Cieślewicz, gospodarz; Dobieglewski i Dutkiewicz, ławnicy.

Towarzystwo polsko-katolickie należy do Związku Towarzystw polsko-katolickich w Niemczech, ma kasę pośmiertną, która wypłaca za 10 fen. miesięcznej wpłaty: 1) po 6 miesiącach 20 mk., 2) po roku 30 mk., 3) po 2 latach 60 mk., Towarzystwo urządza dnia 18 bm. zabawę karnawałową w domu św. Wincentego, Seminargasse 15, na którą Rodaków uprzejmie zaprasza.

Gadziński, sekretarz.

Od Redakcyi.

Panu K. Barcikowskiemu. Wiadomość o wyborach do kasy chorych odebraliśmy w czwartek wieczorem, kiedy numer „Pracy" na niedzielę, dn. 11 lutego już się znajdował w druku. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze przesyłanie nam listów, szczególnie gdy chodzi o takie, które jak najprędzej powinny być publikowane.

Anonimowi w Gostyniu: Anonimowi nikt nigdy nie wierzył. My niczyjego nazwiska nie wydajemy, jeżeli nas ktoś o to prosi.

Do Dysseldorfu. Uwaga nasza w ostatnim numerze, że odezwa do Polaków o misyę św. w Dysseldorfie drukowana jest w języku niemieckim, nie miała na celu obrażać kogośkolwiek, a najmniej O. Konstantego. Nam chodziło o to, by zwrócić czytelnikom naszym w Polsce uwagę, z jakiemi to trudnościami w sprawie opieki duchownej do walczenia mają Polacy. A swoją drogą przekonani jesteśmy, że wszyscy Polacy w Dysseldorfie i okolicy radziejby widzieli taką odezwę w języku — *polskim.*

Zarządowi Towarzystwa „Zgoda" w Żegrzu. — Notatkę zapraszającą na zaprzeszłoniedzielną zabawę i teatr amatorski, odebraliśmy dopiero dnia 2-go b. m. t. j. po skończeniu zupełnem druku numeru „Pracy" na dzień 4-go b. m, zatem zamieścić nie mogliśmy.

Panu Ignacemu S. w Kamen (Westfalia.) — W tej sprawie trudna rada, gdyż tamtejszych stosunków dokładnie nie znamy. To tylko pewna, że ludzi do pracy i tam nie brak. Ile podróż kosztuje — powie urzędnik (kasyer) na koleji.

Pana W. Br. w Dülken prosimy o odpowiedź na pytanie: czy istotnie uważa Pan rozwiązanie kwestyi polskiej za możliwe przez rozwiązanie kwestyi socyalnej — i jak? —

P. W 100. Naszem zdaniem zapewnione powodzenie ma *piwowarstwo.* Zawód to ciężki, wymagający dobrego zdrowia. Brak także u nas fabryki mydła — a niemieckie mają powodzenie. Zresztą każdy zawód jest korzystny. potrzeba jednakże do tego zdolności i pilności. —

Panu St. Chw. w Marxloh. Jeżeli Tow. uznane jest za zajmujące się sprawami *publicznemi*, to należy donosić o wstąpieniu nowych członków policyi w trzech dniach po wstąpieniu. Jeżeli Tow. dotąd nie było t. zw. Tow. politycznem, nie zajmowało się sprawami publicznemi i policya niczego w tym względzie Tow. zarzucić ani dowieść nie może, to członków zgłaszać na policyi nie potrzeba. Prosimy o doniesienie nam 1) czy policya zażądała zgłoszenia członków? 2) czy zgłaszaliście nowo przybyłych członków przed tem żądaniem policyi? 3) czy Tow. dało może powód do tego, ażeby policya uważała je za polityczne? — Po odebraniu odpowiedzi na pytania damy ostateczną i jasną odpowiedź.

Panu Piotrowi Nowakowi w Altenessen — polecamy p. J. Kwiatowskiego z Herne — ul. Nowa nr. 10 I. (Neustr.) Pan Kw. Panu sprawę Pańską przeprowadzi, inaczej musiałby Pan wyjechać do Jaskułek. — Pozdrawiamy.

Panu E. J. u p. B. w Z. — Nadesłany artykuł czy też, „wykład p. t. „Życie" nie nadaje się do „Pracy".

Reklama.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

3)

(Ciąg dalszy.)

Dojeżdżając do Rzeczycy, doświadczałem tych uczuć, jakich doświadcza każdy po długiem niewidzeniu stron rodzinnych. Coraz bliżej dojeżdżając do dworu, widziałem te same pola, łąki, drzewa, kamienie przy drodze, budynki, most na rzece, dom nakoniec gdziem się urodził. Widok tych miłych przedmiotów przypomniał mi lata dziecinne, gdzie wolny od trosk świata tego, na łonie szczęścia i spokojności wraz z braćmi moimi biegałem swobodny; dziś zaś, nie wiele lat temu, jakaż różnica! Świat wielki i obszerny, a nie ma gdzie głowy przytulić.

Wstrzymując łzy, aby mnie nie zdradziły, z bijącem sercem wyskoczyłem z bryczki, przed gankiem dworu zatrzymanej. W sieniach spotkał mnie jakiś człowiek, z ubrania na lokaja podobny.

— Czy w domu państwo Migurscy? — zapytałem.

Lokaj spojrzał na mnie z zadziwieniem.

— Pan musisz być zdaleka, kiedy nie wiesz, że państwo Migurscy od lat czterech tu nie mieszkają — odpowiedział.

— A gdzież mieszkają? Jestem z Galicyi i mam do nich interes — zawołałem.

— W Sandomierzu! — odpowiedział.

Nie chcąc wdawać się w żadne szczegóły z lokajem, a domyśliwszy się reszty:

— Dosyć! dosyć! — krzyknąłem odurzony, i wskoczywszy na bryczkę, pojechałem dalej.

Blizko katedry sandomierskiej, w niewielkim czysto utrzymywanym murowanym domu, mieszkał około ośmdziesiąt lat liczący starzec. Włos jego siwy i długi na ramiona spadający, osłaniał twarz wiekiem i cierpieniami zoraną. Z zamrużonemi oczyma, z założonemi na piersiach rękoma, siedział on nieruchomy w swoim fotelu, ruszanie tylko ust jego i cicho odmawiane modlitwy, dowodziły, że myśl jego oddana całkiem przyszłości, do której wkrótce miał się przenieść.

Na niewielkim taborecie około palącego się ognia na kominie, siedziała o lat szesnaśnie młodsza od niego kobieta. Rysy jej twarzy, chociaż równie wiekiem i cierpieniami zmienione, zachowały jednak ślady dawnej piękności, błyszczące zaś duże czarne oczy dowodziły, że w młodości mogły zająć niejedno serce. Głaszcząc na kolanach małego szpica, patrzała na męża, aby jeżeli czego zażąda, sama mu usłużyć mogła. W pięciu pokojach, całe ich mieszkanie składających, nie było oprócz ich dwojga nikogo. Rączka tylko mosiężna na drucie umocowana, dowodziła, że ktokolwiek ze sług, w drugiej połowie domu mieszkających, może przyjść na zadzwonienie.

Staruszkowie ci, byli to moi rodzice, którzy po wyjeździe naszym do Francyi i po wydaniu za mąż starszej ich córki a mojej siostry Nepomuceny, osiedli blizko kościoła.

Tak to zwykle bywa, że ci, których już świat nie zajmuje, udają się do Boga.

W takiem to położeniu byli moi rodzice, gdy ja zostawiwszy za parkanem bryczkę, ostrożnie i cicho z bijącem sercem przeszedłem dwa pokoje i zatrzymałem się na progu trzeciego, w którym oni oboje siedzieli.

Matka na mój widok powstała z siedzenia, i z twarzą zaczerwienioną, z gwałtownie bijącem sercem, ze łzami radości rzuciła mi się na szyję i objąć chciała, gdy tymczasem ja u nóg jej leżałem.

Który to z synów? ona jeszcze nie wiedziała, ale że syn, o tem była przekonana, jak mi to później sama mówiła.

Rozbudzony tym szelestem ojciec, zapytał:

— Co to jest?

— Syn, syn nasz przyjechał — nachyliwszy się do niego, szeptała mu do ucha matka moja.

— Syn! — powtórzył radością jaśniejący starzec.

— Pójdź synu, póki nie skonam, niech cię pobłogosławię.

I ja do łez rozczulony uklęknąwszy przed nim, przyjąłem na prędce błogosławieństwo.

Zadziwi to zapewne czytającego, że ja w charakterze Wiśniowskiego, wdawałem się w czasach tak niebezpiecznych w podobne rozczulenia z Migurskimi, lecz zniknie to podziwienie w chwili, gdy sobie przypomnimy, że i ja przedewszystkiem byłem także człowiekiem, i chociaż przygotowałem się przedstawić się im jako Galicyanin, nie widziawszy przez lat dwadzieścia moich rodziców, uległem takiemu rozczuleniu, jakiego młode i niezepsute serce jeszcze doznaje.

Jakkolwiek bądź, dzięki niech będą Opatrzności, że nikt obcy nas tu nie widział; inaczej zguba byłaby nieuchronną. Gdy jednak przeszły chwile pierwszego uniesienia, uprzedziłem rodziców, ażeby się ze mną przy obcych jak z Wiśniowskim obchodzono.

W godzinę potem, nowa scena odbyła się w tym pokoju. Rafalina, ośmioletnia siostra moja, którą najwięcej z rodzeństwa kochałem, wróciła z sąsiedniego domu, w którym była z wizytą.

Nazajutrz ojciec mój, usiadłszy w ulubionem swojem krześle i podług zwyczaju zamrużywszy oczy, biorąc mnie za rękę, zawołał:

— Biedny Wincenty! w tak młodym wieku, a już tyle wycierpiałeś, cierpisz i cierpieć będziesz! Przebacz mój synu tej smutnej przepowiedni, ale ja to czuję i naprzód widzę... We własnym domu, a jesteś obcym!... Rodzice twoi... którzy by ci powinni serce otworzyć... oni ci dachu odmawiają!...

...O carze Mikołaju!... Bóg kiedyś odepchnie cię od swego łona, jak ty nas zmuszasz wyrzekać się własnych dzieci! że zaś każesz nam gwałcić najświętsze prawa natury, za to kiedyś ciężko odpowiesz! Moc i potęga twoja wkrótce tu przejdą, a ty wyrzutami i zgryzotą sumienia, jak straszydło jakie błąkać się będziesz wiecznie, i nie znajdziesz przytułku!...

— Amen! — zawołałem.

O moi szanowni czytelnicy! gdybyście wy wiedzieli w tę porę mojego ojca, równie jak ja bylibyście zdziwieni. Twarz jego w górę wzniesiona, oczy jasnością zabłyszczały i jakby czytając przyszłość Mikołaja, najziemskiej jakiejś przybrał postać istoty; zamrużył później oczy, i wrócił do stanu odrętwienia.

Na drugi dzień wziąłem arkusz czystego papieru, rozłożyłem go naprzeciw okna, i starannie szukałem, czy nie znajdę na nim znaków wodnych lub nazwiska papierni i roku, i nieznalazłszy tego, czegom się obawiał, napisałem na nim co następuje:

„Ja niżej podpisany, wziąłem sposobem pożyczki od Wgo Antoniego Wiśniowskiego dwieście pięćdziesiąt reńskich srebrem, czyli na monetę, kurs w Królestwie Polskiem mającą, złotych polskich tysiąc, które upraszam rodziców moich, Walerego i Katarzyny Migurskich w Królestwie Polskiem, w województwie sandomierskiem, we wsi Rzeczyca Mokra mieszkających, temuż Antoniemu Wiśniowskiemu lub jego pełnomocnikowi łaskawie wypłacić.

Działo się w Paniowcach Zielonych, dnia 12-go maja 1832 roku (podpisano Wacław Migurski).“

Po napisaniu takiego dokumentu, zmiąłem go i wytarłem o podłogę, aby ile można zrobić go dawnym, złożyłem go potem we czworo, i przy mojej matce i siostrze oddałem ojcu mówiąc:

— Jeżeli kiedykolwiek i jakakolwiek komisya zapyta was, czy Antoni Wiśniowski był w waszym domu i poco? to odpowiedzcie, że był, i odebrawszy od was pieniądze pożyczone przez niego synowi waszemu Wacławowi, udającemu się do Francyi, po dwóch noclegach wyjechał, zostawiw-

szy wam ten oto kwit. Ja zaś w przypadku tak samo tłumaczyć się będę, i tym sposobem zgodzimy się na jedno.

O dwanaście mil od Sandomierza, jest miasto wojewódzkie Radom. W tem mieście jest komora celna, której naczelnikiem był pan M., stary kawaler, brat rodzony mojej matki. Od kilkunastu lat będąc na tym urzędzie i pobierając prócz tego dochody ze swego majątku, nie wydawał tyle ile pobierał, tem więcej przeto uchodził za bogatego, że się nie udzielał nikomu.

Kiedy ja z braćmi moimi do szkół jeszcze chodziłem, ujmował on sobie nasze młodociane serca różnemi studenckiemi fraszkami, pomoc zaś główną odkładał na później, jeżeli który z nas potrzebować jej będzie.

Po wyjeździe więc od rodziców postanowiłem udać się do niego, nie zważając na to, że żegnając się ze mną Albina zaklinała mnie ze łzami, ażebym u jej familii o żadne posiłki się nie starał, dowodząc, że to co ona posiada, już do mnie należy, i wystarczy na nasze utrzymanie. Mimo to jednak odezwała się we mnie ambicya mężczyzny z porządku natury wynikająca, żeby utrzymywać żonę, a nie być przez nią utrzymywanym.

Z tych więc powodów umyśliłem jechać do wuja, i to tem więcej, że moi rodzice utrzymując się z niewielkiego kapitału, nic mi dać nie mogli prócz objaśnienia, że majątek nasz, po wyemigrowaniu naszem, taki wziął obrót, że chcąc go odzyskać, potrzeba-by wiele osób żyjących jeszcze skompromitować.

Ostatnie dnie marca, szczególniejszą tego roku odznaczały się pogodą. Dzień, w którym od rodziców wyjechałem, był tak piękny i jasny, że żadna chmurka na niebie nie przeszkadzała oku widzieć błękitne jego sklepienie. Słońce dopiekając świeciło jasno, i ostatki śniegu konając pod jego promieniami, wywoływały świeżą zieloność; drzewa już prawie rozwijały swe pączki, a po ich gałęziach świegocąc miłe ptaszęta śpiewem swoim uwielbiały dobroczynną i do nowego życia powołującą ich naturę; bydło rozbiegło się po zazielenialych płaszczyznach, młodą trawkę zrywając, a jałowice i jagnięta skacząc po pagórkach, wesołym głosem składały dzięki naturze. Słowem, cała przyroda zmieniła się, i ze smutnego i jednostajnego widoku wesołą i różnobarwną przyjęła postać.

Taką właśnie była chwila, którą umyślnie szczegółowo opisałem, abyście się przekonali, co z tego wynikło.

Stefanek wioząc mnie zamyślonego, zobaczył dwie drogi.

— Którą jechać? — zapytał.

I rzeczywiście dwie drogi się pokazały. Lewa prowadziła do Radomia, prawą trzeba było jechać do Galicyi. Na zrobione mi zapytanie, ja jakby ze snu przebudzony, doznałem tak gwałtownego wewnętrznego wstrząśnienia i przestrach tak wielki mię opanował, że trzęsąc się cały parę minut nie mogłem słowa przemówić.

Stefanek zatrzymał konie, i patrząc z żalem na mnie widocznie zmienionego, w milczeniu oczekiwał dalszych rozkazów.

Przeczuwałem ja, że cała przyszłość moja od jednego słowa zależy, wspomniawszy sobie atoli, że do Galicyi bez niczego wracać niepodobna, siląc się na odpowiedź, z konwulsyjnem drganiem ust moich, zawołałem nakoniec:

— W lewo.

Zdaje się, że cała prawie natura tego tylko słowa czekała. Odtąd bowiem tak piękna i spokojna jak opisałem, po wyrzeczeniu nieszczęśliwego słowa: „w lewo", jakby czarodziejską laską dotknięta, w jednej chwili się przemieniła. Słońce się zaćmiło, czarne chmury zkądsiś raptem nadbiegły, gwałtowny wiatr podjął się naraz i oczy nasze piaskiem zasypał; śnieg w szerokich płatach gęsto spadając, zawalił drogę.

Przestraszony Stefanek zatrzymał konie, i obracając się do mnie z widoczną trwogą, zawołał:

— Coś to będzie panie!

Ja patrząc na to wszystko, równie byłem strwożony, nie chcąc jednak poddawać się głupim przesądom, odpowiedziałem:

— Nic nie będzie! śnieg będzie! — i dalej jechać kazałem.

Nie sądźcie moi czytelnicy, ażeby to, co tu czytacie było wymysłem, grą imaginacyi, lub skutkiem fantazyi; wszystko to, co ja opowiadam i dalej opowiadać będę, jest rzeczywistą prawdą. W tem tylko zaręczyć was mogę, że nie jestem poetą i Bóg moim świadkiem, że do tego najmniejszej nie mam zdolności, talentu, ani pretensyi!

Tak walcząc z czarnemi przeczuciami, jakby na przekor podjętej burzy i zawierusze, pojechałem w lewo. Nocowałem w miasteczku Skaryczowie, ztąd nazajutrz wyjechałem do Radomia. Zsiadłszy z bryczki, o godzinie dwunastej w południe udałem się do mieszkania wuja mego. Mieszkał on w własnym domu, dla tego szukać go nie miałem potrzeby. Dowiedziawszy się zaś, że go nie ma w domu, już wracałem, gdy spostrzegłem starca naprzeciw mnie idącego. Starzy nie tak się zwykle przemieniają jak młodzi. Poznałem go więc od razu, i podchodząc do niego zapytałem:

— Czy z panem M. mam honor mówić?

— Tak jest — odpowiedział sucho.

— Jestem Wiśniowski z Galicyi, i mam do pana interes.

— Proszę więc do pokoju.

I wpuściwszy mnie naprzód, wszedł za mną, i starannie drzwi zamknął.

— Czy sami tu jesteśmy? — zapytałem go.

— Sami.

— I nie poznałeś mnie wuju?

— Wacław?

—Nie, Wincenty.

— Ach! co ty tu robisz? odskakując odemnie w tył na parę kroków, przestraszony zawołał.

— Nie obawiaj się niczego kochany wuju. Publicznie jako Galicyanan za paszportem przejechałem granicę, zresztą nikt nas tu nie widzi...

— Słuchaj Galicyaninie, jeżeli nie chcesz, ażebym cię w tej chwili oddał w ręce gubernatora wojennego, to natychmiast opuść me progi! — w uniesieniu gniewu najukochańszy zawołał wujaszek.

— Wuju! przed skasowaniem w tym kraju loż massońskich, wiem, że byłeś Massonem... Już nie jako siostrzeniec, lecz jako członek tego związku (robiąc znak) zaklinam cię, wysłuchaj mnie i...

— Nie byłem! nie byłem! — tupając ze złości nogami, zawołał.

— Widać, żeś nie był, kiedy nie znasz najświętszych tego związku obowiązków! — z oburzeniem i dumą zawołałem. I odwróciwszy się prawie z pogardą od niego, wyszedłem, drzwi za sobą zatrzasnąwszy.

— O mój Boże! cóż ja teraz z sobą zrobię, o ja nieszczęśliwy-...

I mimowolnie, że „świat wielki i obszerny, a nie ma gdzie głowy przytulić", znowu pomyślałem.

Takiemi zajęty myślami, udałem się do oberzy, do której ledwo co przyjechałem, kazawszy Stefankowi zaprzągać spocone jeszcze konie, zapłaciwszy za niedojedzony jeszcze obrok, siadłem na bryczkę, i ruszyłem ku tej samej rogatce, którą przed godziną wjechałem.

Stojący na straży weteran zapytał:

— Gdzie pan jedziesz?

— Do domu, do Galicyi — odrzekłem.

— Stój — na Stefanka zawołał strażnik. I obracając się do mnie, zrobił zapytanie:

— A czy pan meldowałeś się w policyi?

— Nie, gdyż nie nocuję — odpowiedziałem.

— Nie można panie. W gubernialnem mieście jest zwyczaj, że nie tylko w policyi, ale i w biurze wojennego gubernatora papiery swoje pokazywać należy.

To mówiąc, zażądał paszportu.

Smiało i bez żadnego znaku obawy dobyłem i oddałem mu go. Weteran dał znak, aby się za nim udać. Poszedł on do urzędu municypalnego, gdzie i ja osobiście stanąłem, a tłumacząc się, że jako Galicyanin nie wiedziałem zwyczaju, że nienocującym trzeba się meldować w policyi, zażądałem paszportu. Ale zlodowaciałe urzędników twarze nic mi nie odpowiedziały, a zapisawszy w księgę potrzebny im numer paszportu, uzbrojonemu żołnierzowi go wręczyły, i mnie z nim razem do biura wojennego gubernatora iść kazały.

Tak idąc pod strażą, zobaczyłem Stefanka, który nie mogąc się mnie doczekać przy rogatce, wjeżdżał do tego samego hotelu, z którego przed chwilą wyjechaliśmy. W tym domu całe piętro zajmował wojenny gubernator, jenerał

major B... Tu to zaprowadził mnie mój żołnierz, i tu po raz pierwszy w życiu mojem zobaczyłem tak blisko moskiewskie twarze. Było ich tam mnóstwo w obszernej sali; widać, że przyzwyczajeni byli do podobnych widoków, bo gdy mnie wprowadzono, nikt na mnie nie zwrócił uwagi.

Po niejakiej chwili drzwi się otworzyły, i z obocznego pokoju pokazał się siwy, małego wzrostu, dość otyły mężczyzna w surducie mundurowym, ze szlifami generalskiemi. Był to właśnie jenerał-gubernator, przy którego wejściu wszyscy z uszanowaniem powstali. On zaś trzymając paszport mój w ręku poszedł ku mnie, i porównywając rysopis w paszporcie wyrażony z moją twarzą, zapytał:

— Pan się nazywasz Antoni Wiśniowski?

— Tak! — odpowiedziałem.

— Z Wołynia?

— Nie, z Galicyi!

Gubernator nic mi więcej nie mówiąc, wyszedł. W kilka minut boczne drzwi znów się otworzyły i wystająca ręka w mundur ubrana, kiwnęła na siedzącego przy drzwiach majora, który zerwawszy się z miejsca, wyszedł z pospiechem.

Ja milcząc czekałem, i niecierpliwem okiem wodziłem dokoła. Ale w pół godziny potem, niech sobie każdy wyobrazi moje zadziwienie, przestrach, złość i oburzenie, gdy w rękach powracającego majora ujrzałem moje pistolety, rewersa i inne papiery z tłumoka mego wydobyte.

Dotąd sądziłem, że po obejrzeniu mojego paszportu oswobodzą mnie, lecz gdym spostrzegł, że bezemnie zrewidowano i wzięto moje rzeczy, niestety! zrozumiałem moją przyszłość, i tak tym postępkiem byłem rozgniewany, że idąc za popędem wściekłego gniewu, tylko żem nie porwał za mój pistolet, dość ostrożnie na stole położony, i nie zabił pana majora, gdyby myśl o Albinie nie wstrzymała mnie od tego kroku.

Dnia 5 kwietnia z rana ja w towarzystwie oficera żandarmów, wjechałem extrapocztą do Warszawy, i pocztylion zatrzymał się przed pałacem Brühlowskim. Zeskoczyliśmy prędko obaj z bryczki, i poszliśmy wewnątrz mieszkania.

Dobrzy mieszkańcy Warszawy, jakkolwiek oswojeni z podobnymi widokami, zebrali się jednak około pocztyliona, chcąc się przynajmniej dowiedzieć, zkąd przywieziono ofiarę. Lecz warta stojąca około pałacu, rozegnała ich kolbami.

Wkrótce wyszedłem z domu Brühlowskiego, i nie mówiwszy tam z nikim, wsiadłem z adjutantem jenerała gubernatora w przygotowaną dorożkę, i wraz z nim pojechałem do cytadeli.

Miejscowa władza cytadeli warszawskiej, była podówczas złożona z komendanta jenerała B. i plac-majora pana K., którzy zapisawszy mnie w liczbę już uwięzionych, zamknęli pod numer 8-my.

Pokój, w którym mnie zamknięto, miał sześć łokci długości a cztery szerokości i jedno zakratowane okno. Łóżko zaś próżne, stoliczek i niewielkie krzesło, składały całe umeblowanie tego miejsca, cierpieniom poświęconego.

Sam jeden zostawiony i zamknięty, obejrzałem się naokoło i spostrzegłem na drzwiach napisane węglem: „I to minie.“

— Prawda — pomyślałem — wszystko minie! wieczność tylko będzie bez końca. Ależ nim to minie, ileż to łez upłynie?!...

I wspomniawszy o niej, gorżko zapłakałem.

Uspokoiwszy się nieco, przypomniałem sobie ową gwałtownie podjętą burzę, podczas której Stefankowi w lewo jechać kazałem, i mimowolnie przyszło mi na myśl, że jest coś niedocieczonego w naturze, wspomniałem sobie i to także, że właśnie dziś jest 5 kwietnia czyli dzień moich imienin, i zamyśliłem się mocno, że na wiązanie zamek i kratę mi ofiarowano!...

Cokolwiek bądź, postanowiłem bronić się i do właściwego nazwiska nie przyznawać. Na Stefanka wprawdzie liczyłem wiele, ale zastanowiwszy się nad tem, dla czego mnie opatrzonego paszportem i publicznie jadącego, aresztowano, okropna myśl, czy mnie wuj nie zdradził, wstrzęsała mną całym.

Takiemi myślami byłem zajęty, gdy posługacze więzienni wnieśli mój tłomok, dobyli z niego pościel, zasłali łóżko, i zostawili mię znów samego. Po ich odejściu rzuciłem się nagle do tłómoka, schwyciłem niewielkie pudełeczko, z nadzwyczajnym pospiechem je otworzyłem, i przebierając pomiędzy różnemi korzeniami kuchennemi, na drogę mi przez Albinę przygotowanemi, znalazłem sekretnie przezemnie włożoną czarną niewielką gałązkę. I uradowawszy się do najwyższego stopnia że się na niej nie poznano, a tem samem nie odjęto, najstaranniej w inne miejsce ją przechowałem.

Tak siedząc w zamknięciu przez trzy tygodnie, nie byłem przez nikogo pytany. Na zasadzie przeto starego naszego prawa kardynalnego: „*Neminem captivari permittimus nisi jure victum*“. (Nikogo aresztować nie pozwalamy, tylko prawem przekonanego) żądałem, krzyczałem i od otaczającej mnie straży domagałem się gwałtem, aby mię do jakiejkolwiek bądź władzy zameldowano; lecz wszystkie te moje zabiegi okazały się bezskuteczne, albowiem zawsze na obietnicy się skończyło.

Przez czas mojego tu pobytu, poznajomiwszy się z miejscowością, zauważyłem, że każdego dnia o 10 godzinie z rana jacyś panowie przyjeżdżali do cytadeli i długim korytarzem około moich drzwi przechodzili. Postanowiłem przeto z tego korzystać i raz, gdym ich usłyszał przechodzących, zacząłem gwałtownie bić we drzwi i krzyczeć, aby mi otworzono.

Członkowie komisyi śledczej (gdyż to oni byli) usłyszawszy tak nadzwyczajne stukanie, kazali celę otworzyć, i weszli do mnie.

Ja dziś, nie zważając na lata, jestem prędki i niecierpliwy z natury, cóż było wtenczas, kiedy młodość krew moją robiła więcej burzącą. Spostrzegłszy przeto ich wchodzących, i chcąc się stanowczo o moim losie dowiedzieć, wyszedłem nawet z granic przyzwoitości, wrzeszcząc na nich z całego gardła i pieniąc się ze złości, żądałem, ażeby mnie natychmiast uwolniono.

— Rząd nasz austryacki — mówiłem do nich — szanuje waszego rządu paszporta! i ktokolwiek bądź nim opatrzony ztąd do nas przyjedzie, aby nic złego nie zrobił, może być pewnym, że mu włos z głowy nie spadnie! Gdy przeciwnie u was zupełnie co innego!... Czy zrobiłem co komu złego? czy nie publicznie przez komorę jechałem? czy nie od razu na zapytanie w Radomiu na rogatce: gdzie jadę? że do Galicyi odpowiedziałem? Jakiemże prawem więzicie mnie tutaj?! czy myślicie że się nikt o mnie nie upomni? O! nie, moi panowie! mylicie się! nietylko rząd austryacki ale i Europa cała dowie się o tem, jak wy prawa człowieka gwałcicie! Czego wy się mnie lękacie? czyż ja wam więcej mogę zaszkodzić aniżeli liść wiatrem poruszony ukrywającemu się zbrodniarzowi w lesie? Ale wiem ja, czego się wam zachciewa, to są osobiste wasze widoki, które wymagają aby więzienia i kieszenie wasze były pełne!

Członkowie komisyi wszystkiego com mówił wysłuchali cierpliwie, spojrzeli na siebie, zamienili pomiędzy sobą kilka słów po moskiewsku, nareszcie

Jeden z nich śmielszej natury,
Wyściubiwszy łeb do góry,

wystąpił nieco z ich koła, i:

— Bądź pan spokojny! — po polsku do mnie przemówił — mała tu zachodzi omyłka. Pan utrzymujesz, że jesteś Antoni Wiśniowski z Galicyi, a nam także Antoniego Wiśniowskiego brakuje z Wołynia. Jeżeli zatem przekonamy się, że jesteś ten sam, kim się być mienisz, to przeproszony i wynagrodzony za wszystkie straty wrócisz sobie do domu. Jutro więc zaczniemy pana indagować.

— Lecz gdzie mój człowiek i konie? — zapytałem.

— Tu w Warszawie, pod dozorem policyi — odpowiedział.

I wychodząc, polecił żandarmowi nosić mi książki od Glücksberga, abym czytając nie nudził się.

— Chwała Najwyższemu Bogu, choć rzeczywiście nie wiedzą kto jestem — pomyślałem.

Tak to z konieczności człowiek ratując się rzuca się na wszystkie strony.

Jakoż rzeczywiście nazajutrz wezwano mię do zebranych członków komisyi śledczej, i po zwykłych, prawem przepisanych *ad generalia* zapytaniach, zrobiono mi następującą kwestyę:

— Gdzie się pan znajdowałeś od czasu przejechania granicy, do chwili aresztowania go w Radomiu?

Niezmięszany całkiem tem zapytaniem, z największą śmiałością odpowiedziałem:

— Dwie noce i dwa dni byłem w Sandomierzu, u państwa Migurskich, trzecią nocowałem w Skaryszowie, a na czwarty dzień aresztowano mię w Radomiu.

— Po co pan zajeżdżałeś do Migurskich?

— Kiedy korpus Romariniego wkroczył do Galicyi, nasi obywatele z pozwolenia rządu, rozbierali oficerów polskich pomiędzy siebie. Mnie w udziale przypadł p. Wacław Migurski. Ten bawiąc w mym domu blisko rok jeden, dowiedział się z rozmowy ze mną, że ja mam dług u wuja mego, majora Szawłowskiego, w mieście Pułtusku mieszkającego, i że kiedyś będę u niego w Królestwie Polskiem. Że rząd austryacki udzielał paszporta oficerom polskim na przejazd do Francyi, wydał i wspomnionemu Migurskiemu, który potrzebując na drogę pieniędzy wziął je odemnie i dał kwit do swoich rodziców. Dla odebrania przeto tej pożyczki byłem u państwa Migurskich.

Tu jeden z członków zrobił uwagę, mówiąc: że ja dając pieniądze do ucieczki emigrantów, popełniłem kradzież polityczną. Ale ja zbiłem to dowodzenie jego twierdząc, że wprzód były prawa i obowiązki człowieka, nim on, jego sofizma, i cała Moskwa istniały.

— Dla czego pan na rogatce radomskiej powiedziałeś, że jedziesz do Galicyi a nie do Pułtuska, gdzie dla widzenia się z wujem jechać byłeś powinien?

— Kiedy zajechałem na noc do Skaryszewa, w gościnnym pokoju tamecznej oberzy zastałem obywatela z Województwa Płockiego, który zbierał się już do wyjazdu, a dowiedziawszy się odemnie, że jadę do Pułtuska i dla czego, zaręczył mię, że nie mam tam po co jechać, gdyż Szawłowski, którego znał dobrze, już nie żyje, dlatego więc wyjeżdżając z Radomia, powiedziałem, że jadę do Galicyi.

— Z której wioski był ten obywatel i jak się nazywał?

— Zkąd on był, wcale go o to nie pytałem. Powiedział mi wprawdzie swoje nazwisko, ale ja jego nie pamiętam, czy to był Rudecki, czy Radecki, czy Rudziewicz, czy Radziejewski, czy Rudziejowski, czy nakoniec Rudziszewski, z pewnością powiedzieć nie mogę, dosyć, że coś podobnego.

Te dwie ostatnie odpowiedzi były przezemnie zmyślone. Ja wprawdzie nocowałem w Skaryszewie, ale tam żadnego obywatela nie widziałem. Zapytany nagle, chwyciłem się kłamstwa, jak tonący chwyta się brzytwy; wnosząc jednak, że zanim komisya śledztwa dowie się, który z obywateli Województwa Płockiego, zaczynający się na literę R. był w Skaryszewie i widział się ze mną, ja tymczasem zyskam na czasie.

— Dla czego pan, dowiedziawszy się o śmierci wuja w Skaryszewie, nie wracałeś ztamtąd zaraz do Galicyi, a pojechałeś do Radomia?

— Rzecz bardzo naturalna. Widzicie panowie, że jestem młody i prócz Lwowa nic nie widziałem, dowiedziawszy się tedy o śmierci wuja, a że do Radomia nie było tylko dwie mile, bojąc się przeto, aby po moim powrocie koledzy ze mnie nie szydzili, że będąc w Kongresówce, ani wojska moskiewskiego ani miasta wojewódzkiego nie widziałem, z próżności jedynie tam pojechałem i jak to łatwo po czasie można wyrachować, że ja w Radomiu więcej nad godzinę nie bawiłem, co było dosyć, aby ciekawość moją zaspokoić, i gdyby mi nie żal funduszów, niezawodnie pomimo wiadomości o śmierci wuja byłbym i do Pułtuska pojechał. Zresztą zróbcie panowie najlepiej odezwę do Lwowa, i to czemprędzej, gdyż ja oświadczam i żądam, aby to w protokóle było umieszczone, że ja po powrocie, krzywd moich urzędownie poszukiwać będę. Zróbcie jak powiadam odezwę, a wówczas, kto jestem przekonacie się!

Czy myślicie moi czytelnicy, że komisya śledztwa poprzestała na tych objaśnieniach, wystarczających zkąd inąd dla wyjaśnienia prawdy? Gdzie tam! ona zrobiła wprawdzie odezwę do Galicyi, i rząd austryacki po przekonaniu się na gruncie w Paniowcach odpowiedział, że rzeczywiście Antoni Wiśniowski wyjechał z paszportem do Królestwa Polskiego. Posłała urzędnika do Migurskich, i ci pokazawszy rewers syna Wacława, poświadczyli tak samo jak byli przezemnie nauczeni. Wezwała z Pułtuska majora Szawłowskiego, aby ten stanąwszy w Warszawie na miejscu poznał osobiście swojego siostrzeńca, i chociaż ja przewidując to, najwięcej się tego lękałem, ufałem jednak sobie, że opowiedziawszy mu śmiało w oczy najdrobniejsze szczegóły familijnych stosunków, zakrzyczę go i wmówię w niego wszystko tak dokładnie, że wuj musi się zachwiać i domyślić, i rad nierad przyzna mnie za siostrzeńca. Ależ o cudzie! zamiast majora, komisya odebrała raport, że rzeczywiście w połowie marca Szawłowski przeniósł się do wieczności (o tem dowiedziałem się później).

Wszystkie więc okoliczności sprzyjały tłómaczeniu się mojemu, i zdawało się, że sama Opatrzność mną się opiekuje.

Poprzestać więc na tem byłoby dosyć. Ale komisya wierna swoim zasadom, aby raz schwytanego nie wypuścić, wstrzęsła całe Województwo Płockie, pościągała do Warszawy wszystkich obywateli na literę R. się zaczynających, i mnie ich pojedyńczo przedstawiając, poznawać kazała.

Ja z początku parę razy odpowiedziałem, że „nie ten" i sądziłem, że na tem koniec, ale później wyobraziwszy sobie smutne położenie tych ofiar, cierpienia i niespokojność ich żon, córek, sióstr i matek, znudzony czysto powtarzającemi się scenami, zaufany wreszcie że wszystkie moje tłómaczenia się pomyślny skutek wziąć musiały, kiedy nie mogąc mię niczem innem i ważniejszem, takiemi drobnostkami chcą o kłamstwie przekonać, pewny nakoniec, że jako Galicyaninowi gwałtu żadnego zrobić się nie ośmielą, zniecierpliwiony naostatek z największem oburzeniem, stanowczo odpowiedziałem, że: od tej chwili na żadne głupstwa komisyi pozwalać nie będę, ani się nawet wezwany z numeru swego nie ruszę!...

— Wstydźcie się panowie — mówiłem dalej — odrywać ludzi od familii i gospodarstwa, przyprowadzać ich o stratę i niespokojność!... jechał! jechał! — wielka rzecz, że jechał!... djabli go tam zresztą wiedzą jak on się nazywał, może być i wcale nie na literę R... Wuja! wuja mi dajcie przed oczy, to się najlepiej przekonacie!

Nie wiem dalibóg zkąd mi przyszło do głowy tyle bezczelności, dosyć, że jak zauważyłem, oburzenie, gniew i krzyki moje, pożądany odniosły skutek. Członkowie bowiem popatrzyli na siebie, coś półgłosem pomiędzy sobą przemówili, i mnie uspokoić się zaleciwszy, sami się rozjechali.

Nakoniec po trzech miesiącach mojego uwięzienia, komisya śledztwa przejrzawszy moje akta, zrobiła stanowcze rozporządzenie uwolnić mię do domu, i w tym celu jechała do cytadeli.

Jadęc, spotkała ona na ulicy młodego, niewielkiego wzrostu mężczyznę. Jego ubiór i zarost czarny odpowiadał zupełnie kolorowi jego duszy. Tego to jegomości, *alias* szpiega komisya wzięła z sobą, czy on wróciwszy z Francyi i Galicyi, nie pozna mię przypadkiem.

Owszystkich tych szczegółach dowiedziałem się później od jednego członka komisyi.

Ostatnich dni czerwca, zebrani członkowie komisyi w cytadeli przywołać mnie przed siebie kazali, i już zdawało się, że chcieli objawić mi swobodę, gdy jeden z członków biorąc mię za rękę i rozmawiając ze mną tak mię postawił, że twarz moja obrócona była wprost do drzwi. We drzwiach tych było małe okienko z korytarza blachą zasłonione. Na korytarzu stał i patrzał w odsłonione nieco wspomniane okienko ów wzięty z ulicy szpieg czarno ubrany, i w czasie, gdy ja z członkiem rozmawiałem, sam nie wiem o czem, kandydat stryczka przypatrzywszy się mnie dobrze, zaskrobał delikatnie paznogciem we drzwi.

Oficer mówiący ze mną usłyszawszy jak się pokazało znak umówiony, wybiegł na korytarz, i przemówiwszy z nim słów kilka, wrócił z twarzą tryumfującą, i powiedział coś do ucha prezesowi.

A obracając się do mnie, zawołał patrząc mi w oczy dobitnie:

— Tak pan twierdzisz, że jesteś Antoni Wiśniowski!...

— Tak jest, nim jestem! — odrzekłem śmiało.

— A jeżeli my pana przekonamy, że jesteś Wincenty Migurski, emisaryusz z Besancon, co z tego będzie?! — zapytał, podnosząc głos jedną oktawą wyżej.

Usłyszawszy te słowa, wzdrygnąłem się i zrozpaczony krzyknąłem:

— Nie!... nie!... nie jestem nim!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Andrzej Niemojewski.

PTAK.

Nikt nie znał prawdziwego jego nazwiska. Mówiono do niego: Ptak. Miał bowiem twarz podobną do sowy, oczy jastrzębia a nos jak dziób krogulca.

— Ptak, brakło papieru!

Nazajutrz Ptak przynosił całą ryzę.

— Ptak, brakło czcionek!

Nazajutrz Ptak przywoził skrzynię wagi dwóch pudów.

— Ptak, pismo gotowe!

Tego samego dnia Ptak je zabierał i wynosił.

Był to jedyny łącznik tajnej drukarni z światem zewnętrznym. Nikt rzeczywiście nie wiedział o jej istnieniu, nawet najbardziej zaufani członkowie partyi. Kto minął próg tej kuźni żywego słowa rewolucyjnego, ten musiał przekreślić całą swoją przeszłość. Nie masz matki, nie masz ojca, nie masz dziecka, nie masz przyjaciela, nie pragniesz szczęścia, nie ulegasz pokusom sławy, nie wierzysz w żadne nagrody przed grobem i za grobem, żyjesz anonimowo, cała moralność twoja jest etyką anonima rewolucyjnego. Męczennicy, którzy ze stosu ofiarnego unoszą się w niebo wieczystych rozkoszy — to nie ty. Bohaterzy, którzy zmartwychwstają na pobojowiskach i wstępują, w spiż zaklęci, na piedestały pomników — to nie ty. Poeci, których tłumy wieńczą laurami — to nie ty. Etyka twoja jest całkiem nowa. Nie było jej nawet za czasów greckich stoików. Bo ty wierzysz nawet w to, że przyjdą po tobie inni ludzie i obalać będą twoją robotę a dla dobra dalszego rozwoju zatrą nawet wszelki jej ślad. Idzie tylko jeden, ciągły, nie ustający rozwój. Ty, przemijające ogniwo, czas jakiś łączysz przeszłość z przyszłością a potem kruszysz się i giniesz. To jest tak proste, jak dwa a dwa jest cztery.

Ptak był najdoskonalszem wcieleniem tej filozofii i tej etyki. Doszedł do owej rzadkiej równowagi, jaka znamionowała największych ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na świecie. A przecież był on tylko obsługaczem drukarni. Nie stawał na żadnej mównicy i nie uczył, nie układał tomów rojących się od cytat i nie przekazywał nikomu swoich myśli, nie świecił nikomu nawet przykładem, bo ci, którzy z nim razem pracowali, nie tracili drogiego czasu na obserwacye wzajemne. Żyli — i to im zupełnie wystarczało. Działali — i to zaspakajało wszystkie potrzeby ich ducha Na świecie rozległym rósł ucisk a oni w jego podziemiach gotowali mu grób. Na świecie więdło drzewo wiadomości złego i dobrego, a oni z jednego ziarnka idei pędzili nowy krzew, o zdrowych korzonkach, o nie dającej się nawet obliczyć sile wzrostu i utajonych w młodej miazdze złotych owocach. Wszystko jest tylko przemienionym promieniem słonecznym! I ta roślinka ich społecznej myśli i te kaszty drukarskie i ta bibuła i te odezwy i oni sami. Ot, zwyczajni składacze! A ten tam, niepospolity chemik, którego materyał wybuchowy sfinksowego składu obleciał wszystkie laboratorya ministeryum wojny i na żadne „Sezamie, otwórz się" najsumienniejszych i najbardziej przemyślanych analiz nie reagował. Tamten znów, jedyny w swoim rodzaju inżynier, który umiał robić podkopy bez sztabu rachmistrzów, bez taczek i wozów, sprzątających ziemię, bez tamowania ruchu ulicznego i pomimo całej armii nastawionych Argusów. Tamta naprzykład trzydziestoletnia kobieta, zdołała objechać kilka wszechnic, lata całe pracować w bibliotekach, zdobyć cały szereg różnych patentów zagubionych po świecie, prócz... paszportu. Jak duch zjawiała się w hotelu i jak duch z niego znikała. Niby mgła wyziewana z ziemi pojawiała się wszędzie i za najlżejszym powiewem śledczej policyi znowu się rozwiewała w powietrzu. Nie pomyślała nawet nigdy dłużej nad pięć minut o dziecku, które rosło u babki, z pewnością pielęgnowane należycie, bo od czegóż byłyby w ogóle babki. Nawet patenty zdobywała anonimowo. Do laboratoryum chemicznego lipskiej wszechnicy nie dopuszczano kobiet. Wdziała tedy ubranie męskie. Ale na nieszczęście razu pewnego zemdlała; profesor, poczciwy staruszek, zaczął ją cucić, rozpinać, tajmnica się wydała. Trzeba było dalej jechać w świat. Jechała, aż znalazła się tutaj. A reszta owa drukarskiego legionu? Oni wszyscy tacy. Każdy na chwilę stawał na najwyższym szczeblu specyalizacyi naukowej a potem schodził z niego głęboko, głęboko, aż na dno społeczne, aż pod owe morze głów, gdzie kuźnica jutra, gdzie powstaje nowa oś świata, gdzie rodzi się myśl przewodnia przyszłych pokoleń, gdzie utrzymać się tylko może geniusz anonimowości a zarazem żywioł. I rzeczywiście każdy z nich mógł był o sobie powiedzieć: ja i natura to jedno! Ale mieli w pogardzie wszelkie liryczno-filozoficzne rozklejanie się w sobie i rozpatrywanie składowych deszczułek budowy swego — „ja". To był może jedyny kanon tych sceptyków-syntetyków.

Dziesięć lat szukano ich, ocierając się niemal codziennie o ich postaci. Wydano na ich wyśledzenie kilkanaście milionów, kiedy tymczasem oni na siebie nie wydawali prawie nic. Cała administracya była ustawicznie z powodu nich alarmowana, gdy tymczasem żaden grecki Archimedes na taki, jak oni, nie zdobywał się spokój. A jednak powodzenie nie oślepiało ich. Przezorni do granic ostatecznych, gdy rzeczywiście najmniejszej nieostrożności nie mogli w swem postępowaniu wyśledzić, jeszcze na podstawie rachunku prawdopodobieństwa gotowali się do katastrofy nieuniknionej. Zmieniali mieszkania, przenosili się z miast do miast. Nad każdym z nich zawisł niesformułowany wyrok śmierci. Ale śmierć jest fizjologicznie i psychologicznie tylko kwestyą nerwów a przyrodniczo i filozoficznie tylko kwestyą przemiany materyi. Kiedyś ludy zrewoltowane stawiały świątynię Rozumowi. Gdyby to od nich dziś zależało, może stawiliby świątynię także Instynktowi. Ale i to nie. Protoplazmie? I to jakiś twór pochodny. Wzięliby sobie za tymczasowy ideał jakiś pierwiastek chemiczny, naprzykład tlen. On życie żyjącego podtrzymuje a ginące rozkłada. On w czasie żarliwej pracy wbiega do ich płuc, przenika do krwi. Potem, gdy odczytany zostanie wyrok, a jedwab szyję zaciśnie, spełni resztę swego władczego zadania nad nimi...

Aż nadszedł ów dzień losowy. Ptak, który zawsze rano opuszczał drukarnię z bibułą zadrukowaną, a wieczorem zjawiał się z bibułą nową, przybył niespodzianie w południe i rzekł tylko:

— Zabierajcie co możecie i rozchodźcie się natychmiast.

Wszystkie oczy podniosły się od kaszt drukarskich na niego i zaraz potem szybko obiegały całą izbę. Po upływie dziesięciu minut nie było już nikogo, kaszty opróżnione, bibuła zabrana. Znikli, aby gdzieś w nieznanym punkcie zebrać się na nowo. Ptak został sam. Począł okna i drzwi barykadować. Położył na stole dwa rewolwery systemu Smith i Wesson, ale modelu wojskowego, więc dwunastostrzałowe, następnie nóż i siekierę. Głupi przypadek! Dnia tego była niezmierna ślizgawica. Potknął się. Upuścił paczkę. Sznur pękł, wszystko się rozleciało. Chciał zbierać. Ale zbliżał się stójkowy i jakiś ajent, którego poznał po charakterystycznym wyrazie oczu. Więc rzucił się do ucieczki. Tak, w całej dzielnicy znano go, choć o nic nie podejrzywa-

no. Wiedziano, gdzie mieszka. Naprowadzi więc policyę na towarzyszów. Zdążył jeszcze ich ostrzedz, ale sam już się nie wymknie. Ich twarzy nie znają tak, jego wskaże każde dziecko, raz porządnie zjechane nahajem. Więc skończone. Ale pozostał akt ostatni. Nie da się tak łatwo wziąć. wcale. Z kolei rozłożył na stole paczkę z nabojami. Przez otwory w deskach okiennicy, które był dawno przygotował, można brać na cel w dość rozległem polu widzenia, Zabarykadowanych drzwi sztabami, szafami, nie wyłamią tak prędko; będzie zresztą strzelał z drugiego pokoju.

Już szarpnięto dzwonek. Ptak wyjrzał przez otwór w oknie. Dom otoczony żandarmeryą i policyą. Na koniu oficer. Ptak zmierzył, strzelił. Oficer spadł z konia, a łańcuch oblężniczy w jednej chwili prysnął na wszystkie strony. Teraz słychać łomotanie do drzwi. Znowu cisza. Ptak wyjrzał przez szczelinę. Cóż to? Poszli sobie? Uzupełnił nabój, czekał.Minęło pół godziny.Nagle rozlega się salwa, a kilka kul przewierciło na wylot okiennicę i odbiło się o ścianę przeciwległą, że posypał się gruz. Ptak zdążył przez szczelinę dojrzeć w oddaleniu po przeciwległej stronie placu oddział wojska, który ponownie przykładał karabiny do policzków. Ptak szybko usunął się w bok. Nowa salwa. Pół okiennicy wyleciało. Ptak próbował mierzyć z za muru, ale odległość była zbyt wielka. Tymczasem ponowiło się łomotanie w drzwi. Już drzewo trzaska. Walą toporami. Ptak stanął za drzwiami. Barykada kruszy się. Już w wyłomie widać jakąś twarz. Ptak rzucił strzał z ręki. Strzelał jak mistrz. Krótki jęk, popłoch — a potem regularne kroki marszu piechoty. Ledwie zdołał lepiej ukryć się za murem, kiedy przez wyłom gruchnęła salwa. Zerknął znowu ku oknu. Aha czają się pod murem. Ptak pochylił się nieco naprzód. Strzelił raz, drugi, trzeci, czwarty. Mierzył celnie i szybko — skutek był za każdym razem. Ale i oni nie próżnowali. Kule latają po całym pokoju. Ptak odkłada jeden rewolwer, bierze drugi. Wraca do okna, nie widzi nikogo. Wychyla się — a w tem ze strychu domu po przeciwnej stronie placu padł strzał, celny strzał, bo kula trafiła Ptaka w samo czoło. Automatycznie ściągnął cyngiel rewolweru, strzelił gdzieś w powietrze i runął bez życia na podłogę.

Strzelanina nie ustała jednak tak prędko. Dokoła zwłok Ptaka tworzyła się kałuża. Dziurawiły te zwłoki nowe kule, ostrzeliwano mieszkanie systematycznie jak pole bitwy z ukrytym gdzieś nieprzyjacielem. Rewolucyonista bowiem to „chytry człowiek!“ Gdzieś się przyczai jak zwierz, z ukrycia ukąsi... To też gdy nareszcie po upływie jakiejś pół godziny odważyli się wtargnąć do mieszkania, Ptak już dobrze ostygł, a w dymie, który napełniał pokój, ledwie go mogli odnaleść na podłodze. Zawziętość była taka, że go jeszcze buciskami kopali i tłukli kolbami. Na miejsce wypadku zjeżdżali się wyżsi dygnitarze. Przetrząśnięto całe mieszkanie, obejrzano każdy szczegół urządzeń. Ptaka odwrócono twarzą do góry. Dwie ekscelencye w czapkach na głowie i w wykładanych futrem płaszczach cesarskich patrzyły w tę twarz ptasią, niepospolitą, a jedna ekscelencya rzekła do drugiej:

— Szalony człowiek!

Druga zaś odparła pierwszej:

— Spytaćby Lombrosa: geniusz, czy obłąkanie?

Wachmistrz, który klęczał u zwłok i głowę Ptaka podtrzymywał, aby się jej ekscelecye lepiej mogły przypatrzeć, wykrzywił twarz do idyotyczno-zalotnego uśmiechu i rzekł:

— Swinia rewolucyjna, wasza świetność...

Ekscelencye wydęły wargi na dowód niezadowolenia, a jedna z nich, obracając się, rzekła:

— Ależ on tu chyba nie był sam?!

Pytanie to poruszyło wszystkich. Zaroiło się. Gdzie reszta? Uszli? Jak i kiedy uszli? Dokąd uszli? Wietrzyk niepewności powiał po wszystkich, Ekscelenye szybko się zabrały i wyszły, wszyscy wychodzili, naradzano się w sieni, potem na ulicy, potem ekscelencye dość pospiesznie odjechały, a w zdobytem mieszkaniu zostało tylko na warcie kilku żołnierzy i leżący na podłodze Ptak, nieruchomy, zimny już — skruszone ogniwo — ale tak spokojny, jak gdyby ten kulą przewiercony mózg myślał jeszcze, a myśląc, widział oczyma duszy nowe mieszkanie, nowe kaszty i jakiegoś nowego Ptaka, który co rano wychodzi z bibułą zadrukowaną, a co wieczór wraca z bibułą świeżą.

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P

18) (Ciąg dalszy.)

— No, to muszę się udać do kogo innego, — rzekł lokaj, wstając. — Ale jeżelibyś się dowiedział dziś jeszcze lub jutro o kim, to mi donieś.....

— Naturalnie! Spytam tu i owdzie, czasem przypadkiem znajdzie się to, czego szukamy.

,Lokaj zapłacił wino i obydwaj wyszli z restauracyi.

Robert pozostał sam.

— Ona żyje! Ona żyje! — powtarzał bezmyślnie. — To być nie może!

I ocierał ręką spocone czoło.

Ale wkrótce odzyskał panowanie nad sobą.

— Dosyć tego, — rzekł prawie głośno. — Muszę się najpierw o wszystkiem dokładnie dowiedzieć.

I kilka minut później znajdował się już na ulicy Navarin, koło domu notaryusza.

Była to właśnie godzina dwunasta, i kanceliści i pisarze wychodzili na śniadanie, miał więc nadzieję ujrzenia owego pisarka, z którym przed kilku dniami tutaj rozmawiał.

Jakoż nie długo potrzebował czekać. Chłopiec wybiegł szybko z bramy i zwrócił się do sklepu rzeźnika, u którego miał pewnie kupić śniadanie dla kancelistów, pozostałych w biurze.

Robert podążył za nim.

— Dzień dobry, — zawołał.

Chłopiec zdumiony spojrzał na niego.

— Czy mnie już nie poznajesz? — roześmiał się Robert. — Przecież przed kilku dniami rozmawialiśmy z sobą!

— Ach prawda, — odrzekł chłopiec. — Jakże się miewasz?

— Nie źle, i tobie widać dobrze się dzieje. Ale jakżeby inaczej być miało! Wszakże wychowanka twego pana idzie za mąż, nieprawdaż?

— A tak, ślub ma się odbyć w przyszłą sobotę. Tego dnia biuro będzie zamknięte i my wszyscy mamy wolne!

— Więc panna Garrel nie jest chora?

— Była podobno chora, ale teraz już wyzdrowiała.

Teraz nie mógł już Robert o niczem wątpić. — Nora uszła śmierci i miała za kilka dni zostać żoną hrabiego Noirville!

Tyle trudów, tyle pracy i wszystko daremnie! Morderstwo Henryka Parces popełnione zostało bez żadnego celu!

Nie zważając już na młodego pisarka, odwrócił się Robert nagle i pobiegł na ulicę Tudaine.

Zbrodniarz ten miał łzy w oczach, bo miliony, po które potrzebował tylko wyciągnąć rękę, usuwały się znowu w dal niepewną.....

ROZDZIAŁ 12.

Robert biegł bez tchu nieomal i nie zatrzymał się prędzej, aż w saloniku Loli, gdzie właśnie znajdował się też i Alfons. Zadzwonił tak, że rączka dzwonka spadła na ziemię, a gdy mu Lola otworzyła drzwi, wpadł do pokoju i rzucił się na krzesło. Jego blada twarz i zaciśnięte usta przejęły Lolę śmiertelnym strachem. Obawiała się ona zawsze jakiegoś nieszczęścia, a zachowanie się obecne Roberta dowodziło, że stało się coś nadzwyczajnego. Zamknęła więc prędko drzwi i zbliżyła się ku niemu.

— Co się stało? — zawołał Alfons również zaniepokojony.

— Stało się to, — odrzekł Robert oddychając ciężko, — że trzeba wszystko zacząć na nowo, od początku.....

— Więc. — —

— Nora Garrel żyje, jest zupełnie zdrową i za tydzień jej ślub!

— Ona żyje! — jęknął Alfons.

— Przeczuwałam to, — rzekła Lola, marszcząc białe czoło.

— Jesteśmy zgubieni!

— Zgubieni — nie, ale źle z nami, — odpowiedział Robert, i po raz pierwszy brzmiało w jego głosie zwątpienie.

Po tych słowach przykre nastąpiło milczenie. Alfons i Robert siedzieli z spuszczonemi oczami, Lola chodziła po pokoju z zaciśniętemi pięściami, a jej cudownie piękna twarz nigdy tyle jak dziś, nie wyrażała srogości i zawziętości.

— I cóż ty na to? — zwrócił się nareszcie Alfons do niej.

Lola stanęła i uśmiechnęła się dziwnie.

— Ja was obydwóch — żałuję, — szepnęła.

Robert podniósł głowę.

— Tak, żałuję was, — mówiła dalej pogardliwie, bo jeżeli Nora żyje, to trzeba rzeczywiście rozpocząć wszystko na nowo. A jeżeli wy się cofacie, to ja zajmę się tą sprawą!

— Nie! — zawołał Robert obrażony w swej ambicyi. — Przecież nie mówiłem, że chce się cofnąć.

— Ja też nie, — dodał Alfons, nie chcąc w obec Loli uchodzić za tchórza. — Ale nie możemy zaprzeczać, że położenie nasze jest niebezpiecznem. Jeżeli panna Garrel żyje, to będzie opowiadała o owym liście, który ją wzywał na tę nocną wycieczkę. Opiekun jej domyśli się podstępu i będzie szukał tego, który list napisał.

— I ja tak myślę, — odrzekł Robert, — ale poszukiwania jego będą daremne, ona list podarła, więc ani śladu już nie ma......

Lola wzruszyła ramionami.

— Z tej strony, — rzekła drwiąco, — nie ma się czego obawiać! Czy nie mówiono ci, dodała, zwracacjąc się do Roberta, — że za tydzień jej ślub?

— Tak!

— A zatem ona nie powie o niczem! Przecież nie będzie taka głupia, aby opowiadać swemu przyszłemu mężowi, że o mało się nie utopiła, idąc na spotkanie tego, którego tak bardzo kocha! Zapewniam was, że zachowa całą tę rzecz w tajemnicy i nie oskarży nikogo!

— Naturalnie! Lola ma słuszność, — zawołał Alfons. — Dla tego też gazety nic o tem nie wspominały! Nie mamy się istotnie czego lękać!

— Ale kto ją mógł ocalić? — szepnęła Lola po chwili namysłu.

— Cóż nas to obchodzi! Ona żyje — to najgorsze, za tydzień jej ślub, za rok może już mieć syna i wtedy — pożegnajmy nasze miliony na zawsze!

— Na to nie możemy pozwolić, — krzyknął Alfons gwałtownie. — Trzeba wszystko rozpocząć na nowo. Ja nie myślę ustępować!

— Ale nowy zamach na życie Nory byłby dla nas zbyt niebezpiecznym, — zauważyła Lola, — i na to nie mamy też dosyć czasu.

— Byłoby to zresztą niemożliwem, — dodał Robert, — ponieważ ona znajduje się w domu opiekuna.

— Więc Nora jest w Paryżu?

— Tak, u adwokata Nivela, na ulicy Navarin.

— A zatem nie pozostaje nam nic innego, jak zrzec się owych milionów.

— Nigdy! — zawołał Robert, który już odzyskał zwykłą bezczelność i pewność siebie. Energia Loli dodała mu nowej odwagi.

— Ale jeżeli ona zostanie żoną tego łotra Noirvilla? i jeżeli nie umrze?

— Więc on musi umrzeć — szepnęła Lola z strasznym uśmiechem.

— Otóż to! — zawołał Alfons, a oczy jego radością błysnęły. — Ponieważ nie udało nam się usunąć panny Garrel, to zwróćmy się ku jej przyszłemu mężowi. Będzie to zarazem zemstą za złe, jakie nam ten nędznik wyrządził!

Robert zerwał się z krzesła.

— Mógł byś ty go zabić? — zapytał brata.

— Sto razy, nie tylko raz!

— I nie wahałbyś się w chwili, w której bym ci podał nóż i rzekł: zabij go?

— Nie, nie zawaham się.

— Dobrze! Wystarczy mi to, o resztę nie potrzebujesz się troszczyć.

— To znaczy, że...

— Cicho, mam już plan — muszę go jednak wpierw ułożyć...

— Ale musisz się spieszyć! Bo jeżeli mam go zabić po jego ożenieniu się, to nie ma celu...

— Przeciwnie! Ślub musi się odbyć, lecz zaraz po ślubie można go zgładzić. Potem zajmiemy się Norą, która jako wdowa ma więcej wolności. Opiekun nie potrzebuje już pilnować jej tak troskliwie i wtedy mamy łatwiejszy dostęp do niej.

— Wytłumacz się jaśniej — rzekła Lola.

— Chwilowo nie mogę — ja sam jeszcze wszystkiego dokładnie nie wiem. Ale zdaję mi się, że jestem na dobrej drodze!

I młody zbrodniarz zatarł ręce z radości.

Alfons chciał jeszcze pytać brata, ale Lola dała mu znak, aby milczał. Znała ona lepiej Roberta i wiedziała, że można zaufać jego szatańskiej przebiegłości.

— Odchodzę teraz — rzekł Robert — jutro jednak przyjdę tu na pewno. Nie pokazujcie się tylko za wiele na ulicy. Przekonam was — dodał z nieopisaną bezczelnością — że nie jestem dzieckiem, i że należe do tych ludzi, których się lękać trzeba.

Lola pochyliła się i dotknęła ustami jego czoła. Pomimo odrazy, jaką czuła dla niego, pragnęła go sobie zjednać — tem więcej, że wiedziała, jaki urok wywiera na nim jej piękność. Dla osiągnienia celu nie cofała się przed niczem!

Robert uszczęśliwiony jej pocałunkiem, zawołał wesoło: „do widzenia", i wybiegł z pokoju.

Rozdział 13.

Nazajutrz rano, Robert ustrojony w swoje świąteczne ubranie, stanął przed bramą pałacu Noirvilla i prosił, aby go wpuszczono.

— Czego chcesz? — zapytał szorstko odźwierny.

Robert ukłonił się nisko i rzekł z udaną nieśmiałością:

— Ach, ja — chciałbym się widzieć z kamerdynerem hrabiego.

— Z panem Aleksandrem?

— Tak!

— Czy masz mu coś ważnego do powiedzenia? Bo on właśnie jest u pana hrabiego.

— Przysłał mnie tu jego przyjaciel...

— Więc pójdź i czekaj tu!

Odźwierny nie podobał się Robertowi, a intynktownie bał on się ludzi wiejskich, silnych i szorstkich.

Ale podczas kiedy odźwierny wszedł do swej loży, oglądał się Robert uważnie na wszystkie strony i starał się poznać rozkład wewnętrzny pałacu. Było to jednak niezmiernie trudnem, bo pałac był ogromny i zawierał mnóstwo pokoi i salonów. To jedno tylko poznał, że chcąc od strony dziedzińca wejść do pokoi dolnych, trzeba było przejść przez obszerną i wspaniałą werandę, pokrytą szklanym dachem i pełną kwiatów i roślin. Tak przepysznego pałacu nigdy jeszcze Robert z blizka nie widział.

— Cierpliwości — pomyślał, patrząc z uczuciem zawiści na otaczający go przepych — za nasze miliony urządzimy sobie równie piękne mieszkanie.

Rozmyślania jego przerwał mu pan Aleksander.

— Czego chcesz? — zapytał wyniośle, jak to zwykle czyni kamerdyner wielkiego pana wobec niższych od siebie.

Z czapką w ręku zbliżył się Robert do niego.

— Wiem — rzekł pokornie — że pan szukasz grooma, stangret hrabiego... hm, hrabiego... hm, mówił mi o tem...

— Ach, to mój przyjaciel Franciszek przysyła cię — zawołał pan Aleksander uradowany.

— To jest — on właśnie nie, ale słyszałem — —

— No, no,, to dobrze! Jak się nazywasz, mój chłopcze

— Henryk Panes.

I Robert podał mu papiery i książeczkę służbową swej nieszczęśliwej ofiary.

— Henryk Panes? Ach, zdaje mi się, że on mi coś o tobie wspominał. To dobre! Szkoda, że Franciszek już wyjechał, byłbym mu zaraz podziękował. No służyłeś ty już tam gdzie?

— Tak, u handlarza koni Matthieu w Belleville.

Pan Aleksander przejrzał papiery.

— Wszystko w porządku — rzekł zadowolony. — Ile masz lat?

— Skończyłem szesnaście.

— Ale jesteś bardzo chudy i wydajesz się słabym!

— O nie, jestem zdrów i mocny.

— Znasz się na koniach?

— O tak!

— Więc chodź ze mną!

Pan Alekstander zwrócił się ku stajni, Robert zaś, pomimo nadzwyczajnego swego powodzenia i wrodzonej bezczelności, uczuł się jednak trochę zatrwożonym. Stajnia była wspaniale urządzona, a sześć koni, jakie w niej się znajdowały, przedstawiały ogromny kapitał.

Stangret zajęty czyszczeniem szorów, ciekawie spojrzał na Roberta.

— Otóż nowy groom — rzekł pan Aleksander — weź go najpierw na próbę. Pan hrabia polecił mi tę sprawę, bo sam mało ma czasu.

Stangret spojrzał jeszcze raz na Roberta i wskazując mu jednego z koni rzekł:

— Zabierz się do niego. Ale to dziki ogier arabski, zalecam więc ostrożność!

Robert zadrżał ze strachu, nie tracąc jednak fantazyi, zrzucił surdut, podniósł jeden z fartuchów stajennych, leżących na ziemi, wziął szczotkę, i spokojny, odważny na pozór, zbliżył się do rumaka.

Stangretowi podobała się odwaga chłopca, że zaś koń wcale nie był dziki, przeto pozwolił się szczotkować zupełnie spokojnie. Potem kazał Robertowi wsiąść na wierzchowca hrabiego i objechać dziedziniec, i to już było prawdziwą drobnostką. Robert umiał jeździć konno i wywiązał się bardzo dobrze z zadania.

— Można go przyjąć — zawyrokował stangret.

— A co pan hrabia powie na to? — szepnął Robert.

— On się o ciebie troszczyć nie będzie. Dostaniesz trzydzieści franków miesięcznie i całkowite utrzymanie, mieszkanie, pranie i liberyę. Oprócz tego dostaniesz raz po raz na piwo, jeżeli się dobrze sprawować będziesz.

— Będę się starał wszelkiemi siłami na zasłużenie sobie łaski i zaufania pana — odrzekł Robert pokornie.

— Bardzo dobrze. Jesteś obecnie wolnym?

— Tak panie!

— Gdzie mieszkasz?

— W Varennes-Saint-Maur! Zostawiłem tam mój kuferek z rzeczami.

— Więc przyjdź zaraz jutro.

— O której?

— O ósmej rano.

— Stawię się punktualnie.

Stangret dał mu na zadatek pięć franków i pozwolił się zaprosić na kieliszek wódki. A godzinę później był Robert już znowu w mieszkaniu Loli, aby się pochwalić swem powodzeniem.

Rozdział 14.

Nazajutrz rano, z uderzeniem ósmej, zajechała przed bramę pałacu Noirville dorożka z Robertm i jego rzeczami.

— Stawiasz się punktualnie, jak żołnierz — rzekł odźwierny, który go zaraz poznał. — To dobrze, pan hrabia lubi punktualność!

W tejże chwili ukazał się kamerdyner.

— Ach, jesteś — rzekł zadowolony. — Możesz unieść sam twój kuferek

— O tak!

— Więc idź za mną.

Robert posiadał rzeczywiście ogromną siłę fizyczną, wziął zatem ciężki kuferek na plecy i poszedł za panem Aleksandrem na drugie piętro, na długi kurytarz, w którym się mnóstwo drzwi znajdowało. Pan Aleksander otworzył jedne z nich i wprowadził go do jasnego, obszernego pokoju, urządzonego skromnie lecz wygodnie. Był to wspaniały salon w porównaniu do pokoju, w którym mieszkał u matki. Było tu wszystko, czego mógł potrzebować, nie brakło nawet kominka, zegara i lichtarzy z świecami.

— Co u licha, — pomyślał Robert, — jak to tu ładnie! Jeżeli groom tak mieszka, jak dopiero musi pan mieszkać!

— Służba ma pokoje na trzeciem piętrze, — rzekł pan Aleksander, pomagając mu zdjąć kuferek, — ale tobie wyznaczyłem ten, abyś był bliżej sypialni pana hrabiego. Obowiązkiem twoim jest czyszczenie jego rzeczy. Codziennie rano, o ósmej, wejdziesz do pokoju, graniczącego z jego sypialnią i weźmiesz obuwie i ubranie do czyszczenia. Rozumiesz?

— Tak, panie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Fragment z wyprawy Stefana Batorego.

Przez Józefa Ryszkiewicza; z illustracyami.

Padały z szumem i trzaskiem odwieczne dęby i sosny. Spłoszony zwierz pomykał w głąb borów, które nieprzerwaną masą zaścielały brzegi Dźwiny ciągnąc się aż het, pod wały i mury Wielkich Łuk; w głąb państwa groźnego władcy Iwana Wasilewicza.

Trzystu żołnierzy z węgierskiej piechoty, sprawnych i na trudy wytrwałych, torowało drogę przez leśne obszary, z rzadka wązkiemi drożynami i ścieżkami poprzecinane. Wojewoda wileński z synem Krzysztofem prowadzili przednią straż, złożoną z pułków litewskich. Lud ten, wyrosły śród puszcz, czujny i z leśnemi zasadzkami obyty, wolno a rozważnie posuwał się naprzód, rozsyłając podjazdy i wybierając dogodniejsze przeprawy.

Królowi, który rwał się do czynu, zmudną była ta droga, a już przecie drugi tydzień trwał ten pochód przy głodzie i trudach. Grzęzły wozy, rwały się zaprzęgi i nieraz od królewskich pojazdów i furgonów musiały być wyprzęgane konie, by pomódz wyciągać z bagna lub zbitych zarośli wozy obozowe. Szczęściem, że kanclerz Zamoyski dostawić kazał działa, amunicyę a nawet zapasy żywności po spławnej rzece Uświacie.

* * *

W cieniu odwiecznych drzew na pęku z gałęzi, przykrytym niedźwiedzią skórą, siedział król Stefan; za nim stało kilku dowódców od służbowych chorągwi. Albert Radziwiłł marszałek nadworny w otoczeniu dworzan wydawał rozporządzenia. Zabierano się do skromnego posiłku.

Przy królu na trawie leżał wyciągnięty Jan Zborowski kasztelan gnieźnieński i hetman nadwornych chorągwi. Ordynansi, stojąc w wojskowej postawie, zdawali raporta, siedzący zaś na boku sekretarz królewski Heidenstein pilnie coś sobie notował.

Choć to już była druga połowa sierpnia, upały w godzinach południowych, zwłaszcza na bagnistych miejscach i mniej ocienionych, stawały się nieznośnemi. Roje much złośliwych i bąków dokuczały ludziom i koniom. To też żołnierze gałęziami konie obwieszali, by chronić od złośliwych ukąszeń owadu. Odpoczynek w cieniu, pofolgowanie rzemieni przy zbrojach i kilka sucharów stanowiło dla wielu cały posiłek. Zapasy bowiem wyczerpały się a bezludna i dzika okolica nic dostarczyć nie mogła. Z paszą dla koni nie działo się lepiej. Idące na przedzie wojska litewskie wszystkie poblizkie polanki ogołacały z traw, ba! nawet liście na znacznej przestrzeni były obgryzione, zwłaszcza w miejscach postoju.

U królewskiego stołu też było krucho; zapasami swemi i swych pułków nadwornych dzielił się Batory z ogłodzonemi wojskami i ich wodzami, nie tracąc energii ani humoru a tylko utyskując na powolność pochodu.

— Na rakach wasza jazda jedzie — mówił żartobliwie do hetmana polnego Krzysztofa Radziwilla, który od przednich straży litewskich przybył przed chwilą do króla. — Odwróććież ją ogonami do Łuk, niech się przynajmniej w tamtę stronę raczym obyczajem cofa, bo inaczej niedługo znajdzie się ona w moim obozie. Ale zato apetyt wam służy. Idąc za wami, ani jednego orzecha w lesie nie znajdzie. Wiewiórki z głodu wyzdychają i nie będzie futerek na półszubki dla niewiast. Cóż więcej powiesz, mości hetmanie? Siadaj, jedz i mów a wybacz, że skromny posiłek, ale to rzecz naszego marszałka, niech on się wstydzi przed krewniakiem i gościem.

— Cierpię za nieswoje winy, miłościwy panie. Zapasów starczyłoby dla was i całego dworu na długo, ale cóż, kiedy ciągle dzielić się każesz nieomal z każdym pocztowym, a już co chorągwie ruskie, to całkiem nas objedzą.

— Idą, mości marszałku, za nami w tylnej straży, nic więc dziwnego, że jeżeli my mamy okolice, nawet bardziej ludne, ogołocone przez wojska nas poprzedzające, im biedakom nic się już nie zostaje.

— Musieli doczekać się już statków z żywnością i armat na Uświacie, to się posilą. Nie było też już od trzech dni wiadomości od wojewody ruskiego a przedtem ciągle imci pan Sieniawski naprzykrzał się o żywność Waszej Królewskiej Mości.

— Wstyd doprawdy mości panowie dla łowieckiego serca: aby śród tak pięknych kniei na stole naszym — jaki

udziec dzikiego zwierza nie zagościł, ale cóż... trudno — rzekł — zwracając się żartobliwie król Stefan do Heidensteina — imci sekretarz nie pozwala. Na postojach z obozu na chwilę ruszyć się nie można, żeby za powrotem nie czekało z pół kopy listów do przeczytania i podpisu.

— Już to podobno nic tak nie psuje ręki i oka myśliwego jak pisanie — wtrącił jeden z przybocznych dworzan litewskich.

— Z tej to pewnie racyi tak mało u was ludzi piśmiennych, nawet między znaczną szlachtą, — wtrącił z cicha sekretarz królewski. — Boicie się o rękę.

— Z oszczepem na kosmacza każdy z nich idzie jak do tańca a przy pisaniu, gdy taki się z rzadka znajdzie to z najtęższego chłopa pot leje się, jak ze szkapy u pługa na nowinie — zawołał ze śmiechem Zborowski, dogryzając kawał wędzonej goleni.

— Jest hetman polny od litewskiego wojska. Niech więc on Litwy broni i powiada teraz, z czem przyjechał.

— Najprzód złożę najjaśniejszy panie, powinny raport o stanie wojska i przednich straży, co zresztą w porządku, a także o dalszej przeprawie; potem, jeśli trzeba, bronić będę swych współziomków, choć dufam, iż w obliczu twoim miłościwy królu krzywda nikomu stać się nie może, a dobry żart tynfa wart, jak mówi stare przysłowie, zwłaszcza, że i dość prawdziwy. Otóż trafiliśmy na rozległe bagno, którego minąć nie sposób, bo ciągnie się brzegiem jakiejś leśnej rzeczółki; trzeba więc sypać groble i stawić most, co zajmie kilka dni. Podjazdy konne, wysyłane naprzód spotykały, gdzie lasy rzednieją, ślady obozowisk tatarskich, przeto ostrożność nakazałem, zwłaszcza oddalającym się po paszę dla koni.

— O obecności Tatarów już wiemy z listów kanclerza Zamoyskiego, który teraz drogą smoleńską pod Łuki spieszy, a choć ma okolicę bardziej otwartą, to jednak na zły stan przepraw uskarża się bezustannie. Tak więc, zamiast spiesznego pochodu i czynów, musimy zażywać wczasu.

— Myślę, najjaśniejszy panie — rzekł marszałek nadworny — że i podczas twych wczasów, dobrze się czupryna niejednemu zapoci.

— Pijesz do mej żyłki myśliwskiej, marszałku, a sam rad ruszasz z garłaczem na tura, lub na niedźwiedzia z oszczepem.

— Nietylko na łowach, lecz i w obozie na leżach pocimy się nieraz, miłościwy panie. Nie darmo widzę tylu gotowych do drogi ordynansów, którzy twe rozkazy powiozą w różne strony a przecież jesteśmy w pochodzie. Niech no jednak nastąpi kilka dni wczasu, wtedy i nocami sekretarz z pomocnikiem nie nadążą piórem twej myśli i pewno nie gorzej od wspomnianego Litwina napoci się Heidenstein, choć od małego chłopca do pióra włożony. A te coraz to nowe plany bitew, nowe zamiary wypraw! Wszystko to zdaje się przechodzić miarę sił ludzkich. Wszak niema prawie żołnierza w naszem wojsku, którego byś ty miłościwy panie sam nie obejrzał, nie mówiąc już że pochodu wojsk doglądasz więcej niż nasi obożni. Miały może stany racyę, że gwoli twego zdrowia i bezpieczeństwa prosiły, być sam nie narażał się na trudy wyprawy.

— Kto pragnie korony dla wygody i znaczenia bez zasługi, niech śród komnat zamkowych radzi o wojnie. Nie dla tegom ci ja przecie został królem waszym, by cudzemi rękoma gruszki z popiołu wyciągać, lecz by dowieść wedle wszystkich sił swych, żem tej korony godzien i choć nieraz sterczą w niej ciernie, cierpieć trzeba, szukając we własnem sumieniu nagrody i zadowolenia.

— Szczęśliwy, kto może czuć się we własnem sumieniu czystym i tego ci, panie, więcej niż korony zazdrościć winni. Szczęśliwe królestwo, któremu taki człowiek panuje, bo o jego, nie o swojem tylko dobru myśli.

— Ale tymczasem mylisz się, kochany marszałku. Nie nad mapami i papierem będziemy się mozolić; dosyć tego na dzisiaj! Jutro wyruszym na łowy; toć pewno znajdzie się tu jaki niedźwiadek, a może uda nam się świeżą łosiną lub mięsiwem młodego żubra zastąpić wędzoną świninę, którą już, co prawda, za często widuję na każdym postoju.

— Zwierz jest pochodem wojsk i stukiem siekier przepłoszony, ale co tropów dawnych to znać mnóstwo a u czoła kolumny litewskiej, jako idącej znacznie w przodku, nie trudno o spotkanie ze stadem łosi lub turów — rzekł hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł. Węgrzyni, co drogę przerębują, często rzucają siekiery, puszczając się za zwierzem w knieje, to też głód im nie dokucza; wypasione to, aż miło patrzeć, a sprawni do wszystkiego na podziw.

Śród wojska, gdy oznajmiono postój, uczynił się ruch wielki. Rozpinano dla starszyzny namioty piękne i nieraz kosztowne. Żołnierze dla siebie i koni cięli gałęzie na szałase. Czyszczono broń i rzędy, kuto konie, słowem, zagrało obozowe życie, właściwe pochodom wielkich armii.

Nad wieczorem zaczęły powracać podjazdy, przyjechał do króla wojewoda bracławski, Jan Zborowski imiennik i krewniak kasztelana, wódz jazdy polskiej. Król kazał rozpytać, czy nie napotkali jakiej grubszej zwierzyny. Jeden podjazd, co na prawo w stronę smoleńskiej drogi chodził, natknął się na stado łosi, które znać spłoszone pochodem wojsk kanclerza Zamoyskiego, gnało właśnie wprost na wojska królewskie, i jeżeli przez drogę nie przeszły, to teraz gdy wojska stanęły, pewnie gdzieś nieopodal w bagnach spoczywają. Inny znów oddział w głębi puszczy spotkał niedźwiedzicę z dwoma piastunami. Niezaczepiona skryła się szybko w gąszczarach, gdzie też pewnie ma swój barłog.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z dziejów Humania.

Napisał **Stanisław Tchorzewski.**

6) (Dokończenie.)

Zmierzamy w stronę kościoła. Kościół w Humaniu, pod wezwaniem *Wniebowzięcia Matki Bożej,* fundacyi Aleksandra Potockiego. Mury założył jeszcze Szczęsny Potocki w roku 1780. Nabożeństwo przeniesiono tu z fary w roku 1825; kościół konsekrowano roku 1856-go.

Na zewnątrz budynek przedstawia się poważnie: kolumny dorycko-rzymskie podtrzymują klasyczny szczyt (tympanon), uwieńczony krzyżem na złocistej bani i dwoma wieżami w stylu Odrodzenia; wieże murowane wzniesiono w r. 1892 na miejscu dawnych drewnianych. Szerokie granitowe stopnie prowadzą do wnętrza kościoła.

Nawa główna o trzech arkadach, wspartych na jońskich filarach; półkolumny w tym samym stylu podtrzymują wspaniały gzyms szczytowy (antablement) klasyczny, z bogatym fryzem, obiegający główną nawę budynku. — W obszernej absydzie nawy środkowej przykuwają wzrok śliczne kształty głównego ołtarza. Zastosowany tu styl koryncki, z jego wspaniałemi głowicami kolumn, i piękna ornamentyka szlachetnych form antablementu (gzymsy pod kolumnami) przypominają świetne czasy rzymskiej architektury. Po nad tem, wypełniony znakiem symbolicznym śnieżnej gołębicy z rozpostartemi skrzydłami, w złocistej aureoli promieni, na tle seledynów nieba wznosi się szczyt półkolisty.

Obok ołtarza, z lewej strony od patrzącego, stoi na podstawie biała marmurowa kolumna, przeznaczona do ustawiania paschału podczas okresu wielkanocnego. W niszy, ponad tabernakulum, figura Chrystusa na Krzyżu, przeniesiona z fary. U nóg figury brak jednego palca. Podanie głosi, że podczas rzezi Humania, gdy orgie Hajdamaków doszły do zenitu bezeceństw, kilku pijanych z rozhukanej tłuszczy wpadło do fary, i w swej bluźnierczej swawoli obcięło palec u nogi przy figurze Chrystusa. Od tego czasu byli ciągle prześladowani okropnemi wyrzutami sumienia. Kiedy wyłapanych opryszków karano w Kodni, i gdy kolej doszła do tych świętokradzców, ci z wielką radością zaczęli prosić o śmierć; gdy zaś wykonawcy egzekucyi zapytali o przyczynę tak niezwykłych nalegań byli bardzo zdumieni opowiadaniem tych dwóch Hajdamaków. Od czasu bowiem, kiedy ci świętokradzcy dopuścili się tak strasznej zniewagi w domu Bożym, nie mieli spokoju ni dniem ni nocą; pozbawieni odwagi odebrania sobie życia, z radością wielką przyjęli wyrok śmierci.

Figura Chrystusa w wielkim ołtarzu uważana jest za cudowną; słyszeliśmy o kilku cudownych uzdrowieniach. W prawej nawie ołtarz gotycki z obrazem Matki Bożej.

Ołtarz lewy, pod wezwaniem św. Antoniego, ma styl bizantyjski.

Kościół poszczycić się może posiadaniem ślicznego dzieła sztuki: postać uskrzydlona, siedząca na trumnie, pociesza pozostałe sieroty — dwóch chłopczyków. Twórcą tej natchnionej rzeźby, w marmurze wykutej, jest p. Cypryan Godebski, o którym mówiąc, nasz zacny ks. kanonik K. Zakusiło dodaje: „ten co robił pomnik Mickiewicza we Warszawie.“ Imię mistrza rzeźby polskiej zanadto dobrze nam znane, żebyśmy mogli co więcej dodać o tem wspaniałem dziele rzeźbiarskiem.

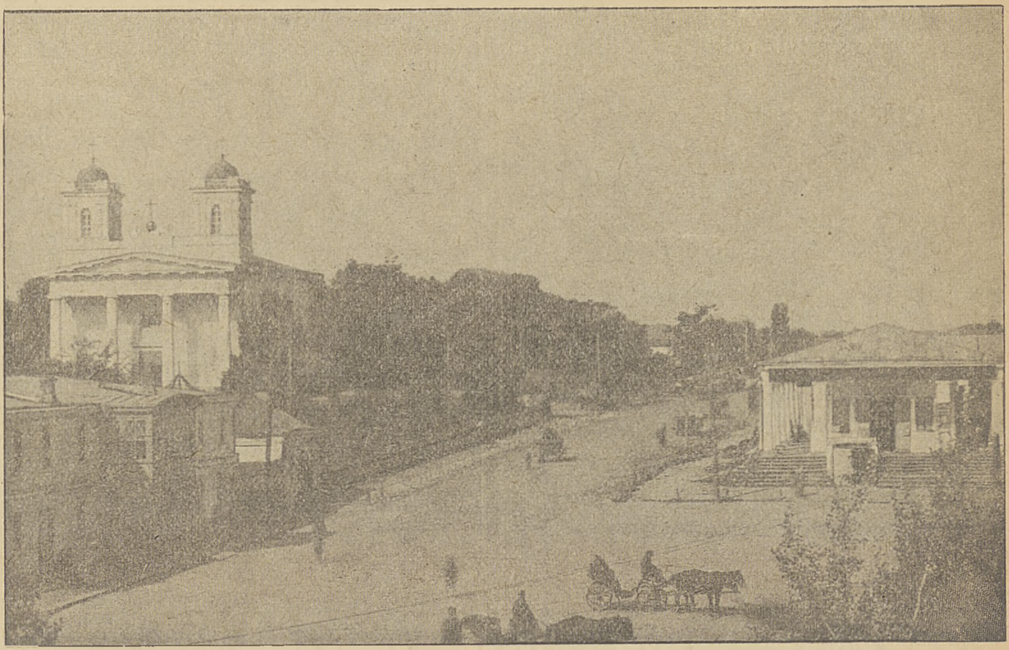
Na podstawie wyryty napis: „Pamięci Klementyny z Kossowskich Iwańskiej 1845—1881.“

Piękne okna kolorowe (malowanie na szkle, utrwalone w ogniu) pochodzą z pracowni hr. Łubieńskiej pod nazwą „Zakład św. Łukasza“ w Warszawie.

Przypatrzywszy się ładnym chorągwiom z wizerunkami Matki Boskiej i św. św. Pańskich, opuszczamy wnętrze świątyni. W kruchcie figura Ukrzyżowanego Chrystusa, przeniesiona tu od Bazylianów i koncha olbrzymia na wodę święconą — dar jednego z okolicznych obywateli; nadto kilka obrazów z klasztoru; podziurawione kulami płótna, zczerniałe — świadkowie dni krwawych, niebardzo dawnych a tak strasznych w dziejach Humania. Szereg malowideł z czasów rzezi humańskiej, doskonale zachowanych, z wyjątkiem kilku uszkodzeń z dni krwawych, zdobi ściany probostwa; dzięki troskliwej opiece proboszcza, cały ten zbiór obrazów odnowiono.

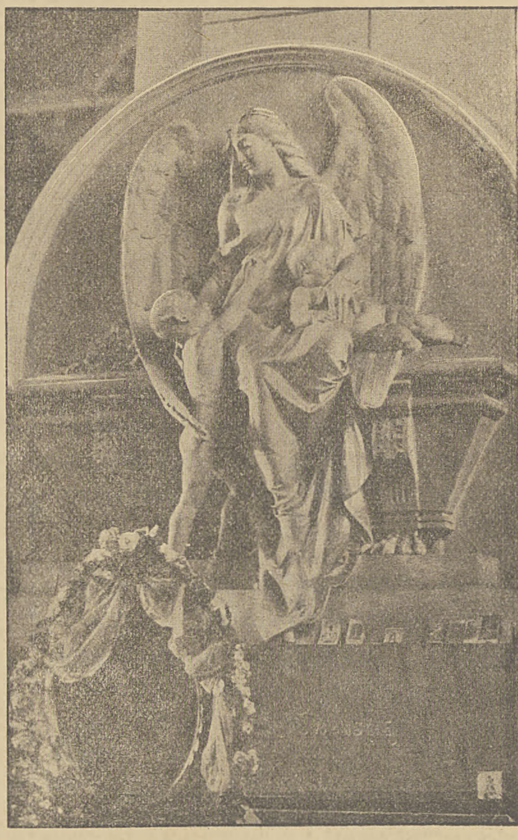
le ułożono posadzkę z żółtych i czerwonych płytek, zamiast dawnej drewnianej; utrzymanie w porządku takiej posadzki nic nie pozostawia do życzenia pod względem zdrowotnym, przy długotrwałości i zawsze świeżym wyglądzie.

Od lat mniej więcej dziesiątka ko-



Kościół w Humaniu — po drugiej stronie teatr miejski.

Przed kilku laty kościół został odnowiony. Obowiązki proboszcza pełni ks. kanonik Karol Zakusiło. Pomimo lat sędziwych — obchodził bowiem w dniu 19 marca r. 1899-go 50-lecie kapłaństwa, czuje się rzeźkim, a tak czystego i dźwięcznego głosu niejeden i w młodszym wieku naprawdę zazdrościć mu może. Kosztem jubilata w kościele



Pomnik śp. K. Iwańskiej w kościele humańskim dłuta Cyp. Godebskiego.

ściół nasz systematycznie, przy udziale chętniejszych parafian, stale postępuje pod względem całego szeregu przeprowadzonych robót, mających na celu postawienie świątyni naszej w rzędzie najlepiej utrzymanych domów Bożych. Cmentarz posiada kaplicę przedpogrzebową murowaną i wygodne mieszkanie dla stróża. W r. 1883 otwarto w Humaniu progimnazyum męzkie, które w roku 1896 zamieniono na pełne gimnazyum. Pierwsi uczniowie ukończyli je w r. 1898-mym. Gimnazyum żeńskie otwarto w r. 1900ym.

W r. 1901-ym powstała szkoła muzyczna L. Kucyna, licząca około 70-ciu uczniów.

Mamy szkołę miejską i szkółki na przedmieściach. W niedalekiej przyszłości oczekujemy otwarcia szkoły rzemieślniczej; budynek już gotów.

W r. 1896-ym w mieście rozpoczęło swe działanie towarzystwo opieki nad zwierzętami; powstało przy udziale ludzi dobrego serca.

W r. 1901 zawiązało się humańskie towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe, głównie dzięki usilnym staraniom d-ra Wincentego Kwiatkowskiego; liczy obecnie 300-stu członków z obrotem kasy około 20-stu tysięcy rs. rocznie.

Zjednoczenie ziemian naszych nastąpiło dzięki utworzeniu humańsko-lipowieckiego towarzystwa rolniczego; zatwierdzonego w r. 1901. Liczy ono

obecnie 300 członków; posiada działy: handlowy, okazów i narzędzi rolniczych i ogrodniczych; oprócz komisyi czasowych i nowopowstałych, które z czasem przedstawiać będą samoistne działy. W r. 1901 otrzymujemy ustawę humańskiego towarzystwa lekarskiego; w listopadzie zaś tegoż roku otwartą zostaje lecznica doktora Wacława Pomorskiego, specyalisty chorób kobiecych.

W r. 1902 zatwierdzonem zostało humańskie towarzystwo popierania hodowli koni i bydła; oglądaliśmy duży murowany budynek, gdzie się mieści stajnia tatersalu, widzieliśmy dorodne czwórki i ognistych wierzchowców i... dziwiliśmy się zbytkowym zaprzęgom podczas letnich wyścigów na humańskich błoniach. Inicyatorem tego towarzystwa jest dr. Zygmunt Dobrowolski, znawca koni.

W r. 1903 zatwierdzone zostało humańskie towarzystwo wzajemnego kredytu; rozpocząwszy swą działalność jesienią tegoż roku, liczy obecnie około 400 członków; ogólny obrót kasy wyraża w sumie 15 milionów rubli.

Od 1 czerwca roku 1904 wychodzi w Humaniu gazeta „Umanskij listok;" obecnie zaś oczekujemy pierwszych zeszytów organu rolniczo-informacyjnego; wydawnictwo to, tak ważne i pożyteczne dla ziemian, redaguje humańsko-lipowieckie towarzystwo rolnicze.

Ruch w mieście z powodu stacyi kolei żelaznej, dość jest ożywiony; miasto posiada kilka brukowanych ulic; chodniki, przeważnie ceglane, część jednak zabrukowana jeszcze ostrym granitem; wszystkie natomiast chodniki obsadzone drzewami, miłe sprawiają wrażenie podczas upałów. Stare lipy na drodze do Zofiówki i drzewa na kilku traktach poblizkich pamiętają czasy Potockich. Mamy wodociąg, kilka hoteli porządnych i... nawet oświetlenie ulic, które niedawnemi laty przenosiło nas myślą w straszny mrok ciemności egipskich. Teatr miejski i kilka budynków oświeca „mrugająca" elektryczność. Obok rosyjskich firm kilka napisów polskich przemawia mile do swoich.

Złote myśli.

Serca i ryby w tem podobne są do siebie, iż wielkie łatwo pozostają w sieciach, małe zaś zawsze wyślizgują się z nich z łatwością.

* * *

Człowiek roztropny rachuje się zwłaszcza z tymi, na których nie może rachować.

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).

Napisał Karol Cieszewski.

XXVIII.

Pierwsze kroki do podziału.

Zdaje się, iż pierwsza myśl rozbioru Polski uknuła się w głowie księcia Henryka, brata króla pruskiego, podczas bytności jego w Petersburgu.

Tenże książę Henryk był nawet dla brata króla niebezpiecznym rywalem. Niemniejszej sławy wojennej jak król, przytem zręczny w obrotach dworskich, miłośnik nauk, znawca sztuk i ujmujący w towarzystwie — budził często zazdrość i podejrzliwość panującego brata, który też o ile możności od wszelkiego w ważniejszych sprawach usuwał go współdziałania.

Tak samo i podczas zjazdu w Neustadt. Król nie życzył sobie, aby mu brat towarzyszył, zaproponował mu więc, aby w tym czasie odwiedził siostrę, królowę szwedzką; a gdy się książę wymawiał brakiem funduszów, nawet pieniądze mu dał na drogę.

Na sześć tedy tygodni przed zjazdem w Neustadt, wyjechał książę do Sztokholmu. Gdy zaś Katarzyna, dowiedziawszy się o jego w sąsiedztwie swych państw pobycie, usilnie osobnemi listami do swej stolicy zapraszać go poczęła, i król odpisawszy jej bardzogrzecznie i pochlebnie zezwolił na to i osobno objawił, „że lubo nie kładzie na niego obowiązku dyplomatycznego, chętnieby jednak widział, gdyby książę korzystając ze sposobności starał się imperatorowę nakłonić do pokoju; a chociażby staranie w tej mierze było płonne, potrzebnem jest dla Prus zabezpieczenie nadal traktatu z r. 1764, za dwa lata ustać mającego. Prócz tego powierzał mu widoki ożenienia wielkiego księcia moskiewskiego Pawła"...

Z temi poleceniami pojechał pruski książę do carskiej stolicy. Bądź stanowiskiem brata i swojem, bądź osobistemi zaletami, ujmował sobie wszystkich i doznawał jak najpochlebniejszego przyjęcia.

Książę odpłacał je grzecznością i niepospolitemi pochlebstwy. Ale wśród świetnych zabaw i szumnych oklasków, nie zapomniał o planach dyplomatycznych; a zręczny i przebiegły korzystał z każdej sposobności, aby ujmować sobie cesarzowę i dworaków, i uczynić ich tym sposobem skłonniejszymi do popierania jego propozycyi.

Propozycye te były niemałej wagi, niemałej mianowicie dla Polski; utrzymują bowiem „że ks. Henryk podczas bytności w Petersburgu pierwszy podał projekt rozbioru Polski; byli nawet twierdzący, że listami króla brata imperatorowej chciał dowodzić, iż jemu się on wyłącznie należy."

Rozmawiając z cesarzową o tej materyi, nie śmieli jednak, pomimo iż oboje do skromnych nie należeli, myśli swe prostemi określać wyrazami; używali więc rozmaitych przenośni, nie szczędząc przytem i rubasznych wyrażeń. I tak imperatorowa rozmawiając z ks. Henrykiem o zajęciu Spiża, powiedziała: „Dosyć się schylić w Polsce, aby coś podnieść" — podczas gdy ks. Henryk mówiąc o interesach Polski i Turcyi, użył tego wyrażenia: „Trzeba włożyć trzy głowy w jedną czapkę!"... Była niemniej mowa, i to wyraźniejsza, o przyłączeniu województw, dziś Prusami wschodniemi nazwanych i pomimo upornego sprzeciwiania się widzących dalej Panina i Salderna, imperatorowa „przyjmowała projekt z warunkiem, aby nie szkodził równowadze Europy."

„Wiarogodnem jest — powiada autor W. o. k. b. — że imperatorowa Katarzyna początkowo nie życzyła sobie rozbioru i że go z ks. Henrykiem stanowczo nie ułożyła; wysłanie Salderna i dane mu instrukcye, są jawnym tego dowodem. Ale choćby żadnych nie było, prosty wniosek, iż lepiej samej władać całym krajem, niż część zabrać. A że część Polski, gdy równe biorą drudzy, nie jest żadnem powiększeniem w równowadze, dostatecznie nas przekonywać może, iż nawiasowo rzucane myśli nie podobały się Katarzynie. — Pan Łobarzewski, aktualny radzca stanu moskiewskiego, w piśmie wydanem w Petersburgu 1818 roku, a zatem 47 lat później, to zdanie popiera, mówiąc: „zdaje się, jakoby Moskwa była przekonana, iż wpływ na całą Polskę korzystniejszym jest, aniżeli części jednej posiadanie..."

Lecz cóż nam przyjdzie z dalszego śledzenia, kto pierwszy zaprojektował rozbiór Polski. Dojść tego niepodobna, bo wszystkie trzy dzielące się dwory zaparły się inicyatywy — nie pozostaje więc jak tylko powiedzieć z Raumerem:

„że równie mało znaczącem jest udowodnienie, kto pierwszy rzucił myśl rozbioru, jak kto pierwszy wystrzelił podczas wojny!..."

32 **Złudzenia.**

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

(Ciąg dalszy.)

XV.

Opatrzność, która zajmuje się nietylko losami ludów, ale i losami pojedyńczych ludzi, zawiodła to umierającego Szumlańskiego do tej zapadłej galicyjskiej wioski, jakby do spokojnego portu.

Że mógł on tu spodziewać się jak najbardziej gościnnego przyjęcia i jak najtroskliwszej opieki, wynikało stąd, że właścicielką wioski owej była panna Ewa Peńczykowska, która osiadłszy tu, gdzie wojska najwięcej przeciągały, stała się dla rannych i upadających ze znużenia prawdziwą opiekunką i matką.

Opuściła zaś Warszawę, a następnie i Chlewiska dlatego, że na początku zaraz 1812 roku zmarła pani Sołtykowa, a jej samej w domu wdowca nie bardzo uchodziło zostawać, a co ważniejsza, że młoda ta panna pełna energii, jak się rzadko zdarza w jej płci i w jej wieku, sama pracą swą postanowiła przyjść z pomocą rządowi Księstwa Warszawskiego.

Lubo dochód cały z odziedziczonych przez nią włości przeznaczyła na korzyść skarbu Księstwa, jednakże ponieważ majątki leżały przeważnie w części Galicyi, pozostałej przy Austryi, odzyskiwanie z nich należności nie było rzeczą łatwą pod obcym rządem, niezbyt Księstwu sprzyjającym. Dzierżawcy więc, korzystając z tego wyjątkowego położenia, jak i z czasu wojennego, nie płacili tenut należnych.

Ewa, nie mając pomocy dostatecznej z Sołtyka, gdyż i jego czas był zajęty służbą dla kraju, za poradą biegłego i zacnego prawnika, sama objęła administracyę rozległych majątków i wziąwszy na opiekunkę starą a ubogą krewną, wspólnie z nią dźwigała te niezbyt przyjemne obowiązki.

Że zaś dawna jej praktyka, nabyta w czasie wizyt do szpitala wojskowego w Warszawie, dawała jej możność niesienia pomocy i w innym także kierunku, a przechody wojsk nastręczały sposobności ku temu, mając więc pomoc lekarską zapewnioną w niezbyt odległym Krakowie, założyła u siebie prowdziwy szpital i krzątała się w nim jak prawdziwa siostra miłosierdzia, a przytem jako niezmordowana gospodyni.

Czyż dodawać potrzeba, że Szumlański został tu otoczony wyjątkową opieką Nie tylko, że wysłano natychmiast rozstawne konie do najlepszych lekarzy, nie tylko, że wyznaczono mu najwygodniejszą w całym dworze komnatę, ale nadto Ewa, z zaniedbaniem innych chorych, czuwała prawie ustawicznie przy jego wezgłowiu i po nocach gorące modły zasyłała do nieba o jego ocalenie.

Po dokładnem zbadaniu przez lekarzy uznano, że lubo rany wielce były zaniedbane, przy starannem jednak leczeniu nie groziły żadnem niebezpieczeństwem. Felczer sprowadzony z Krakowa do tego zaimprowizowanego naprędce szpitala, był tu najzupełniej wystarczający. Gorzej jednak było z organizmem, który niezmiernie wycieńczony w drodze z Warszawy do Krakowa, uległ jeszcze zaziębieniu. Płuca były silnie zaatakowane i stan gorączkowy chorego napełniał lekarzy poważną obawą.

Stan ten, nie przypuszczając, żeby Ewa wyjątkowo zajmowała się tym nowym chorym, wyjawiono jej z całą otwartością. Dziewczę przestraszyło się, bo w nadmiarze swojej troskliwości uważało niebezpieczeństwo za groźniejsze.

W tem strapieniu wiara żywa przyszła jej ze skuteczną pomocą. Pamiętała, że i o jej życiu niegdyś zwątpiono, a jednak Bóg ją ocalił. Do Niego więc zwróciła się w gorących modlitwach o pomoc i ratunek. To dodało jej otuchy, tak, że opanowawszy pierwszą boleść, wszystkie myśli, siły i starania swoje zwróciła ku uratowaniu chorego.

A było to zadanie nielada. Szumlański gorączkował i majaczył, nie chciał przyjmować przez bardzo długi czas żadnego pokarmu, przez zgorączkowane zaś jego usta wymykało się to głośniej, to szeptem ustawicznie jedno i to samo imię.

Wyrazy te, jak ostrze miecza, raniły serce biednej Ewuni, bez względu jednak na to, że ten umiłowany do innej myślą i sercem należał kobiety, wysilała swoje starania, aby uratować go, bodaj kosztem życia swego.

Pieczołowitości jej i trudom przybywał na pomoc młody wiek Szumlańskiego, tudzież silna jego natura. Po kilku tygodniach sen zaczął krzepić zwątlone jego siły, gorączka ustępowała, a usta instynktownie, nie wiedząc o tem, co czynią, szukały pokarmu.

Lekarze teraz przestali wątpić o możności uratowania go. Ewunia, chociaż przy czuwaniu ustawicznem straciła jagody na licach, chociaż wybladła, wychudła i z trudu niemal upadała, silną jednak była nadzieja, która z każdym niemal dniem stawała się silniejszą.

Tymczasem po owej srogiej zimie nastąpiła wiosna przedwczesna. Już słońce stopiło resztki grubo zaścielających ziemię śniegów i z pod przegniłych liści jesiennych poczęły wydobywać się szmaragdowe trawki.

Ptactwo radosnym chórem nuciło pieśń majową, a przez okna wdzierała się do mieszkania jasność wiosenna, która w każdym człowieku dobywa z głębi serca resztki złożonej tam nadziei i każe wierzyć, że ciężkie chwile przeszły, że dzieje złej i smutnej doli stanowczo się już zamknęły i że teraz nastąpią dni ciepłe, promienne, jasne,



Ulica w Kronsztadzie po zniszczeniu miasta przez zbuntowanych żołnierzy.

W Kronsztadzie, wojennym porcie Petersburga, wybuchła w listopadzie r. z. straszna rewolta marynarzy i żołnierzy, o czem swego czasu pisaliśmy. Zbuntowani żołnierze i marynarze opanowali miasto i przy pomocy motłochu ulicznego częściowo je spalili i ograbili. Łuna palących się domów jasno świeciła w okna pałacu carskiego w Peterhofie, oddzielonego od Kronstadu jedynie dwumilową przestrzenią zatoki morskiej. W Petersburgu powstała panika; w kołach rządowych obawiano się już, że jest to początek ogólnej rewolucyi w armii; lecz obawa ta okazała się płonną. Pułki gwardyjskie pozostały wierne carowi i przy ich pomocy powiodło się stłumić bunt kronsztadzki.

jak owo słonko, które na pociechę znękanym ludziom Bóg zapala codziennie na stropach niebieskich.

Choremu zalecono wiele powietrza i światła. Podnoszono więc firanki w oknach, a skoro słońce wtaczało się na środek horyzontu i dogrzewało południowymi promieniami, otwierano nawet na pewien czas okna.

W czasie takiego dnia wiosennego, przebudzony z chorobliwego snu, Szumlański, po raz pierwszy otworzył oczy, nie dzikie i błędne, jak zwykle, ale przytomne, i dokoła potoczył zdziwionym wzrokiem.

Miejscowość wydawała mu się całkiem nieznaną i nową. Meble o starych formach w obszernej komnacie rozstawione, przywoływały dawne, dziecinne wspomnienia. Radowało go wesołe słonko, które wpadając przez szerokie okno, słało swe promienie aż do jego łoża.

Kiedy badawczy wzrok swój przesuwał z przedmiotu na przedmiot, zatrzymał go nagle na niewieściej postaci, która zagłębiona we framudze okna w staroświeckim fotelu, trzymała oczy utkwione w książkę o złoconych brzegach, a więc zapewne książkę pobożną.

Szaty niewiasty były ciemne i jakby zakonne, lica wybladłe i wychudłe, paluszki podtrzymujące książkę drobne, przezroczyste i białe, jak z wosku, ale mimo to na pierwszy rzut oka poznawało się, że twarz ta, acz wymizerowana, jest jeszcze młodziutka i tylko jakiemś wyczerpaniem chwilowo napiętnowana.

Szumlańskiemu wydało się teraz, że rysy te zna bardzo dobrze, nie umiał tylko zebrać swojej pamięci, a ponieważ na rozpuszczonych blond włosach, okalających twarzyczkę, łamały się promienie słońca i małą główkę otaczały rodzajem aureoli złotej, przeto postać ta przejęła go jakimś uroczystym nastrojem, a przytem tak zaciekawiła, że aby się lepiej przyjrzeć, chciał się ku niej obrócić i skutkiem tego poruszył się na łóżku.

Ruch ten dostrzegła Ewunia, a widząc oczy chorego otwarte, podniosła się z siedzenia, zbliżyła się do niego bez szelestu i cicho, jakby rzeczywiście nieziemska istota, i biorąc do rąk ze stoliczka przy łóżku szklankę z napojem, przysunęła ją do ust chorego.

Szumlański zaczął pić chciwie, ale oczu od dziewczęcia nie odrywał, owszem utkwił je w niem z wyrazem zachwytu i uwielbienia.

Wnet jednak przyszło osłabienie czy znużenie, powieki powoli nasunęły się na oczy i piersi zaczęły poruszać się wolno. Po chwili zapadł w sen głęboki.

Ewunia wpatrzyła się w jego twarz z niewypowiedzianą radością, a ponieważ wiedziała od lekarzy, jakie będą oznaki niezawodnego powrotu do zdrowia, pierwsze więc te objawy wzięła za dobrą wróżbę i kiedy chory usnął, upadła na kolana, aby nieopisaną wdzięczność swą wyrazić Przedwiecznemu w gorącej modlitwie. Za tym pierwszym dniem pomyślnym szły inne coraz lepsze. Chory o pewnych stałych porach budził się zupełnie przytomny, przyjmował pokarm z rąk opiekunki swojej i znowu zapadał w sen zbawienny.



Król norweski Hakon VII.

Powołany przez Norwegów na tron ks. Karol Duński objął rządy w końcu listopada r z. jako Hakon VII. W sierpniu z. r. oświadczyła się Norwegia za zerwaniem unii ze Szwecyą, a dnia 13-go listopada z. r. znakomitą większością za monarchiczną formą rządu, wreszcie dnia 18-go tegoż miesiąca storthing norweski dokonał ceremonii wybrania króla. Książę duński przybrał jako król imię Hakona VII, aby je nawiazać do tego punktu w dziejach Norwegii, w którym Norwegia przestała być odrębnem państwem. Jako ostatniego króla Norwegii wymieniają dzieje Hakona VI, który ożenił się z duńską królową Małgorzatą. Synek z tego małżeństwa odziedzczył po dziadku tron duński i panował w Kopenhadze jako Olaf V, a po zgonie ojca zasiadł także na tronie norweskim, lecz zmarł młodzieńcem, a obie po nim korony wzięła jego matka. Ona to po różnych walkach zdobyła także koronę szwedzką i utworzyła unię skandynawską. Ale w roku 1524 unia poszła w rozsypkę przez odłączenie się Szwecyi. Dania zrzekła się Norwegii na rzecz Szwecyi po bitwie pod Lipskiem w r. 1814 ym Unia więc norwesko-szwedzka trwała lat 91

Tak upłynęło znowu kilka dni. Nie mówili zesobą, chory bowiem tak był jeszcze osłabiony, że na szept nawet zdobyć się nie mógł. W oczach tylko malowała się coraz wymowniej wdzięczność.

Razu pewnego zdobył się złamanym głosem na pytanie:

— Czy pani doprawdy jesteś panną Ewą Pieńczykowską, jak mi się uparcie ciągle wydaje, czy też ja pozostaję pod wpływem jakiegoś obłędu i sennej mary?

— Nie mylisz się pan — odpowiedziano mu na to, z uprzejmym uśmiechem — to ja sama i we własnej swojej osobie.

— Przez Boga żywego! — i skądże się tutaj znalazłem pod opieką pani? — zapytał zdziwiony.

Ona paluszek położyła na maleńkich swych a bladych usteczkach, jako znak milczenia i szepnęła:

— Pst! Lekarze zabraniają rozmawiać.

— Ależ ja zdrów jestem zupełnie.

— To tak się panu tylko wydaje. Przedwczoraj jeszcze byłeś między życiem a śmiercią.

—Nie może być — rzekł. — A zresztą — dodał — jeśli mi zabroniono mówić, to przecież słuchać zapewne mogę. Przez miłość Boga więc wytłómacz pani, gdzie się znajduję i co się ze mną dzieje?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Franek.

Wspomnienie z 1863 roku.

Tuman śnieżny pokrywa całą równinę Maciejowicką, pyłki białe, gnane wichrem, wypełniają cały widnokrąg; pola i łąki pokryte białym całunem, zlewają się z kopułą niebios w jedną bezmierną, nieskończoną całość; bory otaczające równinę, majaczeją groźnie w dali czarną, zbitą masą, uchylając z lekka dumne swe korony pod naporem huraganu północy.

Mieszkańcom „Białego dworu“ zdawało się, że w taką noc spoczną spokojnie. Lecz spokojne noce wykradane były w krainie, w której od miesięcy wre walka z odwiecznym wrogiem na śmierć i życie.

Nagle wśród świstu wichru dał się słyszeć tętent i szczęk broni pod wszystkiemi oknami, a wśród przekleństw moskiewskich, dobijanie się do drzwi.

Państwo Z. przyzwyczajeni do tak miłych niespodzianek, zerwali się szybko a myśl ich lotem błyskawicy objęła położenie. — Czy wszystko ukryte? — czy niema na wierzchu broni, „papierów“, których nigdy nie brakło w „Białym dworze“? Naraz krew lodem im się ścięła — tam, w oborze, pod opieką pasterzy spoczywa ranny powstaniec — wieśniak — czy oni zdołają go ukryć? ,

Lecz do namysłu czasu nie było, dobijania stawały się coraz gwałtowniejsze, przekleństwa coraz dosadniejsze.

Gdy im otworzono, weszło kilku żołnierzy, uzbrojonych od stóp do głowy, z młodzikiem na czele. Był to

oddział Kubańców, którymi dowodził hr. Wahl (może to dzisiejszy wielki dygnitarz?).

Przyjechali robić rewizyę, a robili ją sumiennie, nic nie uszło ich oka, dzieci nawet wyrzucili z łóżek, aby przetrząsnąć sienniki. Przerażenie dziatwy było okropne, gdy nagle otworzywszy zaspane oczka, ujrzały nad łóżkiem draba, sięgającego prawie sufitu, obsypanego śniegiem, w wysokiej baraniej czapie, ze świecą w ręku, którą pan hrabia, wchodząc do domu, z rąk pana Z. odebrał.

. . . .

Kubańcy otoczyli również zabudowania gospodarskie, stary Jędrzej, pasterz, usłyszał pierwszy niezwykły hałas, uchylił drzwi, wyjrzał, a zobaczywszy Moskali, cofnął się przerażony, zamykając starannie drzwi za sobą, zbudził swego pomocnika Franka, aby we dwóch mogli ukryć rannego.

Błyskawicznie objęli całą grozę położenia: są otoczeni, pomocy ze „dworu“ nie mogą się spodziewać!

W pustej na razie przegrodzie, przeznaczonej dla cieląt, w której sypiał na miękkiem sianie Franek, ułożyli rannego, przywalili sianem, zostawiając otwór, aby mógł oddychać. Franek owinął głowę szmatami, jakie miał pod ręką, natarł sianem policzki i położył się na sianie, tworząc puklerz dla rannego.

. . . .

Po kilku godzinach przetrząsania domu od strychu do piwnicy, Kubańcy wyszli, nie znalazłszy nic. Zaczęli robić porządek na swój sposób w zabudowaniach gospodarskich; komórki, kurniki, chlewy, wszystko splądrowali, nakoniec doszli do obory.

Drzwi zamknięte, zaczęli się dobijać, stary Jędrzej udał, że śpi, w końcu niby wielce zaspany, otworzył dopiero wtedy oczy, gdy mieli drzwi wywalać. Dobitne przekleństwa sypnęły się na jego głowę wraz z nahajkami.

Horda wpadła do stajni, gdzie przy świetle latarki kłuli pikami w żłoby, pod żłobami, w siano założone za drabinki, słowem wszędzie, gdzie mogli pomyśleć, że coś, lub ktoś, może być ukryty, biedne krowiny przerażone tym napadem, zaczęły ryczeć, co wraz z przekleństwami najeźdźców, tworzyło wielce harmonijną muzykę. Tak doszli do zagrody, w której leżał Franek, jęcząc i gadając od rzeczy, Kubańcy stanęli nad nim, jakby zastanawiali się, co mają robić.

— Chory? — pytają Jędrzeja, (jeden z Kubanów mówił trochę po polsku).

Jędrzej im tłomaczy, że to taka zgniła gorączka, którą łatwo się zarazić a na nią rady nie ma, tylko się do chorego dotknąć, to jej się dostanie, kto raz zachoruje, musi umierać, biedny Franek także umrze.

Kubańcy stoją, jakby zalękli, lecz po chwili nabierają fantazyi i zaczynają kłuć pikami siano w zagrodzie, unikając starannie dotknięcia Franka, który jęczy okropnie i bredzi w najlepsze.

. . . .

Świt szary, zimowy zagląda w okna „Białego dworu“, oświecając pobojowisko opuszczone przez Mongołów. Z szaf, z komód powyrzucane rzeczy i bielizna, z łóżek pościel, dzieci blade, przerażone siedzą cichutko w kąciku. Państwo Z. znużeni, zdenerwowani,



Królowa norweska Maud w stroju narodowym.

Hakon VII., który uchodzi za wzorowego małżonka i ojca, ożeniony jest z księżną walijską Maud, najmłodszą córką króla angielskiego, Edwarda VII., liczącą obecnie lat 35. Opowiadają, że żadne dziecko Edwarda VII nie było tak pieszczone, jak ona. Z lat panieńskich uprawiała z zapałem różne sporty i lubiła bezpośrednio stykać się z ludem, jeżdżąc omnibusami, bawiąc się w parkach publicznych itd., dzięki czemu cieszyła się w Anglii wszędzie nadzwyczajną sympatyą.

lecz w oku ich radość. Biedny ranny powstaniec ocalał. Franek był dla niego tarczą!

Wicher szaleje, prusząc płatki, puszki, gwiazdki i igiełki śnieżne, ugina wierzchołki smukłych, niebotycznych topoli, otaczających „Biały dwór“, wpada do sadu z taką siłą, jakby chciał wyrwać z korzeniem grusze, jabłonie lub śliwy i leci dalej, hen, równiną, niosąc białą, śnieżną kolumnę, która rozpryskuje się, uderzywszy o ścianę czarnego boru.

Bór zaś w złowrogim szumie śle klątwę na gławy Kubańców, pędzących w tumanie śnieżnym; pyta ich groźnie: jak śmią deptać ziemię przesiąkłą krwią bohaterów kościuszkowskich, jak śmią zakłócać spokój tym, którzy pragną tylko oddychać powietrzem swej Ojczyzny wolnej i swobodnej.

A krzyż dębowy z męką pańską na wzgórku za wsią, wyciąga błagalne ramiona ku Panu nad Pany, aby dodał sił i męstwa dzieciom tej nieszczęsnej krainy; aby one wszystkie i te z pałaców, przez których palce złoto się przesiewa — i te z pod słomianej strzechy, których ręce namulone pracą nad ziemią-matką i te, którym głód i zimno doskwiera na poddaszu i te, którym w suterenach brak słonka Bożego, aby one wszystkie od najbogatszych, do najbiedniejszych spełniały swój obowiązek względem Ojczyzny! — jak ten Franek, wyhodowany tchnieniem sławy Kościuszkowskiej, która bije od tych pól, od tych łąk, której dzieje gwarzą wiekowe sosny i dęby w starych borach, słowiki tęskną melodyą o nią potrącają, skowronki do stóp Pana ją niosą, a lud okoliczny na wieczornicach cicho o niej gwarzy.

. . . .

Józefa z Zagórowskich Anc.

Z cytadeli warszawskiej.

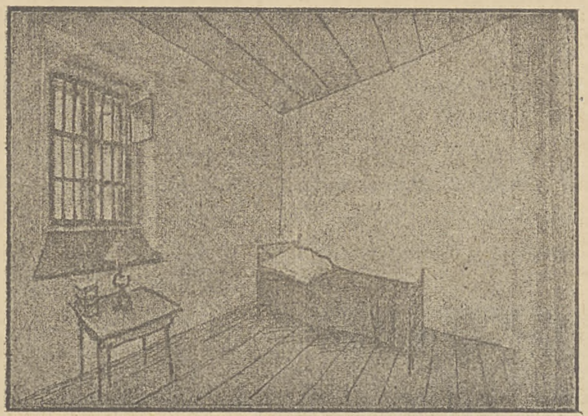
Odrysował ją, tę celę więzienną w X. pawilonie warszawskiej cytadeli, jeden z jej mieszkańców przed laty, a ponieważ kaźnie więzienne nie tak często zmieniają fizyognomie — więc jest ona i dziś zapewne w tym samym stanie, tylko przez innych... lokatorów zajęta.

Cela, którą wyobraża nasza rycina, jest jedną z tych, w jakich więziony był Jarosław Dąbrowski, Bronisław Szwarce, Traugut i wielu innych więźniów politycznych.

Gdyby nie filar w kącie, wskazujący, że to cela narożna, nie różniłaby się ona niczem od innych kaźni. Te same wymiary szczupłe kilkustopowe posiadają wszystkie ubikacye więzienne cytadeli warszawskiej, takie same okienko wysoko u góry o szybach ze szkła matowego, falistego, przez które światło dzienne się przedziera, ten sam parapet skośny, uniemożliwiający więźniowi wdrapanie się ku oknu, dla zaczerpnięcia bodaj świeżego powietrza.

Stolik z książkami i lampą, otwarty u góry lufcik, wskazują, że mieszkaniec, który ją rysował, bawił w cytadeli przez czas dłuższy i wywalczył sobie po prostu przez wnoszenie ustawicznych żądań, a czasem i strajk głodowy, kilka dni trwający, te prymitywne przedmioty codziennego użytku. W

pierwszych czasach swego pobytu w cytadeli więzień nie dostaje ani lampy, ani książek, a jedyne oświetlenie kaźni stanowi łojowa świeczka, ustawiona w piasku na podłodze. Przez wyrżnięty w drzwiach otwór pilnuje jej żandarm, jak oka w głowie, wpadając z hałasem ilekroć zagaśnie.



Cela w pawilonie X. cytadeli warszawskiej.

Również i otwieranie okienka jest „przywilejem,“ który przysługuje więźniowi, co dłuższy już czas tutaj przebył. Zdarza się czasem, że po wysiłkach dostanie się więzień do kraty, a, zwieszając się na niej, ma możność zobaczenia bodaj skrawka niebios. Jestto jednak surowo zakazane i bywały wypadki, że stojący zewnątrz szyldwach wystrzałem karabinowym uśmiercał takiego śmiałka.

Dzisiaj jeszcze niestety rycinka nasza jest bardziej aktualna i na czasie, wobec masowych aresztowań, dokonywanych przez bankrutujące czynownictwo, miejmy jednak nadzieję, że rychło stanie się ona tylko... wspomnieniem historycznem. *T.*

Kurczycielom Ojczyzny.

Hej, bujnej natury rozliczne wytwory,
Wy góry i rzeki i pola i bory
Ojczyste, ocknijcie się z onej martwoty
I razem huknijcie przekleństwem zgryzoty.

Huknijcie przekleństwem, piorunne niech tony
Na cztery sarmackiej ziemicy grzmią strony;
Niech głos wasz, jak trąba sądna archanioła,
Zmarłe z grobów dzieci Ojczyzny wywoła.

I niechaj umarli pospołu z żywemi —
Co dzieć mi prawemi są polskiej tej ziemi,
Straszliwem po wieki przekleństwem obarczą
Wyrodków, co ziemią ojczystą frymarczą.

Dziś, kiedy za Polskę, Ojczyznę tę drogą,
Wiekową niewolą steraną tak srogo,
Jej dziatwa, z Moskalem rozpaczny bój toczy,
Frymarczy jej ziemią wyrodków ród smoczy...

Oto znowu Mielżyn, znowu Kotowiecko.
Brudnemi intrygi wyrodków zdradziecko —
Na naszej ojczyzny, Prusaków wesele —
Wtłoczone w bezdenną hakaty gardzielę...

Przodkowie! Czyż na to ze świętej miłości
Ku ziemi tej — stosy swych sialiście kości
Po niej i zlewaliście ją krwią serdeczną,
By dziś za frymarkę służyła wszeteczną?

O, chyba by nie był ten Polski cnym synem,
Którzyby nie zadrżał nad podłym tym czynem;
Chybaby nie bolał nad Polski męczeństwem,
Jeśliby wyrodkom nie rzucił przekleństwem.

Niech się więc obleką w postać zmarłych [prochy
I wespół z żywymi od młota i sochy
I kielni i pióra — co Polskę miłują,
Ku hańbie wieczystej judaszów piętnują.

By, gdzie się obrócą, nie mieli spokoju,
By żyli w ustawnym z sumieniem swem boju,
By kiedyś ta ziemia, ta przez nich zgwałcona,
Do swego zagarnąć nie chciała ich łona.

Ferdynand Kuraś,
chłop z nad Wisły.

Rudyard Kipling.

Na cmentarzu żywych.

5) (Ciąg dalszy.)

Nora moja, nie wiele szersza od trumny, miała ściany brudne i zatłuszczone, skutkiem ustawicznego stykania się z niezliczonemi nagiemi ciałami biedaków, którzy sypiali w niej przedemną. O śnie trudno było i marzyć. Noc tymczasem zalewała krater coraz gęściejszym tumanem ciemności. Tonąc w niej oczyma, doznawałem złudzenia, że całe wnętrze krateru zapełnia się zwolna coraz gęściejszym tłumem złośliwych demonów, występujących z ławic piasku po to, ażeby szydzić z męczarni nędzarzy, skazanych na długie i powolne konanie...

Chociaż nie odznaczałem się nigdy zbyt wybujałą wyobraźnią, jednak podczas tej okropnej nocy nerwowe przerażenie owładnęło mną zupełnie. Drżałem jak słaba kobieta. Nie trwało to jednak dugo. Po chwili byłem już zdolny z zupełnym spokojem rozważać i obmyślać sposoby oswobodzenia.

Wydobycie się przez wał piasku było niemożliwe, kto wie jednak, czy przy niepewnym blasku księżyca nie udałoby się przedrzeć szczęśliwie przez kule. Dla wydobycia się z tego wstrętnego miejsca gotów byłem narazić się na największe niebezpieczeństwo.

Po cichutku wylazłem z nory i przyczołgawszy się ukradkiem do wybrzeża rzeki, ujrzałem z radością, że piekielnego statku już niema. Kilkadziesiąt kroków tylko pozostawało jeszcze do przebycia... a dalej... ocalenie!... Przejść wbród rzekę, albo ją przepłynąć i wydostać się na ziemię — oto całe zadanie. Bez namysłu przebyłem szybko trawą zarosłe kępy, gdzie Gungo łowił wrony, i pobiegłem ku piasczystej równinie, ciągnącej się szeroką ławą aż do rzeki. Pierwszy jednak krok na białej piaskowej smudze dał mi poznać całą zwodniczość nadziei, jaką się łudziłem przed chwilą. Tędy nie było możności wydobycia się z krateru. Stawiając nogę na piasku, poczułem nieopisaną trwogę. Piasek był miękki, zdradziecki, jak trzęsawisko... chciał mnie żywcem pochłonąć w swej bezdennej... nienasyconej paszczy. Noga moja zapadła się i pogrążyła po kolano. W mlecznem oświetleniu księżyca cała ta zdradziecka powierzchnia piasczysta zdawała się tańczyć w jakiejś demonicznej radości, szydząc z mojego zawodu.

Z trudnością zdołałem się wydobyć z tej okropnej zasadzki. Zimny pot oblewał mi czoło, gdy na pół omdlały z wysiłku i trwogi, zdołałem przedostać się z powrotem przez kępy w miejsce bezpieczne. Zrozpaczony padłem twarzą na piasek. Jedyna droga oswobodzenia była zamknięta na zawsze!...

Jak długo leżałem, nie mam pojęcia; zbudził mię szyderczy głos Gunga, skrzeczący piskliwie nad uchem:

— Radziłbym ci, sahib, wrócić już do domu. Nie zdrowo spać tutaj. Zresztą, gdy statek powróci, mógłby cię spotkać nieprzyjemność. Kule nie żartują...

Pochylił się nademną przy blasku niepewnym zorzy, chichocząc i urągając mojej rozpaczy.

Miałem szczerą chęć schwycić niegodziwca za kark i rzucić go w otchłań ruchomych piasków; zapanowałem jednak nad gniewem i oburzeniem. Nic nie mówiąc, wstałem i udałem się za nim do naszych ohydnych, kryjówek.

Nagle zaświtała w mojej głowie myśl, pod wrażeniem, której zapytałem:

— Gungo Dass, pocóż ten statek stoi tam za dnia na straży, jeżeli i bez tego niema żadnego sposobu wydobycia się z krateru?....

Gungo zachichotał.

— Statek jest potrzebny; trzymają go tu tylko we dnie, dlatego że... jest

jeden sposób. Mam jednak błogą nadzieję, że długo jeszcze cieszyć się będziemy twojem towarzystwem. To miejsce wydaje się nawet dość przyjemnem, po przebyciu w niem kilku lat i karmieniu się przez czas dłuższy pieczonemi wronami.

Nie opierając się dłużej, chwiejnym krokiem wróciłem do brudnej nory i zasnąłem. Nad ranem obudził mnie jęk ostry i rozdzierający. Kto głos taki usłyszy raz w życiu, ten nigdy już nie zapomni jego brzmienia. Z trudnością wydobyłem się z nory i ujrzałem Pornika, mojego biednego, starego Pornika zakrwawionego, rozciągniętego bez życia na piasku. W jaki sposób go zabili, odgadnąć nie mogę.

Ujrzawszy mnie, Gungo oznajmił mi najspokojniej w świecie, że pieczony koń jest więcej wart niż pieczona wrona.

— Stanowimy tu wszyscy rzeczpospolitą, w której własność jednego jest własnością wszystkich. Wolno panu wziąć przypadającą nań część mięsa, narówni z innymi.

Nie próbowałem nawet protestować; usiadłem opodal, topiąc wzrok błędny w widoku ohydnym, jaki miałem przed oczyma. Pornik został poćwiertowany na sztuki. Kobiety i mężczyźni ciągnęli krwawe jego szczątki w różne strony i przygotowali się do rannego posiłku. Gungo przyrządzał jedzenie dla mnie, a równocześnie szydził z mego bólu w sposób tak obelżywy, że aż musiałem mu zagrozić, że jeżeli raz jeszcze zwróci się do mnie z jakąkolwiek uwagą, zduszę go na miejscu. Zamilkł... ale wkrótce milczenie jego stało się dla mnie tak nieznośnem, że rozkazałem mu znów mówić.

— Będziesz żył tutaj, dokąd nie umrzesz, tak, jak umarł inny sahib — rzekł chłodno.

— Jaki inny sahib?!... odpowiadaj!

— On jest tam — odparł, wskazując ciemny otwór nory w niewielkiej odległości na lewo. — Możesz sam zobaczyć. Umarł w swej norze, tak samo, jak i ty umrzesz, jak umrę ja, jak umrą wszyscy ci mężczyźni, wszystkie te kobiety i to dziecko...

— Na miłość Boską, powiedz, co wiesz o nim! Kto on był? kiedy tu się dostał? kiedy umarł?

Ten okrzyk był słabością z mej strony; Gungo mrugnął tylko złośliwie i odparł przebiegle:

— Nie powiem nic, dopóki mi czego nie dasz.

Przypomniałem sobie wtedy, gdzie się znajduję i uderzyłem Gunga pięścią między oczy na pół go ogłuszając. Potoczył się na piasek, lecz wnet z płaczem i ze służalczą uległością, usiłując całować moje nogi, zaprowadził mnie do otworu nory, wskazanego poprzednio.



Katastrofa kolejowa pod Nasielskiem w dniu 23-cim listopada r. z.

W dniu 23-cim listopada r. z. wieczorem pomiędzy stacyami Nasielsk a Gąsocin, na linii mławskiej kolei Nadwiślańskiej w Kongresówce pociąg osobowo-towarowy spotkał się podczas gęstej mgły z pociągiem towarowym, idącym do Iłowa. Spotkanie było straszne, nastąpiło bowiem na spadku od storny Gąsocina i pociągnęło za sobą znaczną liczbę ofiar w ludziach, oraz duże zniszczenie taboru.

— Mów wszystko! krzyknąłem.

— Ja nie wiem nic a nic o tym gentlemanie!... Wasz Bóg niech będzie świadkiem, że mówię prawdę!... Był tu półtora roku. I jemu, tak samo jak tobie, sahib, pilno było ztąd się wydobyć... Dosięgła go kula ze statku... Robiliśmy wszystko, ażeby go od tego uchronić i uratować... Dostał kulą tutaj... — Gungo Dass położył rękę na swoim zapadniętym wklęsłym brzuchu i zgarbił się aż do ziemi...

— Dobrze — a potem co?... mów dalej!...

— A potem... potem, sahib — przenieśliśmy go do jego domu, daliśmy mu wody i przykładaliśmy mokrą bieliznę do rany. Leżał tak, dopóki nie wyzionął ducha. Wzywam Wisznu na świadka — zawył — że zrobiłem wszystko dla niego... Wszystko, co tylko było możebne!...

Rzucił się na ziemię, obejmował i całował moje stopy. Pomimo to jed-

nakże miałem niejakie wątpliwości co do miłosierdzia Gunga.

— Pewny jestem, że ukradłeś mu wszystko, co posiadał!

— Sahib!.... Czyżbym potrafił!... Nie tknąłem ani jednego przedmiotu z należących do niego rzeczy!... O Sahib!... co sahib chce zrobić?!...

Schwyciłem go za kark i ciągnąłem ku opuszczonej norze, myśląc o nieopisanej nędzy mojego nieszczęsnego towarzysza niedoli, o jego przedśmiertnych męczarniach, o jego śmierci podobnej do śmierci szczura, zdychającego w brudnej norze. Gungo wył przeraźliwie, inni mieszkańcy krateru, ociężali po obfitej uczcie mięsnej, spoglądali na nas obojętnie!

— Właź w norę — krzyknąłem — i wyciągnij go!...

Gungo jęczał piskliwie:

— Ależ ja jestem braminem, sahib... Na duszę twoją... na duszę twojego ojca... nie każ mi tego robić...

— Wejdziesz!... — krzyknąłem i chwytając go za ramiona, wpakowałem głowę jego w otwór. Uderzeniem nogi wepchnąłem w norę resztę jego korpusu, poczem usiadłem na piasku i ukryłem twarz w dłoniach...

Po upływie kilku minut usłyszałem dziwny szmer. Tajemniczy jakiś przedmiot trzeszczał, wleczony po piasku. Następnie usłyszałem głos bramina, wymawiającego chrapliwym i piskliwym szeptem jakieś dziwne, niewyraźne słowa, przerywane jękami i łkaniem. Wreszcie coś ciężkiego upadło w pobliżu mnie. Odjąłem ręce od twarzy i spojrzałem: Piasek przemienił powierzonego sobie trupa w żółto brunatną mumię...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kiedy powstały wiece.

Wobec odbywających się u nas wszędzie licznych wieców „Straży" zajrzyjmy do ksiąg starych i zobaczmy, jak dawnym w narodzie naszym jest zwyczaj zwoływania wieców, w jakich razach zwoływano je, jak się te dawne wiece według kronik i zapisków odbywały w czasach dawnych, bardzo dawnych. Bo zwyczaj zwoływania wieców w narodzie naszym bardzo odległych sięga czasów. Już w najstarszej naszej pieśni „Boga rodzico Dziewico" słyszymy słowa:

Adamie, ty Boży kmieciu,
Ty siedzisz u Boga w wiecu...

Więc już z górą tysiąc lat temu znaliśmy i odbywaliśmy wiece. J. I. Kraszewski i inni pisarze zgadzają się na to, że w wiecach, czyli zgromadzeniach celem narad lub sądzenia spraw, brali udział ludzie najdostojniejsi, starsi wiekiem, doświadczeni życiem i mający powagę u ogółu. Takie wiece odbywały się za czasów pogańskich w uroczyskach leśnych, poświęconych bogom, a niekiedy i w świątyniach. W żywocie św. Ottona czytamy, że u Pomorzan w okolicy dzisiejszego pruskiego Szczecina, który to lud był, jak my Słowianami, były cztery świątynie, a w trzech z nich odbywały się wiece. Ku temu we wnętrzu zabudowań świątyni pourządzane były dokoła siedzenia i stoły, gdzie okoliczni kmiecie odbywali swoje narady, na których uchwalano wojny, obierano wojewodów, stanowiono podatki i odbywano sądy.

W późniejszych czasach król Władysław Herman nie chciał się powtórnie żenić bez zezwolenia wiecu. Bolesław Krzywousty na walnym wiecu w Korczynie żądał od Polaków przyzwolenia, aby córkę mógł oddać do klasztoru.

Takie to sprawy załatwiano na wiecach, a dziejopis Bartoszewicz powiada, że w narodzie naszym wiec był pierwowzorem późniejszych sejmów. Tylko że sejmy owe nie były zwoływane dla jednej ziemi, ale dla całego kraju i te właśnie nazywały się sejmami, gdyż wiece dawne dla poszczególnych okolic, zachowały nadal tylko władzę sądzenia spraw. Te wiece nazywano „rokami", co znaczyło termin pewien na który je zwoływano.



Sprzedaż koszyków w Japonii.

Jednem z najbardziej rozwiniętych rękodzieł japońskich jest koszykarstwo Od dawnych czasów doszło ono tam do takiego stopnia rozwoju, że dziś jeszcze wyroby koszykarskie Europy ani pod względem formy zewnętrznej, ani co do wytrwałości nawet równać się nie mogą z japońskiemi. Koszyki japońskie wyrabiane są z włókien bambusu, z sitowia i innych materyałów.

J. I. Kraszewski w powieści p. t. „Stara baśń" pisze o „Wiecach nad Gopłem". Działo się to w czasach, kiedy według podań miał tu panować ród złego króla Popiela, Chwostkiem też przez nienawidzący go naród przezywanego. Pod rządami tego króla, czy knezia, jak go Kraszewski nazywa, było wtedy kmieciom źle, bardzo źle. Chciał on rządzić sam, bez niczyjej rady, bez wieców; kmieciów, lud cały nienawidził on, kazał im składać sobie daniny, brał ich synów do swojej służby i tak uczył, a w karbach i posłuszeństwie trzymał, że swoich: braci i ojców nawet gotowi byli bić i niszczyć.

W takim będąc położeniu kmiecie musieli sobie radzić i urządzali wiece.

R. Z.

Czy alkohol potrzebny przy pracy?

W roku 1835 odbywało się w Londynie zgromadzenie robotników, na którem gorąco przemawiał poseł do parlamentu Buckingham, za pełną wstrzemięźliwością od trunków alkoholicznych i wykazywał wielką ich szkodliwość. Po nim zabrał głos przewódca robotników i oświadczył, że w zupełności podziela zapatrywania mówcy, jednakże sądzi, że trudnoby się było robotnikowi obejść po całodziennej ciężkiej pracy, bez szklanki orzeźwiającego piwa. Wyrzekliby się ro-

botnicy, rzekł w końcu i tej szklanki piwa, gdyby im zaręczono, że i ona jest szkodliwą. W odpowiedzi na tę interpelacyę, zaproponował im Buckingham, by dla próby przez cały miesiąc nie pili żadnych gorących napojów — na co się zebrani zgodzili. Po miesiącu znów się takie samo zebranie odbyło, na które zeszło się daleko więcej jeszcze robotników, niż pierwej, — a przewódca ich oświadczył, że przez cały miesiąc nie używali wcale alkoholu. Za to czuli się już w pierwszą niedzielę mniej zmęczonymi, niż dawniej, a w następne było im coraz lepiej. Chęć do jedzenia się wzmogła i sił do pracy przybyło; to też zalecił obecnym, aby porzucili trunki alkoholiczne, jako nie przynoszące żadnego pożytku, owszem, wielce szkodliwe. Odtąd w Anglii rozpoczął się ruch przeciw używaniu alkoholu, a dzisiaj stowarzyszenia zupełnej wstrzemięźliwości liczą tam 5 milionów członków.

Z teki tetryka.

Piekło wybrukowane jest podobno dobremi chęciami, ale droga do tajemniczo zdobytych pieniędzy napewno jest wybrukowana krzywdą ludzką.

Szanujmy język ojczysty!

Germanizmy i prowincyonalizmy powszechnie w mowie polskiej używane.

(Ciąg dalszy).

128. Podarował mi szynkę na gwiazdkę, co ważyła *całe* 17 funtów. — Podług znaczenia gramatycznego, to „gwiazdka" ważyła 17 funtów. Jeżeli szynka ważyła 17 funtów, toć były całe funty. Powinno być: „Na gwiazdkę podarował mi szynkę, co (lub która) ważyła 17 funtów. „Co" lub „która" odnosi się do szynki, a nie do „gwiazdki."

129. W pieśni „Kto się w opiekę" znajduje się błąd bardzo niedorzeczny w słowach: „Ciebie on z łowczych *odzieży* wyzuje" i t. d. Znaczyłoby to, że P. Bóg *zdejmie* odzież z tych, co idą na łowy i ani gruda — ani mróz — ani też cierniowe krzaki, przez które często przedzierać się muszą, szkodzić ciału ich nie będą. — Powinno być: „Ciebie on z łowczych *obieży* wyzuje". „Obieże" były sidła z grubych powrozów. Sidła te zastawiano na wilki, rysie i niedźwiedzie. Ponętą dla tych zwierząt drapieżnych było zwykle prosię, które na drzewie ponad obieżami t. j. ponad sidłami zawieszano.

130. Podobna niedorzeczność znajduje się w pieśni „U drzwi Twoich" w słowach: Który pod *osobą chleba.*" — W oryginale (czyli pierwowzorze) stoi: „Który pod *„osłoną chleba*" t. j. zasłonięty postacią chleba. Ponieważ wyraz „osłona" dla wielu jest niezrozumiały, przeto ktoś zmienił ten wyraz na zrozumialszy: „Który pod *„postacią*" chleba." — W Krakowie śpiewają, jak mi syn mój opowiadał: „Który pod osłoną chleba."

Uwaga. Kto rozwiąże gramatycznie t. j. wyjaśni podmiot, orzeczenie, uzupełnienie, określniki, okolicznik czasu, sposobu i t. d. w pierwszej zwrotce pieśni „Matko niebieskiego Pana," temu przeznaczę ładną książkę na pamiątkę!

Dla niby małego błędu, jaki w tej zwrotce znachodzimy, żaden gramatyk nie rozwiąże tego zdania. (O tem napiszę później).

Fr. Chojecki.

* * *

Berlin, 6. 1. 1906.

W nr. 1-szym „Pracy" pisze ktoś z Poznania dnia 8. 12. 1905 pod nr. 97 dosłownie: „Mówimy także: rzucił mnie kamieniem (kto ciebie kamieniem...)"

Wyrażenie powyższe jest zupełnie błędne. Mówimy: Rzucił *„na mnie"*



B. Bock. **Znużona.**

kamieniem; przysłowie zaś o darowaniu uraz brzmi dosłownie tak:

„Kto *na ciebie* kamieniem (t. j. rzuca), to ty na niego chlebem!“

Jużeśmy się tak włożyli do wyrażeń niemieckich i francuskich, że nam się stały niejako drugą naturą i w żaden sposób pozbyć ich się nie chcemy.

Fr. Ch.

Nasza ofiarność.

Złożyli do dnia 12-go b. m. włącznie:

Na rodzinę w Poznaniu, obarczoną liczną dziatwą i znajdującą się w krytycznem położeniu: grono gości w lokalu firmy W. Becker (właściciel Łukomski) 16 mr. Kwotę tę wypłaciliśmy komu należało.

Na Macierz Szkolną w Królestwie dotychczas złożono razem 277 mrk 90 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców dotychczas złożono 2 mr.

b) dla dziewcząt dotychczas złożona 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe złożono dotychczas 3 mrk.

Na „Straż“ dotychczas złożono 4 mr.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu złożono 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci złożono dotychczas 13 mrk. 50 fen.

Na rodzinę Jana Wyciska dotychczas wpłynęło 95 mrk 40 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22 go grudnia dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk 20 fen. 75.

Na Weteranów

z roku 1848-go

„ 1863-go

wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen.

Z tej sumy wysłaliśmy komu należy 48 mrk 20 fen; pozostaje mrk 18,25 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach wpłynęło dotychczas razem 12 mrk.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie wpłynęło dotychczas 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie nadesłał *Zarząd Towarzystwa Rękodzielników w Hamburgu* 196 mrk. 10 fen, o czem zawiadamia nas w liście następującym: **„Hamburg** 7 lutego, 1906 Zebraliśmy na **głodnych Rodaków** z Królestwa, **szczególnie z Warszawy** 196 marek i 10 fenigów. Sumę tę równocześnie przekazem pocztowym wysyłamy. — Obiecaliśmy rodakom naszy , że ofiary ich ogłosimy w „Pracy“, bardzo poczytnem i ulubionem piśmie.

O umieszczenie nazwisk ofiarodawców najuprzejmiej prosimy. — Z naszej strony obiecujemy się starać, by na wiosnę jak największa liczba rodaków naszych z „Pracą“ się zaznajomiła.

Dzięki za przysługę. —

Z należnym szacunkiem

Zarząd Tow. Rękodzielników.

Sumę powyższą złożyli pp: I. Drążkowski 3 mk., I. Warczynski 2 mk., A. Lewandowski 2 m., S. Grzesiak 1 m., L. Noak 1 m., Janicki 1 mk., I. Szymański 1 mk, T. Tomaszewski 3 mk, F Florek 1 mk., S. Rankowski 3 mk., R. Rankowski 1 mk., A. Gutt 1 mk., Fr. Stawowski 1 mk., J. Budzmirowski 1 mk., Magdalena Jawa 1 mk. 50 fen., A. Elszkowski 50 fen, J Stasiewski 1 mk., Elszkowska 50 f, I. Zapłacki 1 mk, M. Dwanski 1 mk, M. Sosiuska 1 mk, A. Ignacy 5 mk., Prabucki 1 mk., B. Brabski 50 fen., Gostynski 1 mk., St Juszkowski 1 mk., A Czurłowska 1 mk., W. Stefański 1 mk., Sokołowski 50 fen., Jask łka 1 mk., Klauzinski 1 mk., Kossman 50 fen., Marta Moozek 50 fen., Chlasta 50 fen, Banaszak 3 mk, Urbanowicz 2 mk, Piechołz 50 fen., Herstowski 1 mk, F. Tomaszewski 1 mk., A. Rutkowski 3 mr., A. Nowak 50 fen., Ł. Mikulski 1 mr., Fr. Ślusarek 1 mr., J. Ślusarek 1 mr., T. Tomaszewski 1 mr. 50 fen., Grzesiek 1 mr, F Olkowski 1 m, Topolinski 1 mr Gawłowski 1 mr., W Szcześniak 2 mr., J. Szcześniak 1 mr, K. Szcześniak 1 mr, P. Matuszczak 1 mr., M Matuszcz 1 mr., J. Leśniak 1 mr, J Kaik 1 mr., C Kaik 1 mr., Józef Kaczmarek 1 mr, St Kojankiewicz 1 mr., F. Felerowski 2 mr., Antoniewicz 2 mr, Praczyk 3 mr, E. Sulkiewicz 1 mr, F Sulkiewicz 1 mr, J Sulkiewicz 1 mr, M Głębocki 20 fen., Pierzynowski 1 mr. 50 fen., Kulok 1 mr., M Wierzbinska 1 mr, Tomalik 1 mr, Adamek 40 fen., Piepiorka 50 fen., Quandt 1 mr., K Stenka 50 fen. F Jenta 50 fen, I Skrzynski 50 fen., Buchmann 30 fen., Derra 50 fen., Kistowska 20 fen., Kistowski 20 fen., Brzeliński 50 fen., Herstowski 50 fen, Czański 20 fen., Krajnik 1 mr, B Konarski 50 fen., St Bartoszewski 2 mr., F. Pacholczyk 2 mr., F. Lamperski 3 mr., I. Kubia 2 mr., M Borucka 1 m. J. Borucki 2 mr, F Przybylski 2 mr, M Biegański 2 mr., Ł. Kubala 50 fen., Baron 50 fen, Vietelak 3 mr, Jercha 1 mr, Knich 1 mr L. Jankowski 1 mr., Wrześniewski 1 mr, Kamiński 50 fen., Kazubowski 2 mr, Strzelczok 2 mr, Slusarek 50 fen, Konarski 20 fen, Choleczyński 50 fen, Chlasta 50 fen., Zybała 50 f., Antoni Hrestowski 50 fen, J. Szajba 1 mr 50 f. J Herman 2 mr, Kalemba 50 fen, J. Nowak 1 mr., A. Biela 50 fen., St. Banach 1 mr, Maik 1 mr., J. Kozłowski 50 fan., J. Stachowiak 1 mr, W. Schulz 50 fen., A. Laskowski 1 mr, Krywański 50 fen, Serek 50 fen, St. Cozlik 50 fen.. Karolczak 50 fen, Zmura 3 mr. Hulin 50 fen., St. Jaśkowiak 1 mr., Jan Jaśkowiak 1 mr., Leon Słodowy 50 fen, J. Szwałek 1 mr., Rospęk 3 mr, Kurc 50 fen., Florczak 3 mr., A Kotecki 1 mr, Meleszko 1 mr., I. Jankowski 1 mr., W Cichorek 1 mr, F. Powidzki 3 mr, Józef Nowak 1 mr., W. Drosdek 1 mr, M. Dunka 50 fen., J Gawron 1 mr. F. Targowski 1 markę, G. Warszawski 2 mr, J Przyjemski 2 mr., M. Skiba 20 fen., R Kazior 50 fen, Mączniak 50 fenigów, Bachórz 50 fenigów, J. Staszewski 50 fenigów, Musielak 50 fenigow, I. Skiba 1 markę, Ant Ratajczak 1 mr., Stanisł. Wodyński 1 mr. 50 fen., Michałowicz 50 fen., Sadowski 40 fen., Nowak 75 fen., Kazubowski Fr. 1 mr. 50 fen., Raczak 1 mr., A Biadała 50 fen, A. Jankowski 1 mr., N. N. 1 mr. 30 fen, Michalski 1 m., M. Borucki 2 mr., na posiedz. Tow. Rękodzielników 9 mr. 75 fen., Gawędzki 2 mr., razem 196 mr 10 fen. Z Mannheimu złożyli pp. Wilczewski 2 mr. 15 fen., I. Szymański 50 fen., W. Szymkiewicz 2 mr. 15 fen, P. Andryczka 20 fen., razem 5 marek.

Razem wpłyneło dotychas 254 mrk 23 fen.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów wpłynęło dotychczas 8 mrk. 70 fen.

Dla banity, kaleki bez nóg, Walentego Półtoraka (patrz „Pracę nr. 3 na stronie 82-ej) p. T. Hoffmann z Brockau 1 m. Razem wpłynęło dotychczas 3 mrk-

Nekrologia.

† Ś. p. *Maryanna Szafrańska* z domu *Palkowska*, dnia 3-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy 75 lat.

† Ś. p. *Jakob Plewiński*, dnia 3-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy 67 lat.

† Ś. p. *Franciszek Królikowski*. dnia 7-go b. m. w Krotoszynie, przeżywszy lat 43.

† Ś. p. *Marya Irena z hr. Łubieńskich Chłapowska*, żona dra Franciszka Chłapowskiego, dnia 10-go b. m. w Poznaniu w 50-ym roku życia.

† Ś. p. *Henryka Zakrzewska*, karmelitantka bosa, dnia 9-go b. m. w Przemyślu w Galicyi.

† Ś. p. *Antonina z Grześkowiaków Piotrowska*, dnia 11-go b. m. w Kórniku, przeżywszy 41 lat.

† Ś. p. *Marya z Kosmowskich Steinowa*, dnia 9-go b. m. w Kostrzynie.

Dział szaradowy.

Rozwiązanie Logogryfu

zamieszczonego w nr. 4-ym „Pracy“

K T o
M l E k o
P o m O l o g
W e s t F a l i a
S ł u p I a n k a
A b d u L a z i s
P a u L i n a
K r E p a
C N a
I ł A w a
M a k R e l a
S z t u T g a r d
Ł u s k O w i e c
W e z u W j u s z
J e n I s e j
Z u C o n
Ł Z a

Teofil Lenartowicz.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Józefa Skotarek z Poznania i Jadwiga Badura z Roździenia.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Pamiętaj rozchodzie, aby żyć z przychodem w zgodzie.

Każdy człowiek powinien w życiu swojem ekonomicznem zawsze zastósować się do zasady, zawartej w przysłowiu: „Pamiętaj rozchodzie, aby żyć z przychodem w zgodzie.“ Niestety często zauważamy, że wręcz przeciwnie się dzieje. Liczne rodziny zawdzięczają swój upadek majątkowy tej okoliczności, że nie umieją utrzymać równowagi pomiędzy dochodami a rozchodami i żyjąc nad stan, wpadają w coraz większe długi. Kto raz na tę ślizgą drogę się dostał, ten już z niej nie zejdzie. Często kupcy ułatwiają udzielanie kredytu w niewłaściwy sposób, pomimo, że w ich interesie leży, ażeby publiczność o ile możności kupowała za gotówkę. Korzystanie z kredytu może dla pożyczających mieć ten skutek, że w danej chwili dla choroby lub innych nieszczęść lub też nieporozumienia zażąda kupiec zapłaty całego rachunku. Ponieważ dłużnik nie może od razu wszystkiego zapłacić, kupiec przymusowo ściąga swoją pretensyę, przesyła komornika, który wszystko, co tylko możliwem, fantuje. Przedewszystkiem zwracamy uwagę na niebezpieczeństwo grożące tym osobom, które kupują towary na odpłatę w specyalnych składach tego rodzaju.

W licznych i szumnych anonsach w pismach polskich i niemieckich wyliczają pewne firmy wielkie „korzyści,“ wynikające z powyższego systemu kupowania. Jest to po prostu spekulacya na głupotę ludzką, bo rozsądny człowiek, któremu przyszłość nie jest obojętną, kupuje tylko to, co może zapłacić. Biorąc towary na odpłatę kupuje się bardzo wiele rzeczy, które wcale nie są potrzebne. Koszta reklamy, administracyi, ściągania składek i t. d. są tak wielkie, że każdy przedmiot jest o wiele droższy, aniżeli w rzetelnych składach, nie udzielających tak długiego na raty kredytu. Płacąc np. Mrk 5, — tygodniowo na poczet rachunku wynoszącego Mrk. 500, — staje się kupujący dopiero po 2-ch latach właścicielem owych przedmiotów, bo aż do zapłacenia ostatniej raty przysługuje prawo własności sprzedającej firmie. Często niestety zdarza się, że kupujący nie może dla choroby, braku pracy i t. p. zaoszczędzić sobie owej sumy tygodniowo, a skoro z kilku ratami zalega, natenczas bez litości owa firma korzysta z praw zagwarantowanych kontraktami, bierze przedmioty z powrotem, a wszystkie ciężko zapracowane składki przepadają.

Przedewszystkiem odnoszą się powyższe uwagi do młodych małżeństw, które niestety bardzo często lekkomyślnie meble i urządzenie zakupują w podobnych interesach. Warunki zarobkowania stają się coraz cięższemi, a zaoszczędzenie Mrk. 5, — tygodniowo nie zawsze jest możliwem. Gdy się rodzina powiększy i większe przychodzą wydatki, natenczas upłata tygodniowa staje się wprost niemożliwą, firma zabiera meble z powrotem, co staje się powodem nieszczęścia rodzinnego.

Że przypadki takie bardzo często zachodzą, o tem świadczą nader liczne skargi sądowe, które n. p. pewna firma w Poznaniu przeciwko swoim odbiorcom z powodu niezapłacenia odnośnych rat wytoczyć musi. Niechaj więc każdy pamięta o tem, że „oszczędnością i pracą ludy się bogacą.“

W sprawie fabrykacyi octu*)

otrzymujemy następującą korespondencyą:

Ostrów, 7. lutego 1906

W sprawie fabrykacyi octu na zdanie korespondenta z Berlina zupełnie się godzę. Twierdzenia tegoż jednakże, ażeby zakładać octarnią tylko dlatego, że okowita staniała, nie można wziąść za normę, gdyż ceny okowity są zależne od konjunktury, wreszcie mojem zdaniem, różnica pomiędzy 1-nym a 5-ciu fenygami za 100°/₀ okowity, odnośnie do jednego litra wykwaszonego octu nie powinna stanowić ogromnej dyferencyi. O ile wiem, surówka dostarczana octarni nie podlega cłu, zatem w przybliżeniu litr takowej t. j. ca 85°/₀ nie wyżej jak 38 fen. kosztować może.

Prawdą jest — jak korespondent ze Śremu twierdzi, że od czasu jak powstały fabrykacye chemiczne eterów albo raczej kwasów octowych, rozwój octarń się zmniejszył. Kto temu jednakże winien? Tylko sami konsumenci i kupcy, którym naturalnie jest wygodniej i taniej (nie płacąc wysokiego frachtu za ciężar octu) sprowadzić 15 litr. kwasu octowego, z którego po rozcieńczeniu z wodą sfabrykuje sobie 150 ltr. tak nazwanego octu, jeżeli zaś rozchodzi się o ocet winny, to bez żadnych skrupułów do takiego octu dodaje się cokolwiek farby cukrowej (sporządzonej we własnem laboratoryum) aż do koloru winnego i tem samem zamienia się woda we wino skwaszone i za to pobiera się za litr 40 fen. pod nazwą „winny ocet“. Mojem zdaniem kwas taki rozcieńczony z kwasu octowego nie może nosić nazwy octu do przyprawy potraw, dodać należy, że potrawa przyprawiona takim kwasem jest odurzająca i drętkawo-gorzka, podczas gdy przyprawiona octem naturalnym jest aromatyczna i łagodna. I tak mamy n. p. kwas siarczany, który służy do łączenia przyrządzonych ingredyencyi we fabrykacyi szuwaksu czyli błyszczu, potem kwas solny, który rozcieńczony z wodą i dodatkiem pewnej ilości cynku jest dobry do lutowania metali i t. p. a więc i kwas powyższy na lepsze miano nie zasługuje. Takim to octem karmią nas nasi modni kupcy a nasze żony nie wiedząc o tem przyprawiają nam nim potrawy. Czy taki ocet zdrowiu naszemu szkodzić może? Odpowiedź pozostawiam rzeczoznawcom, co do mnie jednakże nadmieniam, że skutkiem używania takiego octu nabawiłem się bólu żołądka i głowy, straciłem apetyt i powziąłem wstręt do każdej potrawy kwaskowej.

Nie należy zatem twierdzić, jakoby octarnie narażone były na zagładę, przeciwnie nie znam przypadku, gdzie takowe istnieją, ażeby nie prosperowały a te, które znam, są przeważnie w żydowskich rękach, ztąd najlepszy dowód, że bez zysku, żydzi pracować nie będą. Twierdzenie korespondenta ze Śremu, jakoby octarnie były przemysłem prowadzącym do bankructwa, nie powinno interesenta jeszcze zrazić, bo gdzież tu się znajduje jakowy przemysł bez konkurencyi? Znałem również octarnią w Inowrocławiu przed dwudziestu laty, połączoną z handlem korzeni i destylacyą a będącą w ręku niemieckim, której właściciel doszedł do większego majątku. Octarnia ta z powodu nadmiernej konsumcyi nigdy na czas octu dostawić nie mogła. W roku 1892 przeszedł ten interes w ręce polskie. Niestety! właśnie Polak w latach kilku skutkiem lekkomyślnego prowadzenia interesu, zbankrutował. Fachowcem w tej gałęzi przemysłu nie jestem, jednakże sądzę, że o zbyt octu fabrykant obawy mieć nie potrzebuje.

Czytelnik „Pracy“.

*) Patrz artykuły w nr. 1-szym i 5-tym „Pracy“ w dziale rolniczo-przemysłowem. Przyp. Red.

DZIAŁ KOBIECY.

O naszych córkach.

Do spraw, o których się mówi bardzo dużo, a które mimo to przedstawiają się w formie dziwnie mało określonej, należy wychowanie kobiet. Na jedno zgadzamy się wszyscy, że przy zmianie warunków ogólno-ludzkich wychowanie kobiet musi uledz poważnej reformie, ale nie możemy określić ściśle, na czem właściwie ta reforma ma polegać.

Przedewszystkiem stoimy wobec pierwszej i zasadniczej kwestyi w wychowaniu: czy rozwijać — czy tłumić indywidualizm w kobiecie.

Naturalnie, że jeżeli oprzemy się na staroświeckiej zasadzie bezwzględnej zależności kobiety od mężczyzny, to przeprowadzenie tej zasady jest tylko możliwe przy absolutnem skrępowaniu samodzielności. Ale w takim razie miejmy odwagę przyznać się do świadomie popełnianego gwałtu wobec praw natury. Bo gwałtem jest tamowanie jakiegokolwiek swobodnego rozwoju — gwałtem jest wytwarzanie sztucznej atmosfery, przeciwnej zdolnościom i siłom danej jednostki. Indywidualne zdolności oto racya bytu danego osobnika — oto przeznaczenie jego wyraźnie ręką Boga nakreślone, o zmianie którego nie powinniśmy myśleć, wychowanie więc jest to tylko wytworzenie możliwie najbardziej sprzyjających warunków dla rozwoju danych zdolności.

Naturalnie, że przez zdolności rozumiem nietylko władze umysłowe, ale i siły moralne, tworzące charakter człowieka. Niezależność, ambicya, wytrwałość muszą być w wychowaniu jeszcze więcej brane pod uwagę, niż zdolności do malarstwa lub medycyny, tymczasem wychowanie obecne kobiet, polegające na ignorowaniu lub przytłumianiu zalet wrodzonych, a sztucznem wmawianiu różnych cnót tradycyjnych musi samo przez się chybiać celu i wytwarzać niezdrowe histeryczne typy.

Skłońmy więc głowę przed oczywistością. Zgódźmy się na to, że między charakterami dawniejszych a dzisiejszych kobiet jest przepaść, wytworzona kardynalnie zmienionemi warunkami życia kilku pokoleń; że postęp, przeobraziwszy cały świat, ogarnął także i tę drugą połowę ludzkości i że „natura kobiet,“ na którą tak bardzo lubią się powoływać konserwatyści, jest dziś trochę inna niż sto lat temu.

Na kobietę musiały oddziałać te same czynniki, które całą ludzkość naprzód posuwają. Jako twór czasów obecnych musi ona mieć wszystkie cechy naszego wieku, wady i zalety naszej cywilizacyi.

Przedewszystkiem więc traktujmy realnie wychowanie naszych córek. Chciejmy zrozumieć naturę kobiety nowoczesnej — aby módz rozwinąć dodatnie, a zwalczać ujemne jej strony.

Patrząc z tego punktu widzenia, cechą, która uderza nas jako charakterystyczna dla naszej epoki, jest ogromna nerwowość kobiet. Bezwątpienia że skarżenie się na nią weszło trochę w zwyczaj, i może przypisują nerwom naszym więcej niż rzeczywiście przypisać by im trzeba, ale trudno zaprzeczyć wielkiego ich rostroju. Cała działalność kobiet nosi piętno dorywczości i gwałtowności nerwowego ustroju, a brak decyzyi i wpływowość, czyż pochodzą z innego źródła?

Czy jednak przy obecnym systemie wychowania kobiety mogą być inne? Naturalnie że nie. Rozwijamy nerwowość naszych córek nietylko przez błędy hygieny, ale także przez nieodpowiednie kierowanie ich umysłowości i charakteru. Rozszerzywszy z konieczności zakres nauk kobiecych popełniamy świadomie niekonsekwencyę, wymagając aby kobieta wyrzekała się czynnego udziału w sprawach, które nauczyła się rozumieć; rozbudzony jej umysł musi iść przez to na manowce, a pozbawiony zetknięcia z szerszem życiem gubić się w chorobliwych fantazyach. W teoryi uczymy córki nasze mniej więcej wszystkiego, co światem dzisiejszym wstrząsa, w praktyce żądamy usunęcia się od wszelkiego czynu, wychodzącego poza zakres prac domowych, krępujemy ich gusta i aspiracye, przerażamy się każdym objawem samodzielności, patrzymy na nie jak na narzędzie kierowane przez mężczyzn.

Potępiając niby staroświeckie „czekanie na męża“ czyż nie skazujemy córek naszych na tę smutną ostateczność — wymagając od nich wiecznego dzieciństwa, wiecznej zależności

Człowiekiem normalnym jest ten, który zużytkowuje wszystkie swoje siły a uznając różnorodność usposobień nie możemy wszystkich krępować jednym szablonem; tymczasem formy u nas przyjęte nie pozwalają nawet w drobiazgach na samodzielne i indywidualne zachowanie kobiety. Każdy ruch jej jest krępowany, a wymagany przez zwyczaje ciągły „dozór“ w postaci mamy, ciotki lub męża, jest dziwnym zaiste objawem przyzwotości — bo logicznie rzeczy biorąc, właśnie kobieta przyzwoita tak ścisłego pilnowania nie potrzebuje.

Przy ogólnie rozbrzmiewających hasłach swobody, może na czasie będzie wezwanie do zniesienia tych tak dziwnych i drobiazgowych form niewolnictwa. Póki one trwają i są niejako podstawą dobrego wychowania, póty wszelkie reformy w tym kierunku są połowiczne, a więc chybiające celu. Zamiast krępować więzami archaicznych zwyczajów umysły córek naszych przepojone teorjami, starajmy się obalić mur dzielący je od życia i natury. Nie wzbraniajmy im czerpać wiedzy z tych dwóch najczystszych źródeł, bo tylko w ten sposób może powstać typ normalny kobiety nowoczesnej.

Bezwątpienia tak poważna zmiana w warunkach życia musiałaby pociągnąć za sobą rozwinięcie pewnych cech charakteru, które dziś pozostają w zaniku. Do takich należy poczucie godności osobistej i honoru. Bezwiednie odbierano nam go przez lata całe, i dziś nic nie stoi tak na przeszkodzie normalnej ewolucyi ruchu kobiecego, jak brak w nas tej cechy. A jednak poczucie własnej godności jest na pewno większą podporą w życiu niż mamy i ciotki, większą siłą wobec ludzi. Słabe jesteśmy, bo nie umiemy oprzeć się na sobie, bo brak nam szacunku dla naszego własnego „ja“. Znosimy wszystkie upokorzenia, jakie tylko na świecie istnieją, dość powiedzieć że jesteśmy jedynymi ludźmi, którym bez ubliżenia wolno niedotrzymać najświętszych zobowiązań i marzymy w tych warunkach o poprawie naszego losu. Jest to dziwna nielogiczność! Kiedy żądamy praw ogólno-ludzkich, musimy wyrobić sobie ogólno-ludzką etykę, musimy umieć jej bronić.

Nie zatracając więc nic z dawnych cnót i zalet, które słusznie stanowiły ozdobę i chlubę kobiet, powinniśmy zwrócić wszystkie nasze siły, aby rozwinąć w nas cechy konieczne do życia w czasach obecnych. Samodzielność i poczucie honoru były dotąd obowiązkiem i niejako przywilejem mężczyzn, dziś coraz więcej jest kobiet, które, choć z przywilejów nie korzystają, obowiązkom jednak potrafią podołać. Niech więc zastępy ich będą coraz liczniejsze. Ale wyrabiając w córkach naszych niezależność nie zapominajmy, że gwiazdą przewodnią na drodze wolności jest poczucie honoru!

A. Gombrowiczowa.

(„Świat kobiecy.“)

ROZMAITOŚCI.

Nieszczęśliwa miłość dla Kruszelnickiej. Z Rzymu piszą do „Gazety Lwowskiej'': Jak wiadomo, p. Salomea Kruszelnicka, słynna śpiewaczka opery warszawskiej, występuje obecnie jako gość w operze królewskiej w Turynie. Otóż w tych dniach śpiewaczka o mało co nie padła ofiarą gwałtownego napadu ze strony jakiegoś zakochanego. Kiedy w roku zeszłym śpiewała w teatrze Constanci w Rzymie, zaczęła otrzymywać listy z gorącemi oświadczeniami miłosnemi od pewnego podoficera włoskiego, który z parteru zachwycał się jej osobą i głosem. Listy były tak gorące, że p. Kruszelnicka wrzucała je systematycznie do komina. Ale w dalszym ciągu, kiedy aspirant nie otrzymywał odpowiedzi, zaczął pisywać coraz gwałtowniej, prosząc o „rendez-vous'' i podmalowując listy trupiemi główkami i sztyletami. Z wyjazdem p. Kruszelnickiej ustały naturalnie listy z płomiennemi oświadczeniami. W tych dniach jednak podoficer przybył do Turynu, wyczytawszy w dziennikach, że jego bogini tam śpiewa i próbował wejść do jej pokoju w hotelu, aby złożyć swoje hołdy. „Diva'' przywołała służbę w hotelu Europejskim i kazała go wytransportować. Nie dość na tem otrzymała znów list z afektami i pogróżkami z nadmienieniem, że zapaleniec czekać będzie na nią przy wejściu do teatru. Skutkiem tego artystka odniosła się do policyi, która młodego szaleńca aresztowała przy wejściu do teatru Regio i po udzieleniu mu ostatecznego upomnienia wyprawiła z powrotem do Rzymu.

* * *

Banda włamywaczy pośród gimnazyastów. Jak donosi „Zeit'' z Opawy, utworzyła się tam banda młodocianych rzezimieszków, która wkrótce stała się plagą oddalonych części miasta. Włamawszy się do handlu broni, młodzieńcy owi zaopatrzyli się w broń i naboje, szerząc popłoch pośród spokojnych mieszkańców. Policya zdołała wreszcie wyłapać przywódców bandy, a byli nimi uczniowie opawskiego gimnazyum państwowego i to synowie bardzo zamożnych rodziców.

* * *

Morganatyczne małżeństwa książąt szwedzkich. W Sztokholmie rozpoczęto przygotowania do wyjazdu 69 letniej królowej szwedzkiej Zofii. Monarchini udaje się dnia 9-go b. m. do Paryża; powszechnie utrzymują, że podróż ta ma związek z bliskiem małżeństwem morganatycznem czwartego i najmłodszego syna pary królewskiej, Eugeniusza ks. Neriko. Urodzony d. 1 sierpnia r. 1865, książę jest malarzem i zdobył już pewien rozgłos w dziedzinie krajobrazów ojczystych. Kształcił się w Paryżu, gdzie też mieszka jego przyszła małżonka; jest to śpiewaczka estradowa, która występowała też w Szwecyi, lecz dziś już porzuciła tę karyerę. Królowa Zofia, swego czasu, przeprowadziła też małżeństwo morganatyczne swego drugiego syna, ks. Oskara, z baronówną Ebbą Munek; książę musiał się zrzec praw do następstwa i otrzymał tytuł ks. Bernadotte, a następnie wuj jego, zmarły w roku ubiegłym w. ks. Adolf Luksemburski, dodał tytuł hr. Wisborga.

* * *

Syn milionera — prostym robotnikiem, naturalnie w Ameryce. Bohaterem tym jest Jerzy Westinghouse, syn sławnego wynalazcy-technika, który swą pomysłowością dorobił się fortuny milionowej. Stary Mr. Westinghouse chce zrobić syna swego następcą w interesie. Dlatego, po ukończeniu studyów uniwersyteckich, elegancik - akademik zrzuca, na życzenie ojca, pański strój, i ubiera się w robotniczą niebieską bluzę. Rano idąc do roboty, podobnie jak każdy inny robotnik, niesie sobie śniadanie i pracuje również ciężko, jak teraźniejsi jego koledzy w bluzach niebieskich. Pomimo wykształcenia akademickiego i stosunku krwi, nie zna młody Westinghouse żadnych przywilejów w fabryce ojca, ale jest na równi z innymi traktowany. Charakterystycznem jest także i to, że młody milioner wcale nie oponuje i uważa nawet za słuszne, aby, skoro ma objąć kiedyś kierownictwo interesu, teraz przeszedł wszystkie szczeble roboty fabrycznej począwszy od najniższych.

* * *

Papież palaczem cygar. Przed niedawnym czasem donoszono w pismach, iż Pius X jest pierwszym papieżem, który pali cygara i wspomniano przy tej sposobności, że Leon XIII zażywał tabakę. Wiadomość ta nie jest całkiem ścisłą, gdyż Pius IX nie gardził wcale dobrem cygarem i nie odkładał go nawet wtedy, gdy udzielał poufnych audyencyi. Zanotować tu należy nawet anegdotę, którą następnie opowiadano o kim innym. Pius IX przyjmował raz na posłuchaniu pewnego hrabiego włoskiego i prosił go uprzejmie o pozwolenie palenia dalej cygara, z którym go hrabia zastał, a przy tej sposobności zapytał gościa: czy może poczęstować go cygarem. Hrabia odpowiedział na to w dobrej wierze, lecz całkiem niezręcznie: „Ojcze święty, palenie jest jedynym występkiem, którego nie mam na sumieniu''. Papież zaś odpowiedział mu na to z rozdrażnieniem: „Gdyby palenie było występkiem, oddawnabyś go się pan dopuścił''. Pius X lubi dobre mocne cygara, nie nadużywa ich jednak i nie może uchodzić za pierwszego dotychczas palącego tytoń papieża.

Humorystyka.

Miłość w zimie.

Błogo temu, któremu
Płynie żywot radośnie,
Co się żeni — w karnawał,
Co się kocha o wiośnie.

U mnie wcale inaczej,
Mnie *dziś* miłość rozbiera,
Właśnie, gdy jest rtęć niżej
Kilku stopni od zera.

To przyjemna: pod oknem
Taka w mróz promenada,
Gdy kostnieją ci nogi
I nos z zimna odpada.

Ani rusz się nie można
Porozumieć z panienką,
Kiedy szczelnie przytkane
Wałkiem z waty okienko.

Żeby zwrócić uwagę
Na mą miłość niebodze,
Utrwalałem swój podpis
Przed jej oknem na drodze.

Co wieczora me imię
Powtarzałem uparcie,
Tem, co miałem pod ręką,
Na śnieżystej tej karcie!

Z wiatrem walczyć musiałem,
W walce miałem pódniętę,
Gdy mnie śniegiem przyprószył.
To pisałem *repete...*

Lecz — co bliżej — myślałem —
Zawsze prędzej się zdybie:
Więc jej moje litery
Wychuchałem na szybie.

Gdzie tam! wszystko na próżno!
Fakt przedstawię tu nagi:
Żaden z moich forteli,
Jej nie zwrócił uwagi!

A to nie jest *l'amore*
Wśród pogody i skwaru!...
Wkrótce przez nią dostałem,
Chrypki, kaszlu, kataru!

Szczęściem pomysł mi przyszedł,
W tym o miłość zabiegu:
Ulepiłem *bałwana*
Przed jej oknem ze śniegu.

Ulepiłem wspaniale,
Idąc w ślad Pigmaliona,
Tchnąłem w niego mą miłość:
On ją wzruszy, przekona.

„Udało się! udało!!...
— Gdy na tego bałwana
Spojrzę, — rzekła wzruszona —
„Przypomina mi — pana.“

Szczyt roztargnienia.

Profesor. Hm, wszak chciałem gdzieś iść i oto zupełnie zapomniałem gdzie.

Żona. Ależ, mężulku, chciałeś iść do łóżka.

Profesor. Ale prawda, prawda, istotnie tam pójść chciałem.

Szczyt poświęcenia.

— Znałem filantropa, który był zawsze gotów oddać swoje buty biednemu.

— To nic! Ja znałem cyklistę, który był zawsze gotów oddać pneumatykę ze swego roweru do zaplombowania.

Podobieństwo.

Gdy człek bada arcydziwne
Księżycowych zmian zwyczaje,
Dojdzie szybko, że dziś posag
Z księżycem się porównać daje.

Kształt z początku ma ogromny
W pełni się z księżycem styka,
Potem... coraz... coraz mniejszy,
Aż na końcu całkiem znika!

Iskry humoru.

W kawiarni. Jasiu! podaj mi *dzisiejszy* dziennik!

—O... dzisiejszego nie mogę, proszę pana!

— Dlaczego?

— Bo go wziął do czytania pan profesor — a zanim ten skończy, to dziennik będzie już *wczorajszy!*

* * *

— Kaszlesz mój mężu !

— Musiałem się zaziębić wczoraj wieczór piwem... Było jakieś bardzo zimne.

— Piwo jak piwo... ale wracałeś pewno gdzieś koło drugiej, a nie chcąc mnie zbudzić, szedłeś przez schody w skarpetkach!

* * *

— Proszę mi powiedzieć, co oznacza to wyrażenie z mitologii: „Męka Tantala!“

Jak pan profesor może się o to jeszcze pytać, egzaminując mnie już prawie pół godziny bez przerwy?....

*

— Wasz syn matko, nie ma talentu... Siedzi już trzeci rok w jednej klasie.

— Iii... talent on ma — a że siedzi, to odziedziczył widać po ojcu... Ten także siedział trzy lata w więzieniu.

* * *

— Jakże się ma mąż pani?

— Tak tam!... ale ciągle ma kłopot z żołądkiem.

— Cóż? nie może jeść?

— Właśnie, że apetyt ma ogromny i w tem cały kłopot... Pomyśl pani, jaka to teraz drożyzna!

Wieczny karnawał.

Choć dziś książę karnawału
Nie króluje strojny w kwiaty,
Cały świat w odwiecznym wirze
Tańczy ciągle, jak przed laty.

Choć nie słychać galopady,
Ani nie grzmią skrzypki żwawo,
Wszędzie wszystko kędy spojrzysz
Kręci się dziś, w lewo w prawo.

Koło męża tańczy żona,
Codzień świeże ma wydatki,
Tańczy biedak miejski, wiejski,
Naciskani za podatki.

Papa tańczy koło żydka,
By pożyczył garść talarów,
Mama tańczy koło dziarskich
Z posadami kawalerów.

Koło odznak i zaszczytów
Tańcy radca odświeżony,
Koło radcy kancelista,
By wytańczyć chleb dla żony.

Wszystko w życiu wiecznie tańczy,
Choć nie grają dziś wesoło,
Bez muzyki mknie odwieczne
Karnawału życia koło!...

Największy automat.

Konsulat rosyjski we Lwowie jest silnie strzeżony przez policyę z obawy przed burdami, jakie są możliwe przed tym konsulatem. Stąd powstał taki żart we Lwowie:

— Kto ma największy automat we Lwowie

— Konsulat rosyjski.

— Dlaczego?

— Bo jak rzucić kamieniem w okno konsulatu na drugie piętro, to zaraz z dołu wyskakuje z bramy 25 żywych policyantów razem z komisarzem!

Prosimy przy zamówieniach powoływać się na „Pracę”.

Kupiec kawaler, przystojny, 31 lat liczący, posiadający od 6-ciu lat dobrze prosperujący interes kolonialny, delikatesów i win, 2 kamienice w mieście powiatowem (6500 mieszkańców) dla braku znajomości pań na tej drodze poszukuje 112

żony.

Panny z skromnem wychowaniem lub **bezdzietne** wdowy, w wieku 20—25 lat, posiadające 10—15 tysięcy marek majątku i zamiłowanie do interesu, raczą łaskawie swe oferty z dołączeniem fotografii do Ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **L. K. 200** nadesłać.

Za dyskrecyą ręczy się honorem.

Trzech kawalerów przyjaciół, kupców, katol. Polaków z dobrego domu, w dobrem stanowisku i samodzielni, posiadający dobrą i zapewnioną egzystencyę w Poznaniu, jeden szatyn, drugi ciemno, a trzeci jasno blond, z dobrym charakterem, wzrostu około 1,72, dla braku znajomości pań puszukują na tej drodze 109

żony.

Panny lub młode wdówki, z dobrego domu i dobrym charakterem, z lepszem wykształceniem, muzykalne, do lat 28, zechcą łaskawie swe oferty z podaniem bliższych stosunków i fotografią przesłać do eksp. „Pracy“ pod **W. W. 109.** Za ścisłą dyskrecyą ręczy się honorem, fotografie będą zwrócone, anonimy w kosz.

Kawaler, liczący lat 34, malarz w Berlinie, zastępca pryncypała (tak zwany polier) poszukuje na tej drodze 110

towarzyszki życia.

Panny średniego wzrostu, miłego usposobienia, posiadające cokolwiek mająteczku, któreby zechciały zamąż wyjść do Berlina, proszę o łaskawe zgłoszenie się z podaniem wieku i dołączeniem fotografii pod adresem **S. M. 25** „Dziennik Berliński“ **Berlin O.,** Koppenstr. 79. Zdecydował bym się także w odpowiednim razie na osiedlenie się w Księstwie. Dyskrecya, zwrócenie fotografii rzecz honorowa.

Kawaler inteligentny, lat 26, Polak katolik, Górnoślązak, wzrostu małego, uczciwy i skromny, poszukuje dla braku znajomości pań na tej drodze 114

żony.

Panienki w wieku 20—25 lat liczące, z dobrej i uczciwej familii, z cokolwiek majątkiem raczą swe łaskawe oferty wraz z fotografią nadesłać do Eksped. „Pracy“ pod znakiem **„Szczęście 114.“** Dyskrecya zapewniona.

Nasiona

w świeżej, wyborowej jakości

poleca jaknajtaniej 103

Telesfor Otmianowski

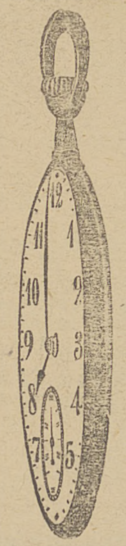
Handel nasion.

Poznań, Wrocławska 15.

P. S. Oferty i próby na życzenie bezpłatnie.

„Dzieje Polski“ przez **Baczyńskiego.** Okazałe to dzieło ma 944 stron, około 200 pięknych illustracyi: portrety królów, hetmanów, zamki, pomniki, kościoły, miasta, bitwy i 8 mapek. Dzieło napisane tak zajmująco, że się je czyta jak powieść jaką. Cena egz. brosz. **6 m.**, egz. karton. **7 m.**, egz. opr. w płótno **7,50 m.** 101

Jak pisać listy? czyli **Nowy sekretarz polski.** Nowe to powiększone wydanie zawiera nauki o pisaniu listów, wzory na listy rozmaite w życiu towarzyskiem, rodzinnem, handlowem, rolniczem, dalej: **Listy znakomitych pisarzów** jak Mickiewicza, Sienkiewicza i innych. Dodany: **Spis błędów językowych i główne zasady pisowni polskiej.** — Egz. brosz. **1,60 mk.**, egz. opr. **2,00 mk.**, opłata poczty **20 fen.** **K. Kozłowski,** wydawca. **Poznań,** ul. Długa 8.



A. Galczewski,

Gniezno (Gnesen).

NAJWIĘKSZY SKŁAD

zegarmistrzowsko-złotniczy

poleca w bardzo wielkim wyborze bajecznie tanio *zegarki kieszonkowe* już od 4,50 mk. począwszy, *zegary ścienne* i *budziki* od 2 mk. począwszy, *regulatory* od 10 mk., *pierścionki* złote, prawnie stempl. od 1,25 mk., broszki, kolczyki, bransoletki, obrączki, okulary, binokle, przedmioty srebrne i alfenidowe. (125

Na żądanie wysyła się bogato ilustr. cenniki gratis i franko.

Korzystne źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Zasadą interesu jest rzetelność.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.

Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli, garncarzy, sztukatorów.

Cennik darmo. 102

Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

W mieście liczącem 8 tysięcy mieszkańców jest z niemieckich rąk ładny 108

domek z donośnym ogrodem owocowym i warzywnym

oprócz tego *2 morgi roli* pod bardzo korzystnymi warunkami za cenę do 12 tysięcy mk. zaraz do sprzedania. Zgłoszenia pod adresem *Zofia Bartkowska, Nakło,* ul. Berlińska.

„Talizman zdrowia i piękności“ 80 fen. Ilustr. kucharz jarski (na post!) 1,10 m. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielnik lekarski (125 kol. obr.) 5 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia“: *Czarnowski, Berlin N*, Weissenburgerstrasse 27. 113

Pracownia robót kościelnych

WANDY GDECZYK

w Gnieźnie 122

ulica Tumska nr. 10

poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to: kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

Restauracya

istniejąca od lat 9 licznie uczęszczana i donośna z wyszynkiem piwa, w pierwszorzędnej okolicy Charlottenburga z dogodną komunikacyą z Berlinem, jest z powodu stosunków familijnych do sprzedania. Zgłoszenia przyjmuje 97

J. Mulkowska

Charlottenburg Schillerstrasse 117.

Kto chce czytać ładne powieści, niech się spieszy i żąda **darmo** cennika na książki powieściowe i do naboż. 84

„Globus“ I. Mrówczyński

księgarnia wysyłkowa

Rewicz (Rawitsch Posen).

Szukam dla syna mego miejsca 76

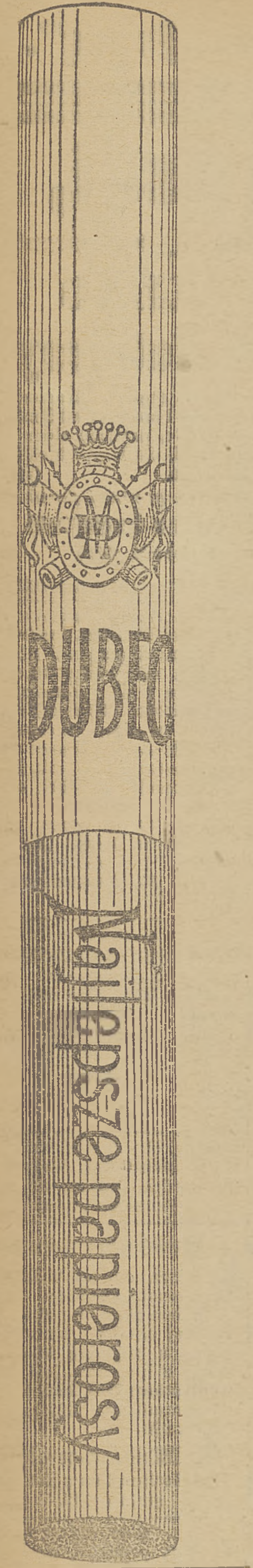
ucznia

w składzie bławatowym.

S. Brykczyński

skład kolonialny

w Rogoźnie.



Biuro prawnicze
Jasielskiego w Poznaniu
ulica Wodna l. 4, I p.
spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz, **obrony** w sprawach karnych, informacye w sprawach procesowych, **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, reguluje hipoteki i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

Pranie bez mydła!



Dla czego teraz mama mydłem więcej nie pierze? Moje dziecko mydło jest dobre ale za drogie w czasie obecnej drożyzny. Gdy się pierze mydłem trzeba bieliznę mocno trzeć przez co się bardzo niszczy. Oszczędna i praktyczna gospodyni pierze teraz już tylko **Saponinem** bo przez to oszczędza sobie pracy i pieniędzy, kto raz spróbuje przekona się o znakomitych skutkach.

Saponin jest do nabycia w składach drogeryjnych i kolonialnych w paczkach po **25** fen.

Gdzie niema na składzie wysela się w prost 8 paczek za 2,00 mk. franko. Chemiczna fabryka „Saponin" **C. Nagórski,** Pr. Stargard 2. 487

ZWIĄZEK ZIEMIAN
E. G. m. b. H.
TELEFON NR. 1615.
w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia 3½, 4 i 4½ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

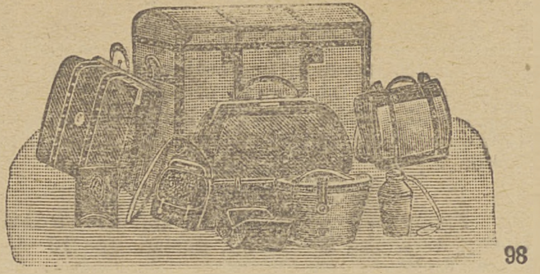
prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

Z powodu śmierci mojego męża mam zamiar
dom mój
w którym znajdują się, pierwszorzędna piekarnia parowa, rzeźnictwo i restauracya, przy przystępnej wpłacie sprzedać. Reflektanci raczą się jaknajrychlej osobiście zgłosić.

Marta Lange, 83
Nowe (Neuenburg West-Preussen.)

Kasa oszczędności
Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.
przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

Fabryka kufrów i torb



98

poleca swe wyroby premiowane w Poznaniu i Lwowie.

Kufry ręczne Kufry fałdowe Kufry mężkie Kufry damskie Kufry trzcinowe Kufry do prób	**N. Wolniewicz,** siodlarz kiesieniarz **Bazar,** **ulica Nowa 8.**	Torby szkolne Torby do podróży Torby fałdowe Torby do pieniędzy Torby do listów Torby myśliwskie

szelki, portmonetki, necessery, siodła, trenzle, czapraki, koniki, piłki i poduszki skórzane.

W seminar. Freblows. dla bon i ochroniarek jako i w szkółce dla młodszych dzieci
rozpoczyna się kurs nauk **19 kwietnia.** Zapewnia się dzieciom opiekę, naukę i stosowną do wieku rozrywkę. Po wychowawczynie i bony zgłosić się można bezpłatnie do zarządu; cena tych osób od **180** do **500 mk.** rocz. **Zgłoszenia** do semin. ustne lub piśmienne od 11—1 codziennie przyjmuje 87
Walerya Fuffke, przełożona zakładu.
Długa ulica 4.

Apteka pod Orłem we Wrześni.
Rynek 25. Telefon 31.
poleca **ulepek kokluszowy** doświadczony jak nadzwyczaj skuteczny na ciężki kaszel (koklusz) but. 1,75 m.
Krople św. Jakóba i krople Matki Boski częstochowskiej,
znakomicie działające przeciw wszelkim cierpieniom żołądkowym, but. 1,00 i 2 m. **Miód żywokostowy i koperkowy** na kaszel but. 0,50 i 1,00 mk. **Pigułki św. Józefa** przeciw zatwardzeniu but. 0,80 mk. **Pastylki purginowe** znakomicie działające na rozwolnienie u kobiet, pudełko 0,75 mk. **Maść na piegi i liszaje** po 0,50 i 1 mk. **Maść na obziębliznę** po 0,50 mk. Znakomite **wody i farby** na włosy (wypróbowane) po 1,50. i 2,00 mk. **Krople uniwersalne** uśmierzające natychmiast i wszelkie bóle, kurcze żołądkowe a 0,50 i 1 mk. **Wina medycynalne** i wszelkie inne medykamenta i preparaty po przystępnych cenach. Zawówienia wysyła się odwrotnie przez zaliczke pocztową. 527

Stanisław Augustyniak
Kościan,
ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.
Telefon Nr. 119. 56
Handel drzewa budulcowego,
belek i kantówek, klochów, desek, łatów i t. d.
Deski w różnych grubościach ½, ¾, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2½, 3 calowe.
Skład dzwon bukowych,
dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych klochów.
PAPY NA DACHY
w doborowym gatunku, po cenach bardzo
Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

Posiadłość moja
w samem centrum miasta składająca się z **mieszkalnego domu, dużej stajni, spichrzy oraz wielkiego podwórza,** nadająca się do **handlu zboża, węgli, drzewa i wapna** jest do sprzedania lub do wydzierżawienia. 91
Bronisław Hoffmann,
GNIEZNO, Machatiusa ul. 4.